



Foto: Grzegorz Gałasiński

W „Marchlewskim” nie powstał jeszcze „okrągły stoliczek”, lecz było już spotkanie zapoznawcze.

Taniec wokół podwyżki

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Wyplata za styczeń przypada w „Marchlewskim” w połowie następnego miesiąca, 15 lutego 1989 r. Tego dnia wypłacono pierwszą w tym roku podwyżkę. Na listach płac, przy nazwiskach, widniały kwoty o kilka do kilkunastu tysięcy złotych wyższe niż za grudzień 1988 r. A jednak, do końca pierwszej zmiany i w czasie drugiej, zabrakło obok tych podwyższonych kwot wielu podpisów. Ludzie nie śpieszyli się z odbieraniem pieniędzy. Niektórzy, bardziej zbuntowani, postanowili twarde: wypłaty nie przyjmujemy! Tę podwyżkę — krzyżeli — już dawno polknęli nam ceny!

Dyrektor Zbigniew Majer, naczelny „Marchlewskiego”, ujmuje nazajutrz ich protest w statystykę:

— Dokładnie 75 osób nie podjęło wczoraj wypłaty. W dniu dzisiejszym — już tylko 33 pracowników.

Jawni na drodze do legalności

O czym statystyka milczy, to fakt, iż zasięg protestu był większy, niż wynika to z samych liczb. Kilkaset mężczyzn i kobiet z ponad 4-tysięcznej załogi przyjęło wypłaty po dłuższym, kilkugodzinnym namyśle. Prawdę rzekłszy, pomogli im w tym namyśle nielegalni, lecz jawni związkowcy, a ściślej — działacze z Komitetu Organizacyjnego zakładowej „Solidarności”, wystosowując apel o powstrzymanie się od protestów. Obowiązuje przedłożony dyrekcji termin — argumentowali — którego musimy się trzymać, jeśli mamy postępować rozsądnie.

Dbają o tę rozagę, bo taka jest „linia Lecha”, i taka ma być teraz „Solidarność” — nowa, mniej spontaniczna, inna niż „przed wojną”. Nie przychodzi to łatwo. Egzamin z

powściągliwości musieli już zdawać w początkach lutego.

Zaczęło wtedy huczeć na cewiarni i tkalni. Dlaczego na tkalni? Ciężka praca, w halach, zarobki w granicach 40—80 tys. zł (dla większości bliżej tej pierwszej kwoty), dużo młodych, obciążonych dziećmi kobiet. Cemu na cewiarni? Oddziałowa przewodnicząca „oficjalnych” związków, Bożena Krawczyk, podaje jeden z możliwych powodów:

— Pracuje tam sporo starszych kobiet, które przepracowały już „swoje” na tkalni, i schorowane, przeniesione zostały na cewiarnię, gdzie praca lżejsza, lecz niższe zarobki. Stąd — niezadowolone, gorycz, bunt. Tym większy, im szybciej rosną ceny.

Na cewiarni, dodatkowo, funkcjonuje silna „Solidarność”. W 17-osobowym Komitecie Organizacyjnym NSZZ „Solidarność”, działającym w tym

składzie od miesiąca, znaleźli się 2 przedstawiciele tkalni, a także aż 5 kobiet z cewiarni. Wtedy, na początku lutego, Komitet obradował pod silną presją z „dołu” — na rozpoczęcie strajku. Po burzliwej dyskusji zdecydowano inaczej. Sformułowali postulaty, przesłali dyrektorowi pismo:

„Zdajemy sobie sprawę — zapewnił w przedostatnim zdaniu — że jesteśmy jedną wspólną rodziną i powinniśmy się zrozumieć, że my wszyscy, dyrektor czy robotnik, mamy wspólne i jednakowe prawa do korekty i sprawiedliwie ze wszystkich dóbr naszego zakładu”.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dla odmiany lakonicznie i ostro:

„Żadamy ustosunkowania się do powyższych postulatów do dnia 6 lutego 1989 roku”.

Zamiast wymiany korespondencji, nastąpiło jednak spot-

6

■ Jak aresztowano i stracono Berię? — str. 10

■ Obozy w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku — str. 4

■ Kogo pochowano zamiast Witkacego — str. 2

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 10 (1614) ROK XXXII

5 MARCA 1989 ROKU

CENA 80 ZŁ



Rys. Dariusz Romanowicz

Redakcyjna dyskusja o problemach współczesnego piśmiennictwa.

Kryzys formy czy literatury?

W dyskusji udział wzięli pisarze i krytycy — Tadeusz Chrościelewski, Grzegorz Gazda, Henryk Pustkowski, Karol Stryjski i Jacek Zaorski — dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego, zaś z tygodnika „Odgłosy” — Lucjusz Włodkowski, Edmund Lewandowski i Marian Zdrojewski.

L. Włodkowski: — Witam serdecznie i dziękuję za przybycie. Pragnę poinformować, że do dyskusji zapraszaliśmy różne osoby ze środowiska pisarskiego, które z wielu powodów nie mogły przybyć na to spotkanie. Szanuję te powody — zarówno ideowe jak i mniej ideowe.

W naszej redakcji stoimy na stanowisku, że w środowisku pisarskim, jak w każdym zresz-

ta, podzielić się rzecz naturalną, natomiast rzeczą nadzwyczajną jest literatura, twórczość, której chcemy poświęcić naszą uwagę. Zapraszamy więc do dyskusji.

J. Zaorski: — Jaka jest współczesna literatura? Z moich doświadczeń edytorskich, z obserwacji tego, co się dzieje w literaturze mogę powiedzieć, że nie nadąża za życiem, jest wtórna. Rok po kimś tam ukazują się książki podejmujące w naszej literaturze to, co np. w literaturze radzieckiej zostało napisane dużo wcześniej. Książka, która wyprzedzała pewne wydarzenia była saga „Horynieccy” Karola Stryjskiego. Ale czasy były takie, żeśmy musieli książkę kastrować. Zaproponowano autorowi zakończenie książki w ten sposób, iż Polska będzie od Bugu, ale po Odrę i Bałtyk, gdyż „potrzebna jest rekompensata”.

K. Stryjski: — Zakończenie napisane przez urzędnika...

J. Zaorski: — Autor usunął z książki dwa ostatnie rozdziały. Niewiele jest takich książek. „Rok w trumnie” jest także wtórna wobec pewnych wydarzeń. Owszem „Pokolenie wszystkich świętych” Wiesława Jażdżyńskiego, to książka ciekawsza, obejmująca trzy pokolenia... Przepraszam, że uczepiłem się Stryjskiego, ale na przykładzie jego sumeryjskiej historii z ostatniej książki — historii władzy, niszczenia władzy i budowania władzy — chcę powiedzieć, że na taką prozę czekamy. Bo choć rozgrywa się w odległych czasach, nie traci z aktualności. Oczywiście, wydawca może sobie wydawać Piłsudskiego, Dmowskiego, zarabiać na nich, ale te pozycje nie zastąpią prozy współczesnej, takiej jak powieść Tadeusza Chrościelewskiego, w

której przywołuje zjazd koleżeński jako pewną wizję ludzi rozproszonych po świecie.

A teraz poezja. Otrzymałem list od księdza Palierba, który z oburzeniem pisze, że jest skandal, aby jego tomik złożony w wydawnictwie ukazał się w nakładzie 500 egz. A cóż ja mogę powiedzieć o księgarzach, którzy zamówili dokładnie 280 egz., czyli i tak 220 egz. wydaliśmy na własne ryzyko. 280 egz. zamówiła Polska, nie Łódź, która odbiera 6,6 proc.

Wydaje mi się, że współczesni poeci nie mają kontaktu z czytelnikiem, nie wiedzą jak z nim rozmawiać. To jest rzecz szokująca: piszą dla siebie, o własnych przeżyciach, o własnych stanach emocjonalnych, o własnym bycie czy niebycie. Nie ma poety bez czytelnika... Bardzo sobie wiele obiecujemy po paru pozycjach, m. in. po antologii „Od Staffa do Wojaczka”. Wiem, że jest w niej parę opuszczeń, niedokładności, ale przy 130 autorach można kogoś przeoczyć...

G. Gazda: — Marx w „Kulturze” nazwał ją „książką adresową współczesnej poezji”.

T. Chrościelewski: — No nie! W czasach stalinowskich Polak i Matuszewski wydali antologię „Wierszy, które lubimy” i nikt nie mógł mieć do nich pretensji, że nie znalazły się tam te czy inne wiersze tego bądź innego autora. Były tam wiersze, które oni lubią! Na tej samej zasadzie wydana została ta antologia. Zresztą, każdy antologista daje wiersze, które lubi. Wydawca nie powinien błądzić się w pierś...

5

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jęrzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gądomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasek, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i
Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklam: Andrzej
Bartosiewicz tel. 36-80-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”. Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
złokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzęd-
ach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejs-
ca zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658 201045-139-11 Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począz zyskała jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.
Zam. 575. D-10.

Przegląd prasy

Niektórzy mają chyba dużo
pieniędzy bądź wiele nadziei,
skoro w konkursie PKO zło-
żono 2 mln 787 tys. deklaracji
na okres 9 miesięcy oraz 435
tys. deklaracji na 6 miesięcy.
W sumie wpłacono na hasło
„50 000” aż 356 miliardów zio-
tych!

W komunikacie Głównego
Urzędu Statystycznego na la-
mach „RZECZYPOSPOLITEJ”
(nr 40), podano, że w styczniu
1989 r. przeciętne wynagro-
dzenie miesięczne w pięciu
działach gospodarki społecz-
nej (przemysł, budownictwo,
transport, łączność, handel) wy-
niosło 66,9 tys. złotych. W po-
równaniu ze styczniem ubie-
łego roku było wyższe o 85
proc. Natomiast w stosunku do
grudnia było niższe o 37 pro-
cent.

Wszystkie grupy społeczne
odczuwają głównie wzrost cen,
a nie wzrost płac. Dlatego za-
łogi pracownicze domagają się
podwyżek płac. Pisze o tym
w miesięczniku „PRACA I ZA-
BEZPIECZENIE SPOŁECZNE”
(nr 10-11) Wiesław Krenicki.

W pierwszej połowie 1988 r.
płace rosły znacznie wolniej niż
produkcja czysta i sprzedana
oraz zyski przedsiębiorstw.
Płace realne spadły o 20 proc.
(w przemyśle wydobywczym o
48 proc.), a zyski poważnie
wrosły. Im biedniejsi są pra-
cownicy, tym bogatsze stają się
przedsiębiorstwa.

Według danych Banku Świa-
towego opublikowanych w
„FORUM” (nr 7) Polska należy
do krajów średniozamożnych.
W tej samej grupie (685 mln
ludności) jest Hiszpania, Ju-
gosławia, Meksyk, Brazylia,
Izrael. Za nami są biedni (300
mln) oraz najubożsi (2,5 mld).
W ostatniej kategorii, dochód
na 1 mieszkańca wynosi poni-
żej 350 dolarów. Natomiast
państwa zamożne (7-13 tys.
dol.) skupiają 550 mln ludz.
a bogate (ponad 13 tys. dol.) —
485 milionów.

W polskiej rodzinie pracow-
niczej złożonej z czterech osób
— jak podaje „POLITYKA
SPOŁECZNA” (nr 11-12) —
minimum socjalne za czerwiec
1988 r. wyniosło 1905 zł na
jedną osobę. W tym są wydatki
na żywność w wysokości
11 730 złotych (59 procent).

Na łamach tego samego mie-
sięcznika prof. Przemysław
Wójcik przedstawia kwestię ro-
botniczą w Polsce na przykła-
dzie schyłku Drugiej Rzeczy-
pospolitej i 40-lecia PRL.

Po wojnie szeregi klasy ro-
botniczej powiększali młodzi
ludzie ze wsi. Szybko awanso-
wali społecznie, lecz nie towa-
rzyszili temu odpowiadający roz-
wój robotniczej świadomości
klasowej. Poprzednie upoko-
żenia i bieda rodziły postawy
zawiesi i pazerności. Zjawisko
to obserwowano także przed
wojną.

„Zdarzało się, że parobek,
który awansował wcześniej za-
nim stał się robotnikiem,
wszystkich wokół siebie chciał-
by widzieć jako parobków. Bie-
dak, który wyrzucił się z na-
dziej, ale nie zdobył jeszcze kul-
tury, nierzadko pazernością
dystansował wszystkich sta-
rych cwaniaków, a bliznem
zbytku pragnął zatrzeć ślady
swojego pochodzenia. Czy roz-
pasane nowobogactwo nie ma
właśnie takich źródeł społecz-
nych?”

Pokolenie robotników uro-
dzonych przed wojną oraz ge-
neracja ZMP miały w Polsce
Ludowej szanse awansu socjal-
nego i politycznego. A obecnie
kondycję młodych robotni-
ków charakteryzują rozbudzo-
ne ambicje i zablokowane moż-
liwości. W dziejach PRL zmie-
niały się reakcje klasy robot-
niczej.

„W roku 1956 robotnicy śpie-
wali pieśni rewolucyjne, w 1970
— rewolucyjne i patriotyczne,
a w 1980 — patriotyczne i
kościelne, choć jednocześnie to
ostatnie pokolenie sformułowa-
ło hasło «socjalizm — tak, wy-
parczenia — nie». Pierwsze po-
kolenie robotnicze broniło w
latach czterdziestych samorzą-
d załogi, drugie, w latach
pięćdziesiątych, stworzyło ruch
rad robotniczych, trzecie pró-
bowało organizować robotni-
czy, niezależny i samorządny
związek zawodowy «Solidar-
ność».

Rok 1988 przyniósł no-
wą falę niepokoju robotni-
czych, w których dominującą
rolę odgrywali najmłodszy
robotnicy”.

Na podstawie własnych ba-
dań Przemysław Wójcik twier-
dzi, że robotnicy są najbar-
dziej zainteresowani socjali-
stycznym rozwojem kraju. Już
kilkakrotnie byli główną siłą
korygującą politykę partii i
państwa w kierunku socjali-
zmu.

KRYTYKA SYSTEMU „3 S”

Na rynku prasowym uka-
zuje się nowe czasopisma. Na-
leży do nich dwutygodnik go-
spodarczy „GAZETA PRZE-
MYSŁOWA” (nr 1 — cena 150
zł). Redakcja informuje, że po-
raz pierwszy tytuł ten pojawił
się już 122 lata temu w Kra-
kowie jako ilustrowany organ
przemysłu, rękodzielnictwa i
handlu krajowego.

W numerze inauguracyjnym
ciekawa jest rozmowa z Alek-
sandrem Boheńskim. Znany
publicysta gospodarczy konse-
wentnie krytykuje system „3
S” i opowiada się za mene-
żerskim modelem zarządza-
nia.

„W największym skrócie pod-
stawowym, śmiertelnym dla
naszej gospodarki błędem było
przyjęcie zasady, że zaofero-
waliśmy dziesięciolecie wi-
niem był system nakazowy i
centralna reglamentacja. Sko-
ro raz nasi naukowcy przyję-
li tę zasadę, to uznali za lo-
giczne wprowadzić owe słyn-
ne «3 S», a mianowicie samo-
dzielność, samorządność i sa-
mofinansowanie. Wierzyli na-
wias, że wystarczy znieść system
nakazowo-reglamentacyjny, aby
powstała konkurencja, która
będzie wymuszała ruch tych
dźwigni postępu, które wymie-
niłem. Nakazy zlikwidowano,
żadna wolna konkurencja nie
powstała. Dlatego, że aby po-
stała, niezbędne są po pierw-
sze wolne kapitały w nadmiar-
ze, które by sfinansowały bu-
dowę i produkcję zakładów
konkurencyjnych, po drugie
nadmiar ręk do pracy, po trze-
cie kadra chętna do podejmowa-
nia ryzyka związanego z in-
westycjami”.

Zdaniem A. Boheńskiego ci,
którzy odwołali się do wpro-
wadzenia systemu „3 S”, ura-
towali społeczeństwo przed
kompletnym załamaniem stopy
życiowej. Albowiem gospodarce
muszą motywować nakazy
bądź konkurencja.

Aleksander Boheński propo-
nuje odesłać naukowców do
uczelni, a ster gospodarki po-
wierzyć ludziom, którzy lepiej
potrafią gospodarować niż pi-
sać książki. Powinniśmy też w
sposób jasny i jednoznaczny o-
kreślić problem odpowiedzial-
ności.

TRAGIFARSA POGRZEBOWA

Przykładem nieodpowie-
dzialności jest sprawa drugiego
pogrzebu Stanisława Ignacego
Witkiewicza. W relacji z uro-
czystości na cmentarzu zako-
piańskim, która odbyła się 14
kwietnia 1988 roku, Marek
Koprowski napisał w „Ogłosze-
niach”, że prawdopodobnie nie
znaleziono zwłok artysty. Oka-
zuje się teraz, że jest wielki
skandal. Podczas ekshumacji
w Jeziorach na Polesiu
(dziś ZSRR) popełniono błąd,
wykopano i przywieziono do
Zakopanego szczątki nieznan-
ego Poleszuka.

Pierwszy zaczął o tym szerzej
pisać Tadeusz Buski. W kolej-
nym tekście na łamach tygod-
nika „SPRAWY I LUDZIE”
(nr 5) ujawnia, że niektórzy
uczestnicy zakopiańskiej uro-
czystości (w tym promienici)
mieli świadomość udziału w
surrealistycznej farsie.

„Najważniejszą pomyślnie nie
tylko o tym, że jesteśmy jakoś
nie w porządku wobec Matki
pisaną dokwaterować jej do
grobu obcego subkultora, ale
też że postępujemy jak barba-
rzyńcy wobec szczątków jakie-
ś konkretnego człowieka,
które bezsensownie zostały rzu-
cone na obcy teren”.

O przebiegu ekshumacji pisze
w „TYGODNIKU POWSZECH-
NYM” (nr 5) Stefan Okołowicz.
Należał on do oficjalnej dele-
gacji, która pojechała do Jezior
odebrać prochy Witkiewicza, i
na gorąco rozmawiał z człon-
kami polskiej komisji ekshuma-
cyjnej.

Ekshumacja trwała tylko
dwie godziny. Poszukiwania za-
kończono na pierwszych szczą-
tkach ludzkich. Komisja nie
dysponowała zresztą danymi u-
możliwiającymi identyfikację
zwłok. Pierwsze wątpliwości
pojawili się, kiedy szkielet był
już w trumnie, a nazajutrz
miała odbyć się ceremonia
przekazania prochów.

„Tego samego wieczoru, na
ręce p. Macieja Witkiewicza,
komisja przekazała przedmio-
ty pochodzące z odkopanego
grobu. Były to: 10 szklanych, o-
krągłych guzików, w tym
dziewięć białych i jeden nie-
bieski, szeroki pas skórzany
ciasno odciskający o dwóch
szytych oraz obrączka z kolo-
rowego metalu.”

Już oględziny tych przedmio-
tów nasunęły nam — tj. p.
Witkiewiczowi i mnie — po-
ważne wątpliwości co do to-
żności rzeczywiście ekshumowa-
no z grobu szczątki S. I. Witkie-
wicza. Wiadomo bowiem od
świadków pogrzebu, że Witka-
cy został pochowany w tym sa-
mym ubraniu, w którym zadoł
sobie śmierć — w grobie więc
powinno się znaleźć choćby
tylko kilka rodzajów różnego
formatu guzików, jeśli pasek,
to chyba nie wojskowy, ślady
skózanego obuwia itp. Wia-
domo też, choćby z zachowa-
nych fotografii, że S. I. Wit-
kiewicz u schyłku życia był
człowiekiem potężnej postury
ze skłonnością do tycia, za-
naleziony więc w grobie zapię-
ty pas, wskazujący na zde-
cydowaną szczupłość jego wła-
ściciela, nie mógł do Witkiewi-
cza należeć. Po trzecie, choć
znaleziony, Witkiewicz nigdy nie
nosił żadnej obrączki — skąd
więc obrączka znaleziona w
grobie? (...)

Największe jednak wątpli-
wości wzbudziła czarna szkie-
letu, który wydobyto podczas
ekshumacji. Z opisu członków
komisji, którzy widzieli ją z
bliskiej odległości, a także z
pokazanych nam, później foto-
grafii wykonanych podczas
ekshumacji wynika, że pocho-
wana osoba posiadała pełne,
zdrowe zęby. Tymczasem
biografem Witkiewicza znane
są najokładniej jego nieustan-
ne perypetie z zębami. W
swoich listach wielokrotnie je
odnotowuje, wymienia, na któ-
rych zębach miał korony, które
musiał usunąć, by w rezulta-
cie pod koniec lat 30. zastąpić
liczne «klamry» i «mosiki»
sztuczną szczęką. (...)

W sumie już w „Równem
mogłoby wysunąć hipotezę, że
w miejsce szczątków Witkie-
wicza wydobyto z ziemi szkie-
let młodego, szczupłego, nie-
znającego mężczyzny”.

Obok artykułu Stefana Oko-
łowicza na tej samej kolum-
nie opublikowano list otwarty
Włodzimierza Ziemiańskiego do
Rzeszowa do ministra Alek-
sandra Krawczuka. Autor listu
mieszkał kiedyś we wsi Jezio-
ry i był świadkiem ostatnich
dni życia, śmierci i pogrzebu
Stanisława Ignacego Witkiewi-
cza. Pisarz przyznał się do je-
go ojcem.

Włodzimierz Ziemiański wie-
le lat zabiegał o sprowadzenie
prochów artysty do Polski. W
1970 roku odwiedził i zagna-
czył kołkiem grób S. I. Wit-
kiewicza. Od znajomego Po-
leszuka dowiedział się, że w
tym miejscu grzebano już in-
nych zmarłych. Na niewielkim
cmentarzu w Jeziorach (80 : 60
metrów), który istnieje kilka-
set lat, nikt nie kupuje miej-
ska. Nowy grób kopie się tam,
gdzie nie ma już krzyża, a
krzyże były z drewna i gniły.

W 1970 roku Włodzimierz
Ziemiański i stary Poleszuk
Madej bał się ustawić krzyż
nad opuszczoną mogiłą wiel-
kiego artysty. Pierwszy dlate-
go, że we wsi Jeziora był nie-
legalnie, a drugi ze zrozumia-
nych wówczas powodów. Na
założenie autor listu apelu-
je:

„Panie Ministrze, teraz w
zaistniałej sytuacji należałoby
powołać komitet wysokich
specjalistów i przebadanie te-
kwestie, czy sprowadzone pro-
chy należą do Witkiewicza, czy
też nie, i o wynikach powia-
domić społeczeństwo. Milcze-
niem tej sprawy nie da się
zbyć”.

Wygląda więc na to, że Sta-
niśław Ignacy Witkiewicz,
pseud. Witkacy (1885—1939)
poostał w Jeziorach na Pole-
siu... Ale jak teraz z tego wy-
brnąć?

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

MARIA WOJCIECHOWSKA — gospodyni domowa
przede wszystkim, ale także księgowa.

— Nie był to najlepszy tydzień dla kobiet pracujących. To, co
się dzieje w sklepach mięsnych — to już skandal. Praktycznie
kobieta pracująca do południa nie ma żadnej szansy, żeby
kupić względnie przyzwoity kawałek mięsa lub wędliny. Ludzie
ustawiają się w nocy, żeby rano móc kupić kawałek szynki. Ale
jak ma być inaczej, kiedy sklep otrzymuje ponoć na cały dzień
handlowania... 2 szynki. Tak więc większość czasu w ubiegłym
tygodniu spędziłam na zwiędzaniu pustych sklepów mięsnych.

Z przerażeniem patrzę na lawinowo rosnące ceny. Zasko-
wała mnie cena kozaków, jakie zobaczyłam w „Uniwersalu” 45
i 46 tysięcy złotych. Spółdzielnia Mieszkaniowa też mi zrobiła
niespodziankę — przysłała zawiadomienie o podwyższeniu czyn-
zu. Do tego dojdzie wyższa opłata za energię elektryczną i... zu-
pełnie nie wiem, jak to będzie dalej.

PAWEŁ ZAWADZKI — zastępca dyrektora Towar-
zystwa Handlu Odzieżą „Conflexim”.

— Tydzień był pracowity. Spędziłam go w Moskwie. Sprzedałam
odzież za towary rynkowe oraz tkaniny potrzebne naszemu
przemysłowi odzieżowemu. Znaleźliśmy bardzo ciekawego part-
nera, który jest najlepszym przykładem na to, że pierestrojkę
można znaleźć też na dole, nie tylko na górze. W ciągu 2 dni
owocnych obrad sprzedałam odzież za 4 miliony rubli. Kupiliśmy więc lo-
dówki, aparaty fotograficzne, sprzęt turystyczny, konserwy rybne,
miód, dżem. Będą to towary dla uzupełnienia rynku Łodzi i po-
bliskich miast.

Mogłem obserwować ulicę moskiewską. Pieriestrojka, o której
tak dużo w gazetach i telewizji, nie daje jeszcze spodziewanych
efektów w gospodarce i na rynku. Stąd niedostatki w sklepach,
dla ludzi radzieckim żyje się niełatwo. Są jednak zainte-
resowani handlem z nami i to handlem wymiennym, bo można
sprzedawać partnerowi to, czego ma się akurat więcej.

Próbowałem dowiadywać się, co się dzieje w Polsce. U nas
życie polityczne toczy się szybko. Nie mogłem jednak dowiedzieć
się tyle, ile bym chciał, bo radzieckie środki informacji niewiele
uwagi poświęcają Polsce. Główne zainteresowanie skoncentrowa-
ło się na zwyciężeniu Michaiła Gorbaczowa na Ukrainie. Pokazywa-
no jego rozmowy, a często długie monologi wygłaszane wśród tłum-
u przechodniów w Kijowie czy Lwowie. Poza tym obrady
„okrągłego stołu” toczą się już dość długo i z dnia na dzień nie
przynoszą wielkich zmian, co pomniejsza zainteresowanie u za-
granicznych odbiorców.

Po powrocie z dużym zacieśnieniem zabrałem się do czytania
zaległej prasy, aby zorientować się, co się u nas działo, o czym
była mowa i jaki dokonał się postęp. Z pewnym zdumieniem
stwierdziłem rosnący optymizm, szczególnie u dziennikarzy tele-
wizyjnych, którzy przekazując to, o czym mówiono przy „okrą-
głym stole”, mówili też o rozmowach toczonych w przerwach
obrad. To jest interesujące zjawisko. Mówimy o wielkim poro-
zumieniu, a zaczyna się ono od porozumienia między ludźmi.

Przez całe lata nie umieliśmy do siebie mówić. Jeśli już mó-
wiliśmy, to „my” w oficjalnych komunikatach a „oni” w pod-
ziemnej prasie. Nie mówiliśmy do siebie. Nieraz w ogóle nie
słyszeliśmy się. I teraz tego uczymy się. Tworzy się nowy typ
kultury politycznej. Na świecie przecież tak się dzieje, że kole-
dy z jednej klasy idą do różnych partii, mają różne poglądy,
a to im nie przeszkadza nadal być kolegami, podawać sobie rękę,
spotykać się na gruncie prywatnym, towarzyskim. Coś tak-
iego zaczyna chyba i u nas kiełkować. I to pozwala popatrzyć
optymistycznie w przyszłość.

Alm ludzie są już mocno zmęczeni oczekiwaniem, zbyt duże wią-
zali nadzieje z „okrągłym stołem”, niektórzy mogą być rozczaro-
wani kompromisem, choć to już będzie sukces, jeśli do niego do-
jdzie. Ale myślę, że wszystko przed nami.

Zantowała:
BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Słońce wypięzło spod dachów i chlusnęło na miasto pierw-
szym żarem, a ten mężczyzna spał. Był nagi. Miał piękną, udu-
chowioną twarz artysty, małe uszy, zmysłowe usta, siwe brwi
i szczerbki siwych, gestych włosów na głowie. Piękna twarz była
poorana zmarszczkami. Wyglądał tak staro i oddychał tak spa-
matycznie, że można by ewentualnie posłać po lekarza, bardziej
wszelako potrzebny był ksiądz — kolejny odcinek sensacyjnej
powieści ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Obaj kumple byli nalogowymi pokerzystami. Romek Mań-
kowski miał mieszane szczęście. Bywało, że przegrał całą for-
sę, a nie chciał stawiać kosztuły czy butów, wówczas grał o Ewę. Ta,
zwykle mocno podpiąta, spała w alkołowej zażenacji na drucie.
Wyrany budził ją i odbierał swoje. Czasami zdarzało się to po
kilka razy w ciągu nocy — dalszy ciąg „Azylu politycznego”
ANDRZEJA BRYCHTA.

— Akademik jest najpopularniejszą formą zaspokajania potrzeb
zamieszkałych studentów. Ma gwarantować godziwe warunki
nauki i wypoczynku. Okazuje się jednak, że życie w akademiku
nie jest usłane różami — pisze MAREK JUSKIEWICZ.

— Większe problemy ze znalezieniem pokoju w Łodzi mają stu-
denci niż studenci. Najlepszą opinią cieszą się studenci z peda-
gogiki opiekuńczej, medycyny i filologii polskiej. Najmilszą widzi-
nią są studenci eisi, spokojni, bez nalogów, nie utrzymujący kon-
tów towarzyskich, nie korzystający z wanny, nie posiadający
sprzętu radiofonicznego, stojący się na mieście i sporadycznie
przebywający w wynajętym pokoju — piszą BEATA KOSTRZE-
WSKA i MARZENA MROZ.

— Wiele krytycznej uwagi poświęcono strukturalizmowi i mechaniz-
mowi działania partii. Szczególnie interesujące było wystąpienie
Sławomira Wiatra, który w imieniu grupy ośmiu młodych przed-
stawicieli warszawskiego środowiska akademickiego przedstawił
zarys jak gdyby nowej filozofii władzy w Polsce i nowej roli
PZPR, jaką powinna odgrywać w warunkach kształtowania się
społeczeństwa obywatelskiego — artykuł GRZEGORZA MATU-
SZAKA.

— Przez długi czas nie kojarzyłam sobie przyczyny swojego
sieroctwa, tragedii wielu rodzin z osobą Stalina. W rodzinie
panował kult jego osoby, był bożyszczem. Kiedy umarł Stalin,
stałam przy głóśniku ze swą córeczką na rękach i płakałam,
że moja maleńka Lola nie zobaczy żywego wodza — mówi
ENGIELSNA MARKIZOWA.

Dla Czytelników „Odgłosów” zwraca się prezydent miasta Łodzi — JAROSŁAW PIETRZYK

Redakcja „Odgłosów” pod koniec każdego miesiąca zwraca się do prezydenta miasta Łodzi — JAROSŁAWA PIETRZYKA z prośbą o przedstawienie Czytelnikom tych problemów, jakimi zajmuje się administracja województwa łódzkiego. Pierwsza taka wypowiedź ukazała się w numerze 6 z 5 lutego 1989 roku.

Zwróciliśmy się też do Czytelników z propozycją zgłaszania pytań lub spraw ich interesujących, na które

chcieliby otrzymać odpowiedź lub wyjaśnienie. Pytania takie można też zgłaszać dyżurującym reporterom w każdy czwartek.

Tym razem pytania do prezydenta Jarosława Pietrzyka zgłosili: MAREK TROŚCIANKOWSKI, RAJMUND R. N. — z prośbą o zachowanie anonimowości, JERZY KAZMIERCZAK i STANISŁAW DESPUT.

Zaczę od spraw, które dziś wszystkich bulwersują i niepokoją. Są to liczne strajki, niepokoje, narastające żądania podwyżki płac. Na szczęście dotychczasowe krótkie postoje nie zakłócają funkcjonowania naszego województwa, zresztą w niektórych dziedzinach naszego życia trudno sobie strajk wyobrazić. Myślę o służbie zdrowia, transporcie zaopatrzeniowym, gospodarce komunalnej. Ale przecież i tam zgłasza się postulat podniesienia płac. To wszystko czyni nasze życie nerwowym i niespokojnym.

W niektórych zakładach popełniono pewien błąd taktyczny. Wiadomo, że mamy postępującą inflację. Dla jej zwalnienia rząd w stosunku do sfery przemysłowej podjął decyzję umożliwiającą podniesienie płac w 1989 roku o 40 procent bez opodatkowania. Wiele zakładów podniosło płace pod koniec 1988 roku i te podwyżki pochłonięły owe 40 procent. Inne przystąpiły do podwyżek w 1989 roku. Niektóre w ogóle jeszcze do takiej operacji nie



Foto: Grzegorz Galasiński

Poznajmy nasze racje

przystąpiły. W przedsiębiorstwach tych dyrekcje i rady pracownicze zastanawiają się, czy dać od 1 stycznia 1989 roku po 15 tysięcy złotych czy od 1 lipca 1989 roku po 30 tysięcy. Dziś są pod ogromnym presją i koniecznością natychmiastowych wypłat.

Być może to, co teraz powiem nie wszystkim będzie się podobało, ale tak to widzę. Zaczęła się bowiem niezdrowa rywalizacja między zakładami, między związkami: kto więcej wypłaci, kto więcej otrzyma. Jest to niezdrowa rywalizacja. Jak do tej pory nikt nie stracił na tej rywalizacji, ale myślę, że mamy to przed sobą, że wreszcie ktoś przetrze ścieżkę i nastąpi pójście. Poza tym ciągle tolerujemy bezprawie.

Z dużym zainteresowaniem obserwuję dyskusje robocze wynikające z postanowień „okrągłego stołu”. Mimo poważnej różnicy zdań widzę, że uczestnicy dyskusji zmierzają do tego samego celu, proponując różne rozwiązania, zmierzają do kompromisu. Tak kompromis w wielu wypadkach przyczynił się do rozwiązania ważnych problemów w gospodarce i życiu politycznym.

Toczące się obrady „okrągłego stołu” przynoszą też wiele niepewności, na przykład wiążących się z równowagą rynkową, postulatami zniesienia dotacji do artykułów żywnościowych, co trzeba będzie rekompensować podwyżką płac, mówi się o wprowadzeniu ewentualnej indeksacji płac. Zastanawiam się, czy nie będzie potrzeby zamrożenia płac i cen — powiedziałem — na 3 miesiące, aby w tym czasie przygotować taki system, żeby inflacja galopująca nie wyprzedzała płac. Mam jednak nadzieję, że najbliższy czas przyniesie pozytywne rozstrzygnięcia, przynajmniej w niektórych dziedzinach naszego życia.

Przedtem teraz do spraw poruszonych przez Czytelników „Odgłosów”. Chciałbym przede wszystkim podziękować tym, którzy przysłali listy lub telefonowali. Myślałem i wprawdzie, że będzie tego więcej, ale dzięki i za to.

Propozycję Pana, który prosił o zachowanie anonimowości, zwolania ogólnopolskiego spotkania ludzi interesujących się sprawami miasta, na którym można byłoby szerzej porozmawiać o wszystkich problemach, przekazałem do Rady Łódzkiej PRON. Przyjęto tę propozycję z zyczliwością i także spotkanie zostanie w najbliższym czasie zorganizowane. Co prawda niedawne wybory

do rad narodowych i samorządu dawały szansę szerokiej dyskusji, ale skoro taka możliwość nie wystarcza, to warto spróbować innej.

Pan Marek Trościankowski zadał kilka pytań dotyczących problemu mieszkaniowego. Skorzystam z tej okazji, aby nieco szerzej powiedzieć o kwestii mieszkaniowej. Jest to chyba największy problem i przy obecnym systemie organizacji i finansowania budownictwa mieszkaniowego i tworzącego niezwykle trudny do rozwiązania. Dużą poprawę w zaopatrzeniu w surowce i materiały upatruję w podjętych decyzjach dotyczących zwolnienia przedsiębiorstw produkujących materiały budowlane na 10 lat z podatku dochodowego. W latach siedemdziesiątych 40 procent materiałów budowlanych wyposażających mieszkania pochodziło z importu, którego dziś nie ma. Gdybyśmy nawet dziś więcej budowali domów, to i tak nie mielibyśmy w co je wyposażać.

Zmienia się system finansowania budownictwa indywidualnego. Dziś nie może już się powtórzyć taka sytuacja, jaka zdarzyła się w 1988 roku, że ludzie mieszkającymi czekali na kredyt. Jeśli obywatel poświęca swoje oszczędności i pracę, aby wybudować dom, to nie może czekać na kredyt. Uzgodniłbym, że również PKO w Łodzi będzie udzielał kredytu na budownictwo mieszkaniowe.

Budownictwo mieszkaniowe w Łodzi znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Wydajemy na ten cel ogromne sumy z budżetu często kosztem modernizacji miasta. Ale możemy wydać tylko tyle, ile posiadamy. A to są ograniczone koszty, podczas gdy potrzeby są ogromne. Kiedy mówimy o koszcie budowy mieszkania, to nie bierzemy pod uwagę wszystkiego. A liczyć trzeba od kosztów wyłączenia, dania mieszkania w zamian zburzonego, uzbrojenia terenu, dopięcia dochodzą do kosztów samej budowy. Proszę nie zrozumieć tego jako postulat podniesienia ceny mieszkania do niebotycznej sumy. Mówię o tym dlatego, że sami w Łodzi nie rozwiązaliśmy tego problemu. Po prostu nie wytrzymuje tego budżet miasta.

Problem mieszkaniowy wymaga wszechstronnej reformy. Mam na przykład taką sytuację, że jedna rodzina ma po kilka mieszkań, a inne latami czekają na mieszkanie. Wyrażę ujawnił to spis powszechny.

Wadliwa jest też ewidencja mieszkań. Poza tym samodzielną spółdzielczość mieszkaniową uniemożliwia prowadzenie wspólnej polityki mieszkaniowej. Nie mogę pomóc spółdzielcy w załatwieniu jego sprawy, mogę go najwyżej skierować do prezesa Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mieszkaniowej.

Sytuacja zrobiła się tak paradoksalna, że będziemy zakładali własne spółdzielnie z wkładem UML lub urzędów dzielnicowych, które będą przydzielaly mieszkania na innych zasadach niż spółdzielczość mieszkaniowa. Uważamy na przykład, że pierwszeństwo w otrzymaniu mieszkania należy się bezwzględnie temu, kto tego mieszkania potrzebuje, a nie temu, kto jest pierwszy w kolejce i ma już mieszkanie. Taki system powoduje, że niektóre rodziny mają po trzy mieszkania.

A poza wszystkim — to występuje jeszcze problem zatrudnienia w budownictwie. W 1988 roku z pracy w przedsiębiorstwach budowlanych naszego województwa odeszło kilka tysięcy osób. Poszli do rzemiosła i tych zakładów przemysłowych, gdzie płaca jest wyższa a praca lżejsza. Naszym zdaniem budownictwo powinno być w systemie finansowym inaczej traktowane niż zakłady produkcyjne. Zgłaszaliśmy różne propozycje zmian, ale ciągle zmiany w centrum powodują, że trzeba te propozycje zgłaszać — niestety — od nowa.

Tu przede wszystkim do szczegółowego pytania na temat tego, czy Łódź będzie nadal — co ongiś mówiono — poligonem budowlanym? — Działając duży województwo prowadzi takie prace, w wyniku których mają nastąpić zmiany w systemie organizacji i finansowania budownictwa mieszkaniowego. Mam swój udział w zespole zajmującym się tymi sprawami i jeśli nasze propozycje zostaną wzięte pod uwagę, to można byłoby się spodziewać w następnej pięcioletce takich zmian, które pozwoliłyby na powiększenie budownictwa mieszkaniowego. Biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania, to byłoby to w stanie wzbudować około 6000 mieszkań w systemie wielorodzinnym i zapewnić możliwość wybudowania mieszkań w systemie jednorodzinnym wszystkim zgłaszającym się.

Nie uważam aby budownictwo komunalne było przeznaczone dla ludzi ubogich. Jest to wbrew pozorom bardzo drogie budownictwo. I nie jest to

kierunek działania, który zmierzałby do zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych. Budujemy mieszkania kwaterunkowe głównie z tego powodu, że trzeba prowadzić remonty całych budynków, przede wszystkim w śródmieściu. Ludzi z budynków remontowanych trzeba przecież przenieść do innych mieszkań. Nie można również przyjąć zasady, aby przyszli lokatorzy mieszkań kwaterunkowych remontowali je na swój koszt. Jeżeli już — to powinny to robić zakłady pracy i wyspecjalizowane jednostki dla swoich pracowników.

Zgadzam się, że polityka mieszkaniowa jest źle prowadzona. Dotyczy to zasobów komunalnych oraz budownictwa spółdzielczego. Fatalnie funkcjonuje instytucja zamiany mieszkań. Zgodnie z naszymi zasadami prawa lokalowego będziemy to zmieniać.

Przy okazji — dla potwierdzenia takiej konieczności — mogę przedstawić anomalie, jaką ujawnił spis powszechny. W ciągu 10 ostatnich lat w województwie przybyło tylko 30 000 mieszkańców. W tym samym czasie w budownictwie wielorodzinnym wybudowaliśmy 35 000 mieszkań i w budownictwie jednorodzinnym 15 000 mieszkań. W sumie przybyło 50 000 mieszkań na 30 000 ludzi. Natomiast kolejka oczekujących wydłużyła się w tym czasie.

Pan Stanisław Desput pyta, czy stać nas dziś na metro? Metro jest koniecznością niejako ponadczasową. Nie ma innej alternatywy. Metro w Łodzi być musi, gdyż trudności komunikacyjne w mieście będą narastały i inaczej się tego nie rozwiąże. Kiedy wybuduje się metro w Łodzi? To trudno powiedzieć, ale prace projektowe musimy robić teraz aby były gotowe do realizacji, nawet jeśli trzeba będzie w przyszłości poprawiać czy modernizować. Jeśli pan Stanisław Desput ma nadal wątpliwości, gotów jestem zaprosić go na posiedzenie odpowiedniego zespołu, aby posłuchał różnych racji i wyrobił sobie na tej podstawie właściwe zdanie.

Budowę wieżowca ZUS na placu Władysława Reymonta rozpoczęto w oparciu o plan centralny i za pieniądze z centralnego budżetu. Nie mieliśmy na to żadnego wpływu. Później budowę „zamrożono”. Dziś, niestety, trzeba ją rozebrać.

Wracając jeszcze do pytań pana Marka Trościankowskiego, który między innymi pyta mnie, co uczynię, aby Łódź nie była „Polską B”? Uważam, że na istniejące warunki staramy się robić sporo. Przykładem tego projektu modernizacji centrum miasta i ulicy Piotrkowskiej, przygotowanie decyzji o rozbudowie gastronomii i hotelarstwa, co wiąże się z organizacją w Łodzi Targów „Inter-fashion”. Nie powiem, że wszystko przychodzi nam łatwo i łatwo. Na pewno nie jest to wszystko, czego oczekują od nas łodzianie. Ale problem ten, jak każda sprawa, ma dwie strony. Jedna — to co my robimy. Druga — to sposób, w jaki nas traktuje się poza Łódź. I tu musimy działać wspólnie. Są przecież łódzcy posłowie, jest Rada Narodowa Miasta Łodzi, jest Rada Łódzka PRON. I jest utrwalona opinia o Łodzi jako złym mieście. Myślę, że wszyscy powinniśmy tak działać, aby opinia ta ulegała zmianie.

Zanotowała:
BOGDA MADEJ

Z tej ziemi

Zamiast usprawiedliwiać rzeczywistość — trzeba ją zmieniać!

W tęczę rośnie zaległa korespondencja i — przyznaję ze skruchą — nie ma kiedy na nią odpowiedzieć. Nie bardzo jest też gdzie. Poza tym życie niesie tyle istotnych spraw, które warto byłoby skomentować. I dlatego niekiedy problemy podnoszone przez autorów listów trzeba odsuwać na później. A to później — to za tydzień i tak mija czas i autorzy listów mogą pomyśleć, że w ogóle nie mam zamiaru na te listy odpowiedzieć. A tak nie jest.

Od dłuższego czasu przygotowuję się do odpowiedzi na jedną z kwestii podniesionych w obszernym liście Rajmunda R.N., który chciałby poznać w cieniu i prosi, aby nie podawać pełnego brzmienia jego nazwiska, co niniejszym czynię. Otóż Rajmund R.N. uważa, że trzeba w końcu „zlikwidować definitywnie bufet w gmachu KL PZPR”. Jego zdaniem „legitymacja partyjna” i praca w komitecie nie może być przyczyną i powodem kupowania lepszej żywności.

Jawność i swobodny obieg informacji przyczyniają się niewątpliwie do likwidacji wszelkich nieporozumień i nieuzasadnionych żądań. Gwoli ścisłości przypomnę tylko, że w 1981 roku na jakiejś naradzie aktywistów pisarz Wacław Bilinski domagał się, aby gmach KL PZPR oddać na szpital. Zapytani o zdanie specjaliści wyjaśnili, że koszt przeróbki i adaptacji byłby wyższy od kosztu wybudowania nowego szpitala. Żądanie było demagogicznie atrakcyjne, ale całkowicie nierealne. W końcu oddano budynek KD PZPR Łódź-Górna na ZOZ Matki i Dziecka. To też wymagało adaptacji i remontu, ale koszt jego był mniejszy. W końcu budynek powstał dla innych celów i wszelka zmiana wymagałaby kosztów na remont i adaptację. Można tam lokalizować różne biura, siedziby organizacji, ale nie szpital czy przychodnię.

Jeśli chodzi natomiast o bufety, to są one nie tylko w siedzibach komitetów partyjnych. Zdarzało mi się już kupować różne rzeczy w różnych miejscach. Niedawno kupiłem znakomite sardynki w bufecie w jednym ze szpitali. Kiedyś karpie kupiłem w... księgarni. Widziałem bufety w fabrykach, centralach handlu zagranicznego, biurach projektów, urzędach dzielnicowych i UML. Wiem — jak również wiedzą o Czytelnicy „Odgłosów” — że w różnych instytucjach, w fabrykach i biurach organizuje się kiermasze atrakcyjnych towarów dla załóg. Gdyby Rajmund R.N. chwilę zastanowił się nad tym wszystkim, to być może doszedłby do wniosku, że trzeba domagać się likwidacji wszystkich bufetów. Ale przecież domyślam się, że nie przedstawi takiego wniosku, bo jest to całkowicie nierealne.

Byłoby natomiast realne, gdybyśmy mieli do czynienia z rzeczywistym handlem, to znaczy, gdyby handel ten funkcjonował na zasadach konkurencji i miał swobodę w zakupowaniu towarów oraz kierownicy sklepów mogli opłacać personel wedle jego rzeczywistego wkładu pracy. Mimo licznych przedsięwzięć reformatorskich, podejmowanych od dłuższego już czasu, handel nadal jest biurokratyzowany, skrupowany i ciągle sterowany centralnie, czy to w skali kraju, czy w skali województwa, miasta, gminy. To „sterowanie” sprawia liczne kłopoty klientom. Oto do 1 marca 1989 roku w wolne soboty sklepy spożywcze były zamknięte o godzinie 12.00. Powodowało to liczne perturbacje. Wielu klientów, do których nie dotarły informacje o skróceniu dnia pracy sklepów spożywczych w wolne soboty, odchodziło sprzed sklepów bez niezbędnych zakupów. Wreszcie w UML przyznano, że był to „nieudany eksperyment” i że od 1 marca 1989 roku sklepy będą czynne w wolne soboty do godziny 13.00. Czyż trzeba było aż „nieudanego eksperymentu”, aby przekonać się o czymś, o czym w Łodzi wszyscy wiedzą od dawna? Poza tym mam wątpliwości, czy rzeczywiście czas wszystkich sklepów musi być tak dokładnie ustalony? Czy w milionowym prawie mieście wystarczy tylko dwa sklepy nocne?

Wielekroć widziałem, jak załoga sklepu nerwowo spogląda na zegarek, jak czeka te godziny, o której może już zamknąć sklep. Wiem, że w handlu praca nie należy do lekkich. Ale też wiem, że jak człowiek chce zarobić, to musi włożyć w to nieco więcej pracy i ta praca musi być dobrze opłacona. Może niektórym załogom sklepów opłacałoby się, gdyby mogły w wolne soboty popracować nieco dłużej, na przykład do 13.00 i zarobić więcej? Czy ciągle wszystko musimy dokładnie i centralnie ustalać dla wszystkich jednocześnie?

Teraz odbywają się sprawozdawcze konferencje partyjne organizacji wojewódzkich. Takie konferencje odbyły się w Sieradzu, Skierniewicach, Piotrkowie Trybunalskim. Delegatom na te konferencje przedkładano sprawozdania z dotychczasowej pracy komitetów wojewódzkich i ich egzektyw. W tych sprawozdaniach mówi się też o pracy handlu. Nie zapominajmy przecież, że socjalizm — to pełne zaspokojenie maksymalnie rosnących potrzeb. Tak głosi teoria. W praktyce potrzeby rosną nie tylko maksymalnie, ale i szybko, ich zaspokajanie systematycznie spada. Ma w tym również swój udział biurokratyzowany handel.

To prawda, żeby sprzedawać, trzeba mieć towar, a towar nie powstaje w handlu, tylko w przemyśle. Handel nie może ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za niesprawność wytwórców. Ale handel, jeśli ma spełniać swoją rolę, jeśli jest zainteresowany sprzedażą towarów i widzi w tym swój interes, to musi wymusić na wytwórcach potrzebny mu produkt. Jak do tej pory wymusił różne tego sposoby.

W „Programie łódzkiej organizacji partyjnej na lata 1986—1990” zanotowano następujące uwarunkowanie rozwoju społeczno-gospodarczego: „Przewaga demograficzna kobiet (115 na 100 mężczyzn), ich wysoka aktywność zawodowa i wyjątkowo duża ilość rodzin niepełnych. Wymaga to szybkiej poprawy opieki zdrowotnej i przedszkolnej, zaopatrzenia, handlu oraz zakresu i poziomu usług”. A jak to osiągnąć? Wskazano było następujące: — „zmniejszyć uciążliwość zakupów poprzez rozbudowę sieci handlowej i usługowej”. Jeśli rozejrzemy się wokół siebie, to stwierdzimy, że to nader ogólne zalecenie nie zostało zrealizowane. Pomijam już fakt, że coraz więcej sklepów przekazuje się do remontu, który trwa latami.

W „Sprawozdaniu z realizacji uchwały VI Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Piotrkowie Trybunalskim za okres: październik 1986—luty 1989” odnotowano, że „w sferze handlu, usług i drobnej wytwórczości realizowano zadania przyjęte w programie na lata 1986—1990. Realizacja programu przebiega na ogół poprawnie. Nie oznacza to, że zostały zaspokojone potrzeby społeczne w zakresie zaopatrzenia rynku”. Pomijam wewnętrzną sprzeczność tego ogólnego stwierdzenia, ale można byłoby z niego wyciągnąć wniosek, że w Piotrkowskiem nie ma społecznych kolejek po meble i po inne towary potrzebne ludziom do wyposażenia mieszkania, że w ogóle nie ma kolejek, że polki są zawałone towarami i „krzywa rośnię”. A przecież tak nie jest.

Zastanawiam się, dlaczego Rajmund R.N. nie zaprotestuje na przykład przeciwko przedziałom, różnego rodzaju metodom zastępowania handlu, do których należą również bufety, ale nie tylko w budynku przy al. Tadeusza Kościuszki 111/113. W innych też, we wszystkich. Ale, żeby tak było, handel musi się odbiurokratyzować i musi zacząć normalnie handlować. Innego wyjścia nie ma.

Marzy mi się też, aby partia, która mieni się robotniczą, stała się opozycyjną wobec tego typu zjawisk, jakim jest biurokratyzowany handel. Żeby śmiało odrzucać dogmat, że „krzywa musi rosnąć” i zaczęła wraz z innymi szukać rozwiązań, które zamiast usprawiedliwiać istniejącą rzeczywistość zaczęłyby ją radykalnie zmieniać. Na lepsze!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Nie zmniejsza się zainteresowanie polskiego społeczeństwa zbrodnią dokonaną w Lesie Katyńskim w pobliżu Smoleńska. Tęcza się prace historyków, które mają wyjaśnić okoliczności tej zbrodni. Przy okazji różnych publikacji wspomina się obozy polskich żołnierzy w ZSRR w Kozielsku i Starobielsku na południowy wschód od Charkowa i w Ostaszkowie nad jeziorem Seliger. Nie były to jedyne obozy żołnierzy polskich w ZSRR.

1.

Ambasador Polski w Moskwie Wacław Grzybowski wezwany w nocy z 16 na 17 września 1939 roku odmówił przyjęcia noty radzieckiej, według której „państwo polskie i jego rząd przestali istnieć”, przez co „straciły ważność traktaty zawarte pomiędzy ZSRR a Polską” i dlatego ZSRR czuje się w obowiązku wkroczyć na ziemię „byłego państwa polskiego”, aby wziąć w obronę zamieszkującą je ludność białoruską i ukraińską. Armia Czerwona rankiem 17 września 1939 roku przekroczyła ustaloną traktatem ryskim z 1921 roku wschodnią granicę Polski i znalazła się na tyłach walczących jeszcze w kilku miejscach wojsk polskich. Uważa się, że w walce z hitlerowskim najeźdźcą pozostało 25 polskich dywizji. Jest faktem, że zgrupowanie gen. Franciszka Kleeberga i obrońcy Helu skapitulowali dopiero na początku października 1939 roku.

Wkraczające wojska radzieckie na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej różnie były witalne. Białorusini i Ukraińcy witali je jako wyzwolicieli spod panowania „pańskiej Polski”. Byli wszakże ukraińscy nacjonalści, którzy nie przejawiali zbytniej radości. Wielu Polaków przyjęło z ulgą Armię Czerwoną, traktując ją jako sojusznika idącego na pomoc. Zdarzało się, że tak traktowali żołnierzy radzieckich żołnierze polscy. Doszło jednak do kilku potyczek, niektórych utrzymują, że tych potyczek było kilkadziesiąt oraz dwie poważniejsze bitwy.

Żołnierze Armii Czerwonej okradali polskie jednostki, rozbrajali je i brali do niewoli. I tu zaczyna się podstawowy problem. Już Maria Turlejska w książce „Prawdy i fikcje” — wydanej w 1966 roku — zwraca uwagę na nieścisłość terminu „jeniec wojenny”. Związek Radziecki — píše ona — „wojny Polsce nie wypowiedział i wojny przeciw Polsce nie prowadził, choćby już z tego prostego powodu, że nota z 17 września stwierdzała, iż państwo polskie przestało faktycznie istnieć. Nie można przecież prowadzić wojny z państwem, którego istnienie się neguje”. A zatem chodziło o rozbrojenie i internowanie.

Na podobnym stanowisku stanął Piotr Żaroń w książce „Kierunek wschodni w strategii wojskowo-politycznej gen. Władysława Sikorskiego 1940—1943” wydanej przez PWN w 1988 roku. Píše on: „Polska we wrześniu 1939 r. nie była w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, tak więc żołnierze polscy, którzy zostali broń przed Armią Czerwoną i zostali zmieszani w obozach, nie powinni być okreśani mianem — jenców wojennych”.

Ale i określenie „internowani żołnierze polscy” też budzi pewne wątpliwości. Piotr Żaroń tak definiuje to pojęcie:

„...internować ma dwa znaczenia:

1. zatrzymać, osadzić (po uprzednim rozbrojeniu) w specjalnych obozach oddziały wojska państwa wojującego, które przekroczyły granicę państwa neutralnego;

2. przymusowo umieszczać w określonych miejscach pobytu lub zamkniętych obozach obywateli państwa obcych, zwłaszcza nieprzyjacielskich, do czasu zakończenia wojny”.

Żołnierze polscy wkraczający na terytorium Litwy, Łotwy, Rumunii i Węgier byli rozbrajani i internowani. Żołnierze polscy, których rozbrajali żołnierze Armii Czerwonej byli na własnym terytorium. Tak więc pojęcie internowania — jak zauważa Piotr Żaroń — „nie w pełni odpowiada sytuacji żołnierzy polskich umieszczonych w obozach radzieckich” i skłania się

Polscy żołnierze września 1939 roku nie byli jencami wojennymi w ZSRR, byli co najwyżej internowani.

W Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku

WITOLD BOROWY

raczej ku drugiemu rozumieniu pojęcia „internowany”, choć i to wydaje się dość wątpliwe.

W rozmowach dyplomatycznych po 21 czerwca 1941 roku prowadzonych między rządem polskim w Londynie a dyplomatami radzieckimi używano — i tak to formułowano w dokumentach — pojęcia „jeniec wojenny”, choć faktycznie nie odpowiadało ono formalnej sytuacji polskich żołnierzy. Ale były wówczas sprawy ważniejsze niż precyzyjne sformułowania.

2.

Najbardziej znane są trzy obozy, w których przebywali polscy żołnierze internowani w ZSRR: Starobielsk koło Charkowa, Kozielsk w pobliżu Tuli i Ostaszków nad jeziorem Seliger. Było jednak tych obozów więcej. Na przykład 25 sierpnia 1941 roku gen. Władysław Anders i gen. Zygmunt Szyszko-Bohusz wizytowali obozy polskich żołnierzy w Griazowcu i Suzdału. Towarzyszył im gen. Georgij S. Żukow — który nie ma nic wspólnego z marszałkiem Georgijem K. Żukowem — a który najpierw opiekował się powstającą w ZSRR armią gen. Władysława Andersa, a następnie I Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki gen. Zygmunta Berlinga.

Wspomniany już Piotr Żaroń píše, że „już w okresie między 2 a 10.IX.1941 r. liczba przybyłych wyniosła: 983 oficerów oraz 21.662 podofi-

cerów i szeregowców oraz funkcjonariuszy b. policji państwowej. Byli to ludzie głównie z obozów ze Starobielska, Woznieńska, Iwanowa, Griazowca i Suzdału”. W Griazowcu znalazło się na przykład 400 oficerów z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Do obozu w Griazowcu jechali oni na ogół przez oboz Pawliszczew Bor.

Wspomina się też jeszcze o obozach w Juchniewie, Swierdłowsku, Krasnojarsku, o obozie Juza w rejonie miejscowości Talice. W sierpniu 1941 roku powołano mieszane komisje do rekrutacji żołnierzy i oficerów w obozach. W skład takiej komisji w obozie w Starobielsku wszedł ppłk Kazimierz Wiśniewski, w Griazowcu — ppłk Stanisław Pstroński, a w obozie Juza koło Talicy — ppłk Nikodem Sulik-Sarnecki. Najgłośniejsze jest jednak o obozach w Ko-

poklasztornym. Obóz w Ostaszkowie znajdował się na wyspie na jeziorze Seliger. W obozie tym ułokowano 400 oficerów, w tym 300 oficerów policji państwowej zmobilizowanych we wrześniu 1939 roku, oficerów, podoficerów i szeregowych Korpusu Ochrony Pogranicza, żandarmerii, wywiadu, straży więziennej, sądów, ziemian i osadników wojskowych. Natomiast obozy w Kozielsku i Starobielsku miały charakter wyłącznie oficerski. Przynajmniej do okresu, kiedy nie wywieziono z nich oficerów.

W Kozielsku przed I wojną światową miały swoje siedziby rody Oginski i Puzyńscy. Kozielsk leży przy linii kolejowej Smoleńsk — Gorbaczewo — Tula. Ze Smoleńska do Kozielska jest około 250 km. W pobliżu dawnego klasztoru, który stał się obozem dla polskich oficerów, w odległości pół kilometra, położona w lesie jest pustelnia dawnych mnichów — Skit. Ona również należała do obozu. Początkowo w tym obozie osadzano również szeregowych. Wspomina o tym szeregowy Władysław Czajka.

„W dniu 17 września za Równem w godzinach popołudniowych zostaliśmy wzięci do niewoli przez żołnierzy radzieckich. Pieszo, a następnie kolejną przez Kijów dojechaliśmy do m. Ciotkinów, a stąd wąskotorówką do obozu w Kozielsku. Oficerowie zostali oddzieleni od nas”.

Po jakimś czasie Władysław Czajka wraz z innymi został wymieniony na jeńców zamieszkałych na terenach zajętych przez ZSRR, został osadzony w stalagu w Austrii. Do połowy listopada 1939 roku trwała taka wymiana jeńców między ZSRR a Trzecią Rzeszą.

Starobielsk leży nad rzeką Ajdar we wschodniej części Ukrainy, niedaleko Charkowa. Teren dawnego klasztoru otoczony był wielkim murem a na wprost głównego wejścia mieściła się stara cerkiew. Niedługo mieścił się tu obóz skazanych na zesłanie, a następnie spichrz. W Starobielsku znaleźli się oficerowie żołnierze, broniący Lwowa przed hitlerowcami wraz z gen. Władysławem Langnerem. Nie chcieli poddać się Niemcom, woleli poddać się Armii Czerwonej. Otrzymali prawo wolnego udania się na emigrację do Rumunii lub na Węgry. Wszyscy — albo niemal wszyscy — znaleźli się w obozie w Starobielsku.

W obozie w Ostaszkowie powstała pieśń, której początek i koniec tak brzmią:

Na wyspie Równej wśród lasów i wód
Spędzamy dni szare niewoli,
A z nami przebywa tęsknota i ból,
Odwieczny towarzysz niedoli.
(...)

Gdy zajdzie potrzeba,
Gdy zechce tak los,
Nie pomni na groby i rany
Swe życie i zdrowie oddamy na stos
Dla Ciebie mój Kraju Kochany”.

5.

Jak wynika z wielu przesłanek rozładowywanie lub — jak kto chce — likwidacja obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie rozpoczęła się w początkach kwietnia i trwała do końca pierwszej dekady maja 1940 roku.

zielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Niewątpliwie dlatego, że z blisko 9.000 oficerów tam osadzonych uratowało się tylko 400.

3.

„Krasnaja Zwiezda” w rocznicę 17 września 1939 roku — a zatem 17 września 1940 roku — podała, że Armia Czerwona wzięła na terenie Polski do niewoli 181.000 jeńców, w tym około 10 tysięcy oficerów. Było wśród nich: 12 generałów, 55 pułkowników, 72 podpułkowników i 9.227 oficerów niższych stopni. Te same liczby podała „Prawda” z 1 kwietnia 1941 roku. Gen. Władysław Sikorski w przemówieniu radiowym z 23 czerwca 1941 roku wspominał, że „czwarte miliona polskich jeńców wojennych marnuje się bezczynnie w obozach ZSRR”. Natomiast Iwan Majski — ambasador ZSRR w Londynie — podczas rozmów z gen. Władysławem Sikorskim uparcie podawał, że w ZSRR jest około 20 tysięcy żołnierzy polskich, w tym z tysiąc oficerów. Zarówno gen. Władysław Sikorski, jak i gen. Władysław Anders upominali się, w tym również u Józefa Stalina, o zaginionych oficerów polskich, przedstawiając ich listę. Otrzymywali na ogół — można to tak określić — wymijające odpowiedzi.

4.

Wszystkie trzy obozy: w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku znajdowały się na terenie

Nie jest łatwo pokazać dzieje jednej armii. Wymaga to przedstawienia jej składu, sposobu formowania się, jej koncepcji walki. Ponieważ powstanie w Łodzi Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”, chcemy naszym Czytelnikom umożliwić poznanie dzieł tej armii. Są one fragmentem najnowszej historii Polski — niekiedy mało znanej, szczególnie młodszemu pokoleniu. Żołnierze tej armii walczyli nad Wartą i Widawą, a później bronili Warszawy. Pragniemy losy Armii „Łódź” pokazać w cyklu artykułów, które złożyłyby się na całość jej dzieł, pokazanych oczywiście w sposób popularny.

Powstanie Pomnik Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”, warto więc wiedzieć, co to była Armia „Łódź”, z jakich składała się jednostek, jak i gdzie walczyła?

W marcu 1939 roku powstała Armia „Łódź”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

23 marca 1939 roku — zgodnie z planem „Zachód” — powołano do życia armie i grupy operacyjne: „Kraków”, „Łódź”, „Modlin”, „Pomorze”, „Poznań” oraz Samodzielną Grupę Operacyjną „Narew”. Dowództwo Armii „Łódź” powierzono gen. dyw. Juliuszowi Rómmelowi. Jak wspomina on w pamiętnikach „Za Honor i Ojczyznę” otrzymane wówczas wytyczne głosiły:

1. Oddziałami ostonowymi ostonie kierunki Łódź i Piotrków.

2. Przeciwdziałać się obronnie z wyzyskaniem możliwości przeciwnatę skoncentrowany mi siłami armii na odcinku armii Bezwzględnie utrzymać rejonu Łódź i Piotrków.

3. Na lewym skrzydle utrzymać łączność z armią „Kraków” i nadzorować kierunek Radomsko.

Pas działania — północna linia rozgraniczenia: Białski, U-

niejów (wyłącznie), południowa linia rozgraniczenia: Krzepice, rzeka Liswarta, rzeka Warta, Przedbórz”.

Generał Juliusz Karol Wilhelm Rómmel pochodził z Grodna. Urodził się 3 czerwca 1881 roku. Od 1903 roku służył jako oficer zawodowy w armii rosyjskiej. Ukończył korpus kadetów w Pskowie i szkołę oficerską artylerii w Petersburgu. Był oficerem I brygady artylerii. W armii carskiej służył do 1917 roku. Od 3 listopada 1918 roku w Wojsku Polskim. Był już w stopniu pułkownika. Poprzednio brał udział w formowaniu wojska polskiego na Ukrainie i był internowany jako dowódca brygady przez Austriaków.

Brał udział w wojnie polsko-radzieckiej 1919—1920 jako generał brygady. Dowodził artylerią a następnie utworzoną przez siebie dywizją kawalerii. Jesienią 1920 roku na czele ka-

walerii dokonał wypadu na Stucz i Korosten.

Po wojnie 1919—1920 dowodził kawalerią, a po maju 1926 roku powołany został do pracy w Głównym Inspektoracie Sił Zbrojnych. W 1928 roku został awansowany na generała dywizji, a w 1929 roku mianowany inspektorem armii, co równało się kandydaturze na dowódcę samodzielnej wielkiej jednostki WP w wypadku wojny.

Do 7 września 1939 roku dowodził Armią „Łódź”, od 8 września 1939 roku Armią „Warszawa”, która broniła stolicy Polski. Po kapitulacji Warszawy 28 września 1939 roku przebywał do 1945 roku w niemieckiej niewoli. Powrócił do kraju i przeniesiony był w stan spoczynku. Działal w Radzie Naczelnej ZBoWiD. Zmarł w 1967 roku.

Gen. Juliusz Rómmel dla realizacji nakreślonego planu działania Armii „Łódź” miał otrzymać pięć dywizji piechoty. On sam w cytowanym pamiętniku „Za Honor i Ojczyznę” píše, że miały to być dywizje: 10, 12, 22, 28, 30. Inni — w tym Władysław Bortnowski, Marian Porwit i Jan Wróblewski zgodnie utrzymują, że miały to być dywizje piechoty: 9, 10, 24, 29 i 30. Byłbym wszakże skłonny przyznać rację dowódcy, bo i faktem jest, że otrzymał trzy dywizje piechoty: 10, 28, 30, a 2 września 1939 roku dotarła 2 DP Legionów. Tak więc dysponował 4 dywizjami piechoty, dwoma brygadami kawalerii, pułkiem kawalerii Korpusu Ochrony Pogranicza, dwoma pociągami pancernymi, 4 kompaniami czołgów rozpoznawczych TK, czterema batalionami Obrony Narodowej: „Kepno”, „Wieluń I”, „Wieluń II” i „Ostrzeszów”.

Siły Armii „Łódź” do rozpoczęcia wojny oblicza się na: 34 bataliony piechoty, 29 szwa-

dronów kawalerii, 168 dział polowych, 10 dział przeciwlotniczych, 50 czołgów rozpoznawczych, 2 pociągi pancerny i 49 samolotów różnych typów.

22 Dywizja Piechoty Górskiej, którą dowodził płk L. Engel-Ragis, istotnie była przeznaczona dla Armii „Łódź”, ale 2 września 1939 roku została skierowana dla wzmocnienia Armii „Kraków”, dowodzonej przez gen. bryg. Antoniego Szillinga. Na jej miejsce do Armii „Łódź” została skierowana 2 DP Legionów, dowodzona przez płk Jana Edwarda Dojana-Surówkę.

Sąsiedzi Armii „Łódź”

Pas działania Armii „Łódź” był — w porównaniu z pasami działania innych armii — stosunkowo wąski, wynosił około 100 km, a jego głębokość od przedpola do głównych pozycji obronnych położonych nad Wartą i Widawą sięgała od 60 do 70 km. Na północ od Armii „Łódź” znajdowała się Armia „Poznań”, dowodzona przez gen. dyw. Tadeusza Kutrzebę. Armia ta dysponowała: 55 batalionami piechoty, 19 szwadronami kawalerii, 240 działami polowymi, 18 działami przeciwlotniczymi, 65 czołgami rozpoznawczymi, 2 pociągami pancernymi i 48 samolotami różnych typów i września 1939 roku na teren działania Armii „Poznań” przybyła Podolska Brygada Kawalerii. Najbliższym miejscem w polskiej obronie był styk obu armii w rejonie Kalisza, gdzie stacjonowała 25 DP, którą w razie potrzeby mógł dysponować gen. Juliusz Rómmel.

Jak wspomina Juliusz Rómmel w cytowanych już pamiętnikach, nie znał on do końca planów działania swoich sąsiadów: Armii „Poznań” i Armii „Kraków”. W lipcu 1939 roku teren działania Armii „Łódź”

odwiedził marszałek Edward Rydz-Śmigły. „Robiłem, co mogłem — píše J. Rómmel — aby wyciągnąć od Śmigłego wiadomości o sytuacji polskiej armii i jej ugrupowaniu oraz rozmieszczeniu odwodów. Było mi to potrzebne, żeby uświadomić sobie rolę mojej armii „Łódź” w ogólnym planie działań. Wiadomości tych mi, dowódcy armii, nie posiadał, a przecież były one niezbędne, aby orientować się w ogólnej sytuacji”. Gdy gen. Juliusz Rómmel przyznał się, że porozumiał się z generałami Antonim Szillingiem i Tadeuszem Kutrzebą, aby od nich dowiedzieć się o zadaniach ich armii, marszałek „nie wytrzymał i prawie rzucił się” na niego ze słowami:

— „Ja sobie wypraszam robienie takich sowietów między dowódcami armii. Pan generał nie wie widocznie o tym, że nasz sojusz z Francją i Anglią jest uwarunkowany tym, że Polska nie będzie prowokowała Hitlera swoją mobilizacją i koncentracją o charakterze zaczepnym. W obecnych warunkach politycznych my, Polacy, nie możemy być agresorami. Pan generał proponuje zebranie tych 17—20 naszych dywizji i uderzenie nimi na Wrocław. A co będzie, jeżeli ta akcja nam się nie uda? Cały świat powie. że Polska pierwsza napadła na biednych Niemców, że Polacy są i zawsze byli narodem awanturniczym i zawsze im w głowie były różne powstania i bijatyki”.

Istotnie gen. Juliusz Rómmel miał plan przeciwdziałania. Znał — poprzez meldunki wywiadu — siłę i rozmieszczenie Wehrmachtu naprzeciw swoich pozycji. Rozumiał, że główne uderzenie może pójść przez jego pozycje na Warszawę, że drugi taki rzut niemiecki może pójść przez Częstochowę, w rejonie której działała 1 DP, ale

to nie zmieniało faktu, że kierunek ten na Warszawę był słabo broniący. Stąd jego pomysł przeciwdziałania. Zabrał marszałka Edwarda Rydz-Śmigłego na punkt obserwacyjny na południe od Wielunia. Pokazał mu lasy po niemieckiej stronie naszpikowane wojskiem. „Ku memu zdziwieniu — wspominał — zobaczyłem, że te groźne wiadomości nie uczyniły na Śmigłym żadnego wrażenia. Odwrótnie, zaczął opowiadać różne polityczne ploteczki, które przywiózł generał Wieniawa z Rzymu”.

Na południe od linii obronnej Armii „Łódź” rozlokowana była Armia „Kraków”, dowodzona przez gen. bryg. Antoniego Szillinga. Jej zadaniem była obrona rejonu Śląska. Dysponowała: 59 batalionami piechoty, 29 szwadronami kawalerii, 312 działami polowymi, 40 działami przeciwlotniczymi, 90 czołgami rozpoznawczymi, 2 pociągami pancernymi i 47 samolotami. 2 września 1939 roku na jej teren działania przybyła 22 DP Górskiej.

Na zapleczu — czyli na tyłach — Armii „Łódź” działała miała powołana w czerwcu 1939 roku Armia „Prusy”, dowodzona przez gen. dyw. Stefana Dąb-Biernackiego, która miała stanowić odwód Naczelnego Wódza rozlokowany w rejonie: Tomaszów Mazowiecki — Radom — Kielce. Odwód ten miał być użyty do walki tam, gdzie nieprzyjaciół przerwałyby linie obronne polskie i zagrażał uderzeniem na Warszawę.

PS. W najbliższym czasie o piechocie i kawalerii Armii „Łódź”.

G. Gazda: — Jest to najpełniejsza antologia z całą pewnością, zawiera najbogatszy wybór z poetyckiego dorobku ostatnich 45 lat i stanowi najpełniejszą reprezentację poezji. To był znakomity pomysł, ale jest w niej wiele przeoczeń...

J. Zaorski: — Antologię wydało nie zasobne wydawnictwo „Czytelnik” czy PIW, lecz wityrna łódzka!

G. Gazda: — Tak, ale są tam przeoczenia o dość ewidentnym znaczeniu, myślę o Wandzie Karczewskiej... Nie wiem dlaczego np. Słobodnik tak został potraktowany? Owszem, miał gorsze okresy, ale w „Odgłosach” drukowaliśmy jego ostatnie wiersze naprawdę znakomite, wielu poetów, którzy znaleźli się w antologii ze względu na pewne konsekwencje środowiskowe. Proszę tego nie traktować jako zasadniczej wypowiedzi, bo musiałbym tu wygłosić dłuższą recenzję...

J. Zaorski: — Tej antologii nie wydaliśmy ze względów finansowych! Czy wiecie, że przy jej cenie 2 tys. zł wyszliśmy na zero? Gdybym chciał ją wydać w styczniu 1989 r., to musiałaby kosztować 3.400 zł!

K. Stryjski: — Mam pytanie — kryzys literatury czy gatunku? Uważam, że jest to nie ty-

J. Zaorski: — Wpadnę panu w słowo. Siedem lat nie ukazał się album grupy „AR” tylko dlatego, że nie mogliśmy kupić kredy, a kreda została zwolniona z reglamentacji. Prywaciarz mógłby zarządzić, ja nie mogę.

Druga kwestia — to pojawiające się co jakiś czas głosy o kryzysie literatury. O tym się mówi od dawna, a już szczególnie od chwili pojawienia się filmu, telewizji. Mówi się, a książka miała się i ma całkiem dobrze. Wraz z rozwojem masowej kultury pojawiły się nowe gatunki literackie — nowela filmowa, scenariusz. Niepokojące są natomiast próby wmontowania literatury w polityczną orbitę, tak jak oczekiwanie, że pisarz zastąpi historyka i wypełni „białe plamy”. A to, czy mamy dobrą czy też złą literaturę? — tak postawione pytanie uważam za nieporozumienie. Historia zweryfikuje dzisiaj, jakże często spektakularne oceny i każde-mu twórcy wystawi własną notę. Z niejednej dzisiejszej wysokiej noty nasi wnukowie zaśmieją się w kulak...

E. Lewandowski: — Padają słowa o stanie literatury polskiej, o roli pisarza. Mam w związku z tym pytanie do zebranych: dlaczego tak się dzieje, że w okresach tzw. odwilży Rosjanie otwierają szuflady, w których jest pełno znakomitych tekstów. Okazuje się, że oni rzeczywiście pisali to wszystko wiele lat naprzód. Nato-

ci literatura polityczna, te rzędy nudnych książek.

Kiedyśmy wydali „Jak ująć wierszem twój chwałę” wydawało nam się, że robimy czytelnikowi wielką frajdę, że książka będzie czytana. Wszystko, co się przedtem wydawało, było „ze Związkiem Radzieckim na czele”. A tu tymczasem po raz pierwszy ukazaliśmy hold rosyjskich poetów złożony Polsce, a więc nie ten sam Związek Radziecki. I co? Czytelnik tego nie wziął do ręki. A antologie ormiańska i gruzińska? To nie był socrealizm, ani razu nie pada nazwisko znakomitego Gruzina Stalina. Są to znakomite wiersze pochodzące z równie znakomitego okresu literatury perskiej.

I na koniec o dwóch sprawach. Przyjechała kiedyś do Związku Literatów delegacja młodych pisarzy z Opola. Pytam: — Czy piszecie o pięknej przeszłości tej ziemi, o tej całej romantyce opolskiej? — Co też pan! — usłyszałem w odpowiedzi. — Kto by tam o tym teraz pisał, chyba tylko ci od pierwszomajowego pisania. My jesteśmy od wypowiadania siebie! Współczesna poezja jest niesłychanie egocentryczna. Ona nie będzie opisywała świata otaczającego. Bo ona nie umie. Poeci nawet nie wiedzą, jak to zrobić. Zaprosili mnie kiedyś członkowie grupy „Centaur”, młoda osoba czyta mi wiersz o prostytutce z ul. Zielonej. Więc jej mówię: — Proszę pani, na ulicy Zielonej jest księgarnia, przystanek tramwajowy, na nim ludzie, idzie kobieta z mlekiem, jest też Dzielnica Rada Narodowa... niech pani o tym napisze, niech pani

L. Włodkowski: — Pozwólcie, że opowiem wam, że moim marzeniem jest, żeby drukować w „Odgłosach” taką powieść-rzekę, jakie są modne na Zachodzie, jakie funkcjonują w przekładzie telewizyjnym, powieść, która by była bieżącym zapisem rzeczywistości sprzed tygodnia...

E. Lewandowski: — Literackim zapisem biegu życia.

L. Włodkowski: — Zwróćcie uwagę na dwa fakty. „Dziennik Łódzki” drukował swego czasu — w tygodniu po „Sztandarze Młodych” — dalszy ciąg „Domu” Jerzego Janickiego, a więc nie powieść w klasycznym kształcie, lecz scenariusz. Gazeta szła jak woda. Ludzie chcą mieć potwierdzenie swoich odczuć, oczekiwanie tego w formie literackiej. Gatunek ich specjalnie nie interesuje. Ktoś powiedział, że obserwuje ludzi stojących w każdy piątek w kolejce po „Express Ilustrowany”, którzy gazetę kupują dla programu TV. Jak dalece są to oceny mityczne, mógłbym tego dowiedzieć posługując się bardzo szczegółowymi danymi. Dowodzą one, że nawet najlepsze książki kryminalne publikowane w gazetce nie podnoszą jej nakładu.

Nie będę ukrywał, że Zbigniew Nienacki „Skierolawkami” i „Wielkim lasem” pomógł nam podnieść nakład. Nie będę ukrywał, że zrobił to Anatolij Rybakow.

J. Zaorski: — Tak jak wydawnictwu Piłsudski czy markiz de Sade.

L. Włodkowski: — A więc literatura. I my od niej nie stonimy. Dokonał się jednak w ostatnim czasie pewien zwrot. Jeszcze kilka lat temu pisma zwrócone były do pisarzy, do środowisk, próbowały pełnić rolę służebną wobec tych środowisk. Dzisiaj pisma się zwróciły ku właściwemu adresatowi: ku czytelnikowi i biorą pod uwagę to, czego czytelnik oczekuje. „Odgłosy” chętnie by drukowały wspomnienia, opowiadania — nie chodzi o zresztą o formę — ale o tego okresu, którego czytelnik oczekuje, np. rok 1956, 1968, 1970, lata 80. Popatrzcie, leży temat — strajk łódzki 1971!

E. Lewandowski: — Przepraszam bardzo, ale napisał o tym Józef Spychalski...

L. Włodkowski: — Owszem. Drukowaliśmy. Ale to nie wyczerpuje tematu. Mówi się, że czytelnik łódzki jest niewdzięczny. Gdy publikujemy tekst pod nagłówkiem: „Łódź, historia, wspomnienia — relacje” to mamy najwięcej listów. Ludzie piszą, że spełniają, prostują. Nie jest to co prawda literatura, ale ludzie oczekują opisanie ich losów. Powiem brutalnie: trudno odejść od służenia środowiskowi! Będziemy służyli czytelnikowi. To jest jedyne kryterium. Po drugie: chcielibyśmy, żeby znikały podziały na taką czy inną literaturę. Jeśli przyjdzie do mnie pisarz, który jest bądź nie jest członkiem takiego czy innego związku, stowarzyszenia, a przyniesie dobry tekst, to będziemy drukować. I drukujemy. Bronię ten tekst. Jestem za pełnym obiegiem myśli, za pełnym obiegiem wartości literackich...

J. Zaorski: — Skoro o tym mowa, to muszę powiedzieć, że w pewnej książce, która ukazała się niedawno, został zdjęty wiersz tylko dlatego, że był dedykowany Lechowi Wałęsie. Ciekaw jestem czy dzisiaj by go zdjęto? Opowiem jeszcze jedną rzecz, z tej laski. Musiałem kiedyś „przepuścić” przez maszynkę do mięsa, jak my to nazywamy, określony nakład książki „W starych Kielcach”, ponieważ jej autor jeden z rozdziałów zadedykował mac. Władysławowi Sile-Nowickiemu. W sześć miesięcy potem Władysław Sile-Nowicki stał się członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.

K. Stryjski: — Powiedzieliśmy, że taka książka jak „Rok w trumnie” nas już dziś nie zadowala. Pisanie o współczesności wymaga jednak pewnego dystansu. Historyk bez archiwum, którego zasoby są niedostępne przez ileś tam lat, jest bezradny. Pisarz ma talent, wyobraźnię, intuicję. Cenzura jest sezonowa — po odwilży nastaje kolejny mróz. Poza tym cenzura jest niezaufana dla czytelnika, trochę na zasadzie umowy, bez zaznaczenia ingerencji. Bywają też tematy, które akurat w tym regionie są źle widziane. I to nie dotyczy spraw obronności, sojuszy itd., a także praktyki istnieją. Ja nie mam nie do ludzi tam zatrudnionych, lecz zgłaszam zastrzeżenia do instytucji, która jest tak a nie inaczej usytuowana politycznie.

G. Gazda: — Pisarze powinni uwolnić się od myśli o cenzurze, powinni być wolni.

M. Zdrojewski: — Najgorsza jest autocenzura.

K. Stryjski: — Oczywiście. Chciałbym teraz bodaj na chwilę wrócić do pisma. Istnieje potrzeba powstania pisma literackiego. Gazeta, wiadomo, rządzi się swoimi prawami, wychodzi naprzeciw zapotrzebowaniom czytelniczym. Jednakże pismo literackie, niekoniecznie elitarne, znalazłoby także swoich czytelników. Musiałoby ono jednak mieć określoną koncepcję, adresata. Jeśli taką atrakcyjną formułę stworzymy to i takie czasopismo ma również szansę powodzenia.

L. Włodkowski: — Faktem jest, że z publicystyki „Odgłosów” urodziło się parę książek, chociażby Edmunda Lewandowskiego. To z naszego zamówienia powstał „Ranier Napoleona” a teraz „Pieczęć melonów” Andrzeja Makowieckiego, a takich przykładów mógłbym przytoczyć więcej. Nie wyczerpaliśmy tematu i go nie wyczerpiemy. Za tę szczerą wymianę poglądów dziękujemy.

Opracował:
MARIAN ZDROJEWSKI

Kryzys formy czy literatury?

Je kryzys, ile zjawisko, które ogarnia nie tylko literaturę. Ale przecież politologii zarzuca się, że nie przedstawiała wizji, tylko opisywała zjawiska, czy historia — matka nauki, która także przez 40 lat opisywała, i to nie wszystko... W kontekście tych nauk trudno oczekiwać, aby literatura zastępowała je. Literatura inaczej traktuje materię historyczną, którą się posługuje, nawet z okresu stalinowskiego, bo inne są wymagania powieści. Tak więc nie tylko względy cenzuralne powodowały, że literatura nie przynosiła odpowiedzi na wiele pytań.

Kryzys gatunku? Tak. Myślę, że jest to nie tyle problem kryzysu, ile potrzeba nowego zdefiniowania funkcji literatury. Jeśli zdołamy zdefiniować owe funkcje, wtedy sprawą wtórną będzie wybór formy wypowiedzi. Nie można utyskiwać, że taki czy inny gatunek nie występuje, czy się przeżył. Być może, że przeżyła się forma wypowiedzi, że forma nie spełnia tych funkcji. Uważam, że literaturę czekają o wiele trudniejsze czasy i istotniejsze zagrożenia. Wysłuchałem niedawno wypowiedzi wiceministra kultury i sztuki Kazimierza Molka o kłopotach z papierem i poligrafia. Były szanse, abyśmy w poligrafii mieli opóźnienie w stosunku do Zachodu o 6 do 8 lat, jeżeli sytuacja się nie zmieni to opóźnienie szybko wzrośnie do... 15 lat.

J. Zaorski: — To oznacza likwidację czterech — pięciu wydawnictw wielkości naszej oficyny.

K. Stryjski: — I to głównie z powodu braku papieru, gdy tymczasem jesteśmy znaczącym eksporterem drewna i celulozy.

J. Zaorski: — Do, Finlandii sprzedajemy celulozę z naszego drewna.

K. Stryjski: — A nasze zakłady papiernicze „wygaszają” produkcję i pracują na 60 proc. swoich mocy, my zaś będziemy musieli kupować papier po cenach co najmniej 30 proc. wyższych.

M. Zdrojewski: — Proszę panów, wkroczymy w obszary, na których znajdujemy tylko pikantne przykłady — owoce pachnące schizofrenią społeczną. One, to prawda, determinują nasze życie w ogóle.

K. Stryjski: — Taka jest sytuacja obiektywna.

M. Zdrojewski: — Zgoda, więc tym bardziej musimy uwolnić się od tego zniewolenia kryzysem, od schematu myślowego, by zacząć podążać ścieżkami normalności.

Wobec brutalnych praw rynku książka stawiać się będzie coraz bardziej bezsilna. Już pojawiają się książki z nowo powstałych oficyn, np. „Alfa”, „Fatalne jaja” Michaiła Bułhakowa, „Mała Apokalipsa” Tadeusza Konwickiego. Obawiam się, że są to firmy, które nie wzięły swojej przysięgi z książką. Po prostu wykorzystując okazję wydada kilka pozycji, nawet ambitnych, by potem zająć się czymś innym.

miast my otwieramy szuflady i okazuje się, że są one prawie puste, dlaczego?

M. Zdrojewski: — Przez 70 lat pisali do szuflady. U nas w ciągu tych 45 lat było kilka, bądź co bądź, odwilżowych okresów i oddechów. To one opróżniły szuflady. Nie mówiąc już o wydawcach zagranicznych i drugim obiegu.

T. Chrościelewski: — Narzekanie na literaturę jest tak stare jak sama literatura. Być może nie wiemy o tym, jak narzekano na literaturę w czasie „Bogurodzicy”, kiedy była ona bestsellerem epoki. Ale historia literatury wie, jak Jeske Choleński, redaktor naczelny „Tygodnika Ilustrowanego” i autor chodliwych swego czasu powieści, w 1881 roku pisał o zmierzchu literatury historycznej, że po jego historii o Grzegorz VII i Henryku IV nikt już nie napisał. A w tym samym czasie „Czas” publikował Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”.

Jeśli chodzi o gatunki to literatura przypomina trochę drzewo — o określonej porze jedne liście opadają, inne się rodzą. Dawniej był poemat opisywy, a dziś nikt poematu opisywego nie pisze. Dawniej były trilety, dziś nikt kto ma dobrze w głowie nie pisze trioletów...

G. Gazda: — Jerzy Jarmolowski!

T. Chrościelewski: — Bawi się. Ale to nie jest takie trudne, jeśli się traktuje wierszowanie jako zabawę. Natomiast nie będzie się wypowiadał w ten sposób na serio.

Czy literatura nadąża, czy nie nadąża? Karol Stryjski opisał czasy, dla których „Stary Testament” jest czymś bardzo młodym i wydawać by się mogło, że jest to literatura bardzo nie na czasie. Tymczasem zawarte w tej książce problemy są tak współczesne, że jest to książka współczesna.

Być mecenasem w tej chwili to trudniejsze od kwadratury koła. Wydawnictwo Łódzkie wydaje tomiki poezji. W ramach mecenatu Wydawnictwo wydaje, a księgarze błądzą: nie wydawajcie nieznanych poetów, bo nikt tego nie kupuje, bo tomiki zalegają półki. Księgarz na to nie może sobie pozwolić, bo musi wyjść na czysto w przeciwnym razie nie zarobi i panienki uciekną z pracy. Z księgarni uciekają, z kiosków uciekają, bo nikomu się w tym państwie nie „motywuje”. Przykładem dzisiejszego mecenasa jest Wydawnictwo Lubelskie, które do niedawna miało monopol na literaturę ukraińską. Zapropnowałem tomik wierszy Iwana Franka. Na to otrzymuję grzeczną odpowiedź: Potrzebne są nam książki w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy!

Czytelnik jest osobą niesłychanie konserwatywną. Przyzwyczail się do tego, że książka była tania, a zatem nie niewarta. Z drugiej strony w nader minionym okresie wydawano książki mówiące delikatnie nudne i właśnie to, że książka jest rzeczą nudną zostało zakodowane i następne pokolenia przejęły to przekonanie, drogą genów.

G. Gazda: — Nie tylko genów, lecz i programów szkolnych.

T. Chrościelewski: — No właśnie. No i wresz-



Tadeusz Chrościelewski



Grzegorz Gazda



Karol Stryjski

Jacek Zaorski
Foto: Grzegorz Gałasiński

MBP im. Ludwika Waryńskiego zamknięta, bo grozi zawaleniem!

Piękne hasło i fatalna praktyka

To nie jest wątpliwej jakości żart — jedyna, ogólnie dostępna biblioteka naukowa w Łodzi jest zamknięta. I to wcale nie stało się nagle. Dyrekcja Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi faktem starania się o dodatkowe niezbędne powierzchnie ostrzegała władze miasta przed niebezpieczeństwem.

Rok temu dyrektor placówki koniecznej dla łódzkiego środowiska naukowego i studenckiego, Elżbieta Pawlicka pisała do prezydenta Łodzi:

„W obecnej przeciągającej się sytuacji, kiedy nie ma możliwości otrzymania dodatkowego lokalu na potrzeby Biblioteki czuje się zobowiązana powiadomić Pana Prezydenta o tym fakcie, bo może on mieć poważne następstwa”. Rok temu przewidziano za tym to, co stało się 7 lutego 1989 roku. A stało się dlatego, że „ratusz” przez 19 lat nie zdołał stworzyć warunków, które umożliwiłyby MBP spokojny, pozbawiony nerwów i napięć rozwój.

Historia dzisiejszego budynku Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego zaczęła się od położenia 3 maja 1938 r. kamienia węgielnego. Gmach według projektu Jerzego Wierzbickiego został wybudowany ze składek łódzkich fabrykantów, lecz nie był to z ich strony gest łaski, a sposób na zmniejszenie podatków. Wystrój biblioteki miał być marmurowo-lustrzany, zaś patronem miał zostać Józef Piłsudski. Budynek stanął w tempie nieosiągalnym dla polskiego budownictwa u progu XXI w. — w półtora roku. Niestety, dalsze prace przerwała II wojna światowa.

Uroczyste otwarcie i oddanie do użytku czytelnikom gmachu MBP nastąpiło 6 września 1949 roku. W miesiąc później nadano jej imię Ludwika Waryńskiego, a za cztery lata Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało tytuł najlepszej w kraju.

W latach pięćdziesiątych, a później sześćdziesiątych podjęto decyzję, które powinny stanowić o rozwoju Biblioteki. Najpierw, 18 grudnia 1956 na podstawie uchwały Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi ustalono nową strukturę organizacyjną MBP zakładającą jej szeroki rozwój. Później, 14 lipca 1965 rozporządzeniem Rady Ministrów została zaliczona do bibliotek naukowych. W roku 1967 czytelnicy powiększono do 154 miejsc i oddano do użytku czytelnie naukową. W roku następnym za zasługi dla rozwoju kultury MBP otrzymała Honorową Odznakę m. Łodzi.

10 czerwca 1972 przekazano do użytku salę kinową — konferencyjną oraz pomieszczenia dla pracowni regraficznej, kawiarni i baru.

Czerwiec 1975 przyniósł Bibliotece Dyplom Honorowy Ministra Kultury i Sztuki za osiągnięcia we współzawodnictwie bibliotek publicznych XXX-lecia PRL. Miesiąc później, w związku ze zmianami administracyjnymi, MBP stała się główną Biblioteką Publiczną miejskiego województwa łódzkiego.

Kiedy Bibliotekę oddawano do użytku zakładano, że pomieści 100 tysięcy tomów i nikt chyba nie przewidywał, że w krótkim czasie ich liczba wzrośnie wielokrotnie. W latach 70. dobudowano magazyn wolno stojący, ale zbiory rosły i rosły nadal. Dziś MBP posiada ponad 0,5 miliona pozycji, wśród nich wiele niezwykle cennych, jak np. księga z biblioteki Zygmunta Augusta.

W roku 1974 KL PZPR podjął uchwałę „o konieczności rozbudowy biblioteki do 1980 roku”. Następny zapis w tej sprawie znalazł się w Uchwale Rady Narodowej Miasta Łodzi z 27 kwietnia 1981 roku. Obydwa zapisy nie zostały potwierdzone realizacją.

Aby choć częściowo rozwiązać swoje problemy MBP próbuje pozyskać nowe lokale. Władze przyznały jej w 1978 roku 130 m kwadratowych przy Gdańskiej 96. Cztery lata później MBP zyskała 360 m kwadratowych powierzchni użytkowej po kawiarni i barze przy ulicy Gdańskiej 100. Równocześnie z uwagi na remont budynku przy Gdańskiej 96 prowadzony przez właściciela obiektu i wprowadzenie do niego przedsiębiorstwa „LALMI”, Biblioteka traci cenne metry otrzymane w 1978 r.

Wydział Spraw Lokalowych UML nakazuje Urzędowi Dzielnicowemu Łódź-Polesie cofnąć decyzję na ten lokal. W akcie desperacji MBP kieruje sprawą do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W pomieszczeniach po kawiarni i barze, przekazanych do użytku w 1982 roku, znalazły się: dział zbiorów specjalnych na piętrze i pracownia regionalna — na parterze.

Biblioteka stale powiększała stan posiadania. Nacisk na stropy był coraz większy. Dyrekcja MBP informowała władze miasta o niebezpieczeństwie. W 1987 stropy zaczęły pękać w budynku głównym przy Gdańskiej 102. Ekspert z Politechniki Łódzkiej nakazał opróżnić II piętro i wyprowadzić z niego wypożyczalnie lektur studenckich.

MBP przeprowadziła rozmowy z Dyrekcją ZPW im. A. Struga, których uwiecznieniem miało być pozyskanie przez Bibliotekę obiektu przy Kopernika 53a. Dyrekcja ZPW im. A. Struga powiadomiła MBP, że po wpłaceniu 15 milionów złotych obiekt może przejąć Biblioteka. Po przeprowadzeniu prac adaptacyjnych znalazłoby w niej miejsce siedem pracowników i zbiorów, dla których konieczna minimalna powierzchnia to 1800 m kwadratowych. Uzyskanie obiektu przy Kopernika 53a odsunęłoby problemy MBP do roku 2010!

30 października 1987 roku odbyło się posiedzenie Wojewódzkiego Zespołu Koordynacyjnego do spraw Przydziału Lokali Użytkowych i obiekt przy Kopernika 53a przydzielono Zakładom Graficznym Wydawnictw Naukowych i Spółdzielni „Reno-ma”. Odwołanie do prezydenta Łodzi nie przyniosło zmiany decyzji. Bibliotece nikt nie pomógł. Remont przeprowadzono we własnym zakresie. Wypożyczalnię lektur studenckich przeniesiono na parter pomniejszając czytelnie czasopiśm.

Inny lokal, w którym miała się mieścić „mała poligrafia” MBP został przydzielony przez Urząd Dzielnicowy Łódź-Polesie osobie prywatnej. Od tej decyzji odwołano się do wiceprezydenta Łodzi. Na Sesji Rady Narodowej w marcu 1988 zgłoszono interpelację, w której domagano się, aby pomieszczenia po ZPW im. A. Struga przy ulicy Kopernika 53a przyznać jednak MBP.

7 lutego 1989 roku na skutek pęknięcia stropów w budynku przy Gdańskiej 100, mieszczącym zbiory specjalne i pracownię regionalną, Miejską Bibliotekę Publiczną im. L. Waryńskiego w Łodzi nakazano zamknąć. Dział zbiorów specjalnych i pracownię regionalną przenosi się na parter i V piętro budynku magazynowego. Zbiór egzemplarzy obowiązkowych, który był przechowywany na V piętrze zapakowano w pudła i złożono w czytelnik MBP.

W 1976 Ministerstwo Kultury i Sztuki zleciło utworzenie w Łodzi Policealnego Studium Bibliotekarskiego. Jego siedziba jest w budynku MBP. Biblioteka co roku kształci około 100 bibliotekarzy.

Z księgozbioru MBP im. Ludwika Waryńskiego rocznie korzysta 15 000 czytelników, którzy wypożyczają około 300 000 woluminów. Od 20 lutego 1989 roku, aby choć częściowo służyć miastu i środowisku akademickiemu dyrekcja MBP uruchomiła czytelnie naukową, wypożyczalnię lektur studenckich i krótko-terminowych, „na noc”. Dział też informacja MBP.

W jednej z łódzkich fabryk, która mieści się przy ul. Piotrkowskiej, można zobaczyć piękne hasło: „Rozwój nauki, to szybki rozwój kraju”!

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

ze str. 1

kanie „twarzą w twarz” — z dyrekcją, radą pracowniczą oraz przedstawicielami NSZZ Pracowników ZPB im. J. Marchlewskiego, czyli „oficjalnych” związków zawodowych. Chciałoby się napisać, że był to prawdziwy „okrągły stół” w „Marchlewskim”. Niestety, byłoby to sformułowanie na wyrzut. Mniejsza już może przesada będzie twierdzenie, iż doszło do spotkania historycznego, przynajmniej na zakładową skalę. W końcu bowiem spotkali się wszyscy ci, którzy przez kilka ostatnich lat słyszeli tylko o sobie wzajemnie, nie rozmawiając z sobą bezpośrednio. Dyrektorzy zobaczyli więc kierownictwo „Solidarności”, oni — dyrektorów w pełnym składzie, legalni związkowcy przyrzekli się nielegalnym, a vice versa — słowem: nastąpiło coś w rodzaju zapoznania.

Tylko nastroj był nie ten, za poważny.

Poważny był na przykład dyrektor naczelny, bo zdążył przeczytać wcześniej, iż chodzi o podwyżkę 20 tys. zł na każdego zatrudnionego, o dopusz-

— Nie robimy tego, co robią wszyscy. Dopóki można, trzeba unikać akcji strajkowej. Chcemy dać wzór załatwiania konfliktów drogą negocjacji. Dopiero, gdy rozmowy wykażą całkowity brak porozumienia, podejmiemy akcje. Ale nie strajk, tylko inną formę protestu, bez przerywania pracy. Nie ukrywam, że jesteśmy popychani do czynów radykalniejszych. Niezadowolone wśród załogi jest duże.

Reguły gry, gra o reguły.

Wśród niezadowolonych przodują kobiety, zatrudnione bezpośrednio w produkcji. To one, pracujące w ciężkich warunkach, za mniejsze na ogół pieniądze, niż mężczyźni, wystając na zmianie w sklepach kolejkach, obserwując nerwowo, jak bezustannie rosną w górę ceny — to one gotowe są do strajku od zaraz. Jeśli tego nie czynią, to tylko dlatego, że wierzą w „Solidarność”, która wywalczy im podwyżki. Tak właśnie mówią Teresa Mazur — z cewiarni, oraz Józefa Fabianowska i Krystyna Witulska — z tkalni. Dwie pierwsze są członkiniami „Solidarności”, trzecia — jeszcze się waha. Przyszył jednak razem na spotkanie z dziennika-

Plotki o tym, że „podskoczyło”, zaczęły się na kilka dni przed ostatnią wypłatą. Panie z tkalni, należące do „Solidarności”, przypominają sobie, że na salę przyszła Bożena Krawczyk, namawiając, aby kobiety żądały po 25 tys. złotych.

Przez tyle czasu nie robił, a teraz usiłują nas przełicytować — pada komentarz pod adresem „tych z OPZZ”.

Szefowe NSZZ Pracowników ZPB „Poltex”, przewodnicząca Krystyna Michalak i oddziałowa na tkalni, Bożena Krawczyk, odrzucają bez chwili wahania oba zarzuty.

Zawsze byliśmy aktywni — mówi krótko Krystyna Michalak.

Nie „podbijaliśmy” żądań — kręci głową Bożena Krawczyk — to samo wyszło, podczas wydziałowych spotkań.

Trudno jednak z ręką na sercu rozstrzygnąć, co naprawdę „wyszło samo”, a co wyszło od związków, i od których. Przewodnicząca Krystyna Michalak zauważa przecieć: — Jesteśmy przekągnięciem postulatów do dyrekcji, ale również inspiratorem. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że zarobki nie są zadowalające.

Legalnie działaczkę związkową zdają sobie sprawę i z te-

Nie będzie zapewne tak odczytana, skoro i w Komitecie Organizacyjnym przyznają, że:

— Im bardziej jesteśmy legalni, tym więcej mamy członków. Wiele osób, zwłaszcza spośród kadry, wstąpi do nas po legalizacji.

Nie mamy — dodaje Bogusław Fidyk z Komitetu „S” — uprzedzeń klasowych. Potrzebni są nam mądrzy ludzie obeznani z organizacją pracy i ekonomią. Będziemy z nimi szukać, jak usprawnić przedsiębiorstwo, jak uczynić je wydajniejszym.

Gdyby to słyszał dyrektor Z. Majer, być może nabrałby trochę otuchy. Najpewniej jednak pomyślałby sobie: poczekamy, zobaczymy... Stoi na czle „Marchlewskiego” od 7 lat, rozmawiał wcześniej ze strajkującymi załogami, niedługo już widział i słyszał, niejedno zapewnienie rozwiązało się — pamięta — jak dym, niejedne zamiary pozostały wylądować na papierze. Usilnie będzie się teraz starać, by przez kolejne, nie zaplanowane podwyżki, nie rozwiązały się w nicost plany modernizacji zakładu. Poważne plany — zaznacza — oparte w części na poważnych kredytach, a w części — na zysku.

Wdaliśmy się w duże inwestycje. W tym roku zamierzaliśmy prace o wartości 3 mld zł! Jedna trzecia tych pieniędzy pójdzie na modernizację tkalni w IV kwartale. Co to oznacza? Będą nowe maszyny, urozóżnie wydajność, nastąpi przyrost produkcji, będzie możliwość podwyżek — ale nie od razu, nie tak szybko.

Rysuje się zatem alternatywa; albo „szybkie” i wysokie podwyżki, kosztem zaplanowanej modernizacji, albo podwyżki systemowe, czyli takie, na jakie można sobie pozwolić, nie wpadając od razu w podatkową „gilotynę”.

Dyrektora czeka więc męska rozmowa ze związkowcami. Nie zamierza z nią zwlekać do ostatniego dnia „ultimatum”. Spotka się z nimi wcześniej, udostępni informacje o finansach — niech się także poczuja odpowiedzialni. Czy podejmą wspólnie właściwą decyzję? Warunkiem koniecznym do tego jest obopólne zaufanie. Nikt się nie ludzi, że spadnie ono z nieba, w ramach dogadywania się przy „okrągłym stole”. Trzeba je wypracować tutaj, bo na razie...

Wciąż nam nie wierzą — wzdycha dyrektor.

Dyrektor przyjął do wiadomości, że istnieje, ale nadszły przedstawiciele najchętniej by za drzwi wyrzucił — denerwuje się Bogusław Fidyk.

Bez względu na to, co najchętniej zrobiłby dyrektor, wie on dobrze, że partnera trzeba nauczyć się szanować, bo najgorsze w zakładzie jeszcze się nie zdarzyło. Zdarzy się wtedy, gdy protesty wymkną się spod kontroli już nie tylko dyrekcji, ale także działaczy związkowych, legalnych i nielegalnych pospolu. Wszyscy się tego boją, związkowcy również. Stąd rozdarcie, ponieważ zarówno legalni, jak i nielegalni wiedzą, że powinni rozumieć sytuację ekonomiczną zakładu, ale muszą — popierać żądania placowe. Pomiędzy „muszą” a „powinny” rozciąga się obszar ich decyzyjnej wolności, który szybko się ostatnio kurczy.

Obydwu związkom chodzi o coś więcej niż o płace. Zarazem jednak, chcąc nie chcąc, wiążą się coraz intensywniej w nerwowy taniec wokół podwyżki. Przynaglone są do niego od dołu, nie od góry. To z dołu, od krosien na tkalni, z cewiarni, przewlekarni, klejarni i transportu, dopinguje je potężniejszy w ostatnich tygodniach napór.

Jeśli potkna się, zgubią krok, upadną w tańcu, stanie się rzecz najgorsza: ludzki napór na płace przeleje się przez struktury legalne i nielegalne, wystąpi z brzegów, i zatopi przedsiębiorstwo. Tego nie chcą dziś ani te, ani tamte związki.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

PS. Wypowiedzi, zawarte w artykule, zebrane zostały w dniach 16-18 lutego. W piątek 24 lutego doszło do 4-godzinnych rozmów pomiędzy dyrekcją a „Solidarnością”. Zgodzono się, iż zasada „kacenia” po równo jest niewłaściwa. Działacze „Solidarności” obstają jednak przy żądaniu ok. 20 tys. zł podwyżki dla pracowników z grup najmniej zarabiających. Rozmowy będą kontynuowane.

Taniec wokół podwyżki

czenie Komitetu Organizacyjnego „do udziału w pracach organów samorządowych na równych prawach z innymi organizacjami”, a także o to, że „zebrania członków PZPR powinny odbywać się po godzinach pracy, np. w wolne soboty”.

Nie mogłem konkretnie porozmawiać o placach — relacjonuje dyrektor Z. Majer — nie znając przepisów podatkowych, obowiązujących w tym roku. Zaledwie przedwczoraj opublikowała je „Rzeczpospolita”, ale jest to jakby pierwsze przybliżenie. Umówiliśmy się, że dopiero, gdy poznam te nowe przepisy dokładnie, i o cenie, jakie dają nam możliwości, możemy podyskutować o dalszych podwyżkach. Być może będzie to pod koniec lutego, ale żadnego ścisłego terminu nie podawaliśmy!

Ścisły termin pojawił się natomiast po spotkaniu. „Rozmowy o dalszej regulacji plac — podaje komunikat KO „Solidarności” — mają nastąpić do 24 lutego 1989 r.” W tym samym komunikacie czytamy również: „Dyrekcja ZPB „Poltex” (...) uznała jawną działalność NSZZ „Solidarności” na terenie naszego zakładu pracy”.

Nieprawda — zaprzecza stanowczo dyrektor — ja tylko powiedziałem, iż przyjmuję do wiadomości, że taka organizacja w przedsiębiorstwie istnieje. Jest chyba jakaś różnica, prawda?

Nielegalni (lecz jawni) działacze nie wnikała w to subtelne dość rozróżnienie. Dla nich jest ważne, że osiągnęli kolejny krok na drodze do legalności. Tak czy owak, dyrektor, „przyjęcie do wiadomości” zawiera w sobie przecież element akceptacji. Nie czekali jednak na nią, nosząc na piersiach związkowe emblematy, rozwieszając na ścianach i murach komunikaty, rozmieszczając ulotki i biuletyny. Zbierają się teraz w Dziale Techniki Obliczeniowej, gdzie w jednym z pomieszczeń, pośród rozgrzebanej, elektronicznej aparatury, mieści się tymczasowo związkowa „centrala”. Telefon wewnętrzny dzwoni tam często, rozmowy zaś, które łączą, daleko nie wszystkie dotyczą poleceń służbowych. To zapewne przypadek, że ta „centrala” oraz budynek dyrekcji znajdują się akurat na przeciwnych krańcach terenu przedsiębiorstwa, odległe od siebie najdalej, jak tylko parkan na to pozwala...

Co zaś się tyczy wyznaczonego przez „Solidarność” terminu 24 lutego, uratował on — przekonują działacze Komitetu — sytuację z połowy miesiąca, gdy wędrowali od działu do działu, uspokajając ludzi, odmawiających przyjęcia wypłaty.

To był główny argument — zaznacza Mirosław Sowiak, konserwator maszyny cyfrowej — że mamy termin, i wcześniej nie powinniśmy wyrwać się z protestami.

Mirosław Sowiak, który jest członkiem Komitetu Organizacyjnego, ma również pogląd na taktykę związku:

rzem, aby powiedzieć mu po prostu, że tak dalej nie można już żyć. Pólbuty, trochę lepsze półbuty kosztują 19 tys. zł, a kurtka dla nastolatka — 50 tys. zł. A ile one zarabiają? Ta, która chorowała przez ostatnie tygodnie, dostała wczoraj „na rękę” zaledwie 38 tys. zł. Ta, która miała wyjątkowo dobry miesiąc, zarobiła 89 tys. zł. Ale — zaznacza — to był naprawdę wyjątkowo dobry miesiąc. Pytanie o możliwość odłożenia czegokolwiek traktują jak dobry dowcip: wzbuchają śmiechem. Od tego ich śmiechu nikomu jakoś nie robi się wesele.

Zarówno one, jak i cała, skupiająca podobno około 60 procent załogi „Solidarność”, nie mają zbytniego pojęcia o możliwościach ekonomicznych „Marchlewskiego”. Wie o nich pewnie dyrektor, ale skąd oni, którzy mają w swych szeregach tylko jednego kierownika? Z budynkiem dyrekcji — przyznaje M. Sowiak — nie ma żadnych pozaoficjalnych kontaktów. Skąd zatem mieliby wiedzieć, co jest realne, a co nie? Myślą sobie jednak, że 20 tys. zł na osobę, to wcale nie jest duża podwyżka, jak na tak wielki zakład. W stosunku do potrzeb — i tak jest o wiele za mało.

Dyrektor Z. Majer ma w kwestii 20 tys. zł całkiem odmienne zdanie. Przede wszystkim przeciwny jest stanowczo zasadzie, że każdemu należy się po równo:

Będę ostatni w przedsiębiorstwie, który się zgodzi z taką zasadą. Podwyżki, w miarę możliwości — oczywiście, ale muszą być zróżnicowane. W tych zakładach, gdzie po strajkach dopuszczono do jednokrotnej dla każdego podwyżki, postąpiono gorzej niż źle, po prostu strasznie!

Boję się — wyznaje po chwili — że zacznie się robić anarchia. Nie ma wspólnej reprezentacji związkowej, więc każdy z wydziałów przysyła mi własne, różniące się w szczegółach, postulaty. Wspólne jest tylko jedno: żądanie „osłownego”.

Jakby na potwierdzenie tych słów, w gabinecie dyrektora odzywa się telefon. Dzwoni przewodnicząca legalnych związków, Krystyna Michalak. Ona mówi, on słucha, i powtarza na głos:

Wydział snowalni... zbyt małe podwyżki... ceny galopują... koszty utrzymania wzrosły o potworne... stanowiące żądanie podwyżki o 25 tys. zł na osobę... w terminie do 28 lutego... w przeciwnym wypadku, zmuszeni będą podjąć akcję strajkową... Dzięki zrozumiałemu — dyrektor patrzy przed siebie, w miejsce, gdzie ściana łączy się z sufitem, a potem ciężko odkłada słuchawkę. Na biurku, obok telefonu, piętrzy się stos postulatów, nadesłanych za pośrednictwem „oficjalnych” związków z poszczególnych wydziałów przedsiębiorstwa. Bierze je do ręki, jakby chciał zważyć ich ciężar.

Widzi pan — mówi do dziennikarza — już podskoczyło w górę o 5 tysięcy...

go, że część postulatów jest nierealna, ponieważ mają lepszą, niż „Solidarność”, orientację w finansach „Marchlewskiego”. Uczestniczą przecież w naradach, kontaktują się z dyrekcją i z radą pracowniczą. Pomimo to, zbierają skrzętnie wszystkie postulaty, przekazując je na dyrektorskie biurko. Nie są jednakże przekonane, że każdemu należy się po równo. W tej sprawie łączą się raczej z dyrekcją. W innych — raczej z „Solidarnością”, choć trudno tu mówić o „łączeniu” — lepiej o zbieżności poglądów. Wyobrażają sobie przyszłą międzyzwiązkową współpracę, czemu nie? To zależy — powiada — jaka będzie ta nowa „Solidarność”. I czy naprawdę nowa? Zasadniczo jednak, nie odlegają się od nielegalnych koleżanek i kolegów. Niezależnie (woła taki przymiotnik, niż „oficjalne”) związki zawodowe liczą obecnie w „Marchlewskim” prawie 2000 członków, czyli niecałą połowę załogi. Być może „Solidarność” odbierze im część klientów.

Czy to taka wielka szkoda — zapytują — skoro sympatie i tak są podzielone?

Pytają więcej. Mają je obie związkowe strony, i to bardzo konkretne.

Kto na przykład — pytają — jest w obu „centralach” — zrywa nasze ogłoszenia? Czy tylko administracja? A może pomaga jej w tym konkurencja?

Nie wyobrażamy sobie na razie wspólnej reprezentacji związkowej — mówią wprost w „Solidarności” — nastawiamy się raczej na konkurencję, lecz z zachowaniem wszelkich reguł gry.

Zaufanie potrzebne od zaraz.

Dyrektor Z. Majer nie jest zapewne jedynym człowiekiem w zakładzie, który ma duże obawy, czy te reguły gry zostaną zachowane. Dyrektor nie jest po stronie żadnych związków. Tym bardziej, że jest ich coraz więcej. Przykładowo ostatnio dała o sobie znać jeszcze jedna grupa, mieniąca się „Solidarnością”, o której nie chce słyszeć dotychczasowa „Solidarność”. Dyrektor zna na razie tylko 3 nazwiska, ale kto wie, ile przybędzie? Kto w ogóle wie, czy dojdzie pomiędzy związkami do współpracy, czy do niezdrowej konkurencji? Ta ostatnia możliwość jest dla szefa „Poltexu” jak ze złego snu. Przysmark — zauważa — już w zakładzie mamy.

Konieczna jest wspólna reprezentacja — reasumuje swe przemyslenia — oczywiście też, że aby ją utworzyć, musi być terytorium legalna „Solidarność”. Legalność zawsze jest lepsza, niż nielegalna jawność. Zresztą — dodaje po chwili namysłu — ci, którzy działają w zakładzie obecnie, to nie jest jeszcze docelową „Solidarnością”.

W niczym, rzecz jasna, nie umiając dotychczasowym działaczom — zastrzega się szybko, spostrzegłszy, że taka opinia może być odczytana jako niegrzeczność.

To nieprawda, że Zakłady Przemysłu Pończosznego „Sandra” w Aleksandrowie Łódzkim produkują skarpetki, getry itp. Jest to jeden z najważniejszych zakładów przemysłu zbrojeniowego państw Układu Warszawskiego. Wytwarza się tu znakomite czołgi T-313, które rozwijają prędkość 300 km na godzinę, pływają pod wodą i na wodzie, fruwać w powietrzu, są odporne na rażenia jądrowe, a w dodatku zastępują cały pułk czołgów jeżdżących na przestarzałych typach. Strajk w tak strategicznej fabryce jest niezwykle groźny. Doszło do niego w czwartek 16 lutego 1989 roku i został zawieszony dnia następnego. Zdesperowane pracownice musiały podjąć taką decyzję pod groźbą rozstrzelania w momencie, gdy przedstawicielom dyrekcji udało się opanować trzy gotowe do wysyłki egzemplarze czołgów T-313. Zdając sobie sprawę z zaskakującego dla czytelnika charakteru podanych wyżej informacji, pozwolę sobie przytoczyć dokładny opis, w jaki sposób zostały one zebrane.

Dzień pierwszy — sobota, 18 lutego 1989 roku

Przed Zakładami Przemysłu Pończosznego „Sandra” w Aleksandrowie Łódzkim jestem w

Dlaczego Czytelnicy „Odgłosów” nie mogą dowiedzieć się, co było przyczyną strajku w aleksandrowskiej „Sandrze”?

„Dobro sprawy”, które każdy rozumie inaczej

MIROSŁAW KULIS

godzinach przedpołudniowych. Biurowiec — zwany tu popularnie przez pracowników „białym domkiem” — jest zamknięty. Wejście tylko przez główną portiernię, za przepustkami. Przedstawiam się i proszę o rozmowę z dyrektorem naczelnym. Portierzy kontaktują mnie telefonicznie z sekretarką dyrektora naczelnego. Dyrektora nie ma, a tylko on ma prawo decydować, kto wejdzie na teren zakładów a kto nie. Proszę więc o umożliwienie rozmowy ze związkami zawodowymi.

— Proszę do nich zatelefonować — słyszę odpowiedź.

W siedzibie związków zawodowych uzyskuje informacje, że wszyscy są na uroczystym wręczeniu nagród jubileuszowych dla wyróżniających się długoletnich pracowników. Próbuje w organizacji partyjnej — tu także zastaje podobną sytuację. W spotkaniu jubilatów uczestniczyć mogę, ale tylko za zgodą dyrektora naczelnego — tego zaś niestety nie ma.

Rozmawiam ponownie z sekretarką dyrektora.

— Szef wróci o godz. 12 — mówi. — Dopiero wtedy będzie pan mógł się jego spytać czy może wejść na teren biurowca...

Chciałbym oczekiwać na jego przybycie w sekretariacie lub w hallu biurowca. To również bez zgody dyrektora okazuje się niemożliwe. Ponieważ w portierni nie mogę czekać, jedynym dostępnym miejscem jest dla mnie ulica.

Grubo po godzinie 12 dzwonię po raz trzeci do sekretariatu dyrektora.

— Dyrektor już jest, ale jest tak bardzo zajęty, że właściwie go nie ma — informuje sekretarka. Nie przekazała mojej prośby o skontaktowanie się ze związkami zawodowymi, samorządem, organizacją partyjną i młodzieżową. Tego dnia nie może już tego zrobić. Zamierzam przejechać do „Sandry” ponownie w poniedziałek. Proszę o przekazanie tej wiadomości dyrektorowi w momencie, gdy będzie wychodził z pracy.

Dzień drugi — poniedziałek, 20 lutego 1989 roku

Jestem w „Sandrze” na portierni o tej samej mniej więcej porze co w sobotę. Sytuacja powtarza się. Dyrektora naczelnego nie ma. Mam czekać, ale tym razem mogę siedzieć na portierni. Po kilku minutach dzwoni telefon. Do swojego gabinetu w biurowcu zaprasza mnie zastępca dyrektora do spraw technicznych — Henryk Zebrowski. Czeka za biurkiem w towarzystwie sekretarza organizacji partyjnej. Wyłączam cel mojej wizyty i proszę o umożliwienie zbierania materiałów prasowych. Obydwaj w dłuższej rozmowie przekonują mnie, że w tej chwili nie powinienem rozmawiać z nikim w „Sandrze”, że nie jest ku temu stosowna pora, że ustalili tu wszyscy sobie razem, iż nie będą informować o sytuacji w fabryce do czasu rozwiązania swoich problemów.

A w ogóle, to nie mają zaufania do dziennikarzy. „Głos Robotniczy”, ich zdaniem, przekreślił informację o strajku, PAP się spóźnił z informacją o zawieszeniu strajku, a redaktor „Trybuny Ludu” głupio się podczas rozmowy dzielił, że strajk został zawieszony bez wypłacenia ludziom dodatkowych pieniędzy. Ponadto według dyrekcji dotychczas opublikowane wiadomości na temat „Sandry” w środkach masowego przekazu są wystarczające i nie ma konieczności pisania szerzej na ten temat. Postulatów strajkowych mi nie pokazano.

Oświadczyłem więc, że dyrektura „Sandry” nie należy do kręgu moich przełożonych. Jestem w pracy, otrzymałem od swoich szefów określone zadanie, przestrzegam swoich obowiązków i w związku z tym odmowa udzielania informacji jest bezzasadna.

— Telefonowałem w sobotę do zastępcy dyrektora naczelnego „Odgłosów” i ten zaprzeczył, że pana delegowali do „Sandry” — stwierdza sekretarz. Proponuję więc o powtórzenie rozmowy telefonicznej w mojej obecności. Pro-

pozycję zbyt milczeniem. Później w redakcji dowiaduję się, że istnieć sekretarz organizacji partyjnej „Sandry” telefonował do zastępcy dyrektora naczelnego — jednak decyzja o delegowaniu mnie do „Sandry” została potwierdzona, a nie odwrotnie.

Wyraziłem życzenie rozmowy nie o strajku, lecz o sytuacji i problemach organizacji partyjnej, związkowej, młodzieżowej, samorządu pracowniczego. Chcę przedstawić i przybliżyć Czytelnikom „Odgłosów” aleksandrowską fabrykę, załogę oraz jej problemy. Moi rozmówcy odrzucają i tę propozycję. Znaleźliśmy się w impasie — ja swoje, oni swoje. Proszę więc o oficjalne stanowisko i włączam magnetofon.

— Sprawa zgłoszonych postulatów jest rozpatrywana przez kierownictwo z udziałem przedstawicieli załogi — mówi do mikrofonu zastępca dyrektora Henryk Zebrowski. — Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami postulaty będą rozpatrzone do końca lutego i w związku z tym dla dobra sprawy nie udzielamy w tym czasie informacji. Natomiast po rozstrzygnięciu postulatów załogi udzielimy pełnej informacji.

— Chcę rozmawiać o organizacji partyjnej, związkach zawodowych, samorządzie pracowniczym, organizacji młodzieżowej, a także z przedstawicielami załogi, nie tylko o samym strajku — przypominam.

— Przy rozpatrywaniu postulatów zaangażo-

wane są wszystkie czynniki społeczne, również i te które pan wymienił. Chociażby ze względu na brak czasu za wcześnie jest by na ten temat rozmawiać. O wszystkim poinformujemy po rozstrzygnięciu sprawy uznoszonej przez załogę w formie postulatów, a więc na początku marca.

— Czyli do tej pory nie można zbierać informacji i pisać o „Sandrze”? Tak to rozumiem...

— Nie wyjdzie to na dobre sprawie, właśnie ją rozważamy...

Przypomnijmy kilka fragmentów prawa prasowego uchwalonego przez Sejm 26 stycznia 1984 roku.

Artykuł 4 pkt. 1: „Organy państwowe, przedsiębiorstwa państwowe i inne państwowe jednostki organizacyjne, a w okresie działalności społeczno-gospodarczej również organizacje spółdzielcze i osoby prowadzące działalność gospodarczą na własny rachunek są obowiązane do udzielania prasie informacji o swojej działalności”.

Artykuł 4 pkt. 2: „Odmowa udzielania informacji może nastąpić jedynie ze względu na ochronę tajemnicy państwowej i służbowej oraz innej tajemnicy chronionej ustawą”.

Artykuł 11 pkt. 1: „Dziennikarz jest uprawniony do uzyskania informacji w zakresie, o którym mowa w artykule 4.”

Artykuł 11 pkt. 2: „Informacji w imieniu jednostek organizacyjnych są obowiązani udzielać kierownicy tych jednostek, ich zastępcy, rzecznicy prasowi lub inne upoważnione osoby w granicach obowiązków powierzonych im w tym zakresie”.

Artykuł 11 pkt. 3: „Kierownicy jednostek organizacyjnych są obowiązani umożliwiać dziennikarzom nawiązanie kontaktu z pracownikami oraz spontanne zbieranie wśród nich informacji i opinii”.

W związku z powyższym wystosowałem do Biura Prasowego Rządu list następującej treści:

„Dyrektor naczelny Zakładów Przemysłu Pończosznego „Sandra” w Aleksandrowie Łódzkim za pośrednictwem swoich przedstawicieli odmówił mi dwukrotnie — 18 i 20 lutego br. — zbierania materiałów prasowych o strajku w jego zakładzie jak i o samej fabryce, zastanawiając się „dobrem sprawy”. Szczegółowo przedstawiam te zajścia w artykule opublikowanym w tygodniku „Odgłosy” z dnia 5 marca br., który przesyłam w załączeniu. Proszę o zwrócenie uwagi dyrektorowi naczelnemu na nie stosowność jego działań, które są sprzeczne z art. 4 i 11 prawa prasowego”.

Jeszcze kilka lat temu polska opinia publiczna mogłaby się dowiedzieć o strajku w aleksandrowskiej „Sandrze” tylko z radia „Wolna Europa”. Wtedy postępowanie dyrekcji „Sandry” byłoby w pełni uzasadnione i zgodne z obowiązującymi politycznymi zasadami. Dziś inna jest sytuacja i istnieje prawne uwarunkowanie dla zbierania informacji przez dziennikarzy. Nie posadzam kierownictwa „Sandry”, że nie wiedzą o tym. Wiedzą dobrze, ale uważają, że ich to nie dotyczy. W Aleksandrowie czas się zatrzymał w miejscu. Nadal obowiązują tu stare koncepcje dotyczące reglamentacji informacji. W „Sandrze” wiedzą lepiej, co wolno pisać, a co nie i komu to szkodzi, komu przeszkadza i komu służy? Dlatego Czytelnicy „Odgłosów” nie dowiedzą się, o co chodziło robotnikom i robotnikom „Sandry”.

Przepraszam strajkujących za to, że nie mogłem przedstawić ich problemów, przyczyn konfliktu, który z pewnością głęboko przeżywają i który jest ich dramatem.

Lech Wałęsa w Łodzi.

„Ja w was wierzę!”

Jeszcze rok, jeszcze pół roku temu takie zgromadzenie nie mogłoby dojść do skutku. Nie wyrażono by na nie zgody. Tymczasem w ubiegłą środę, w hali ŁKS spokojnie zebrali się kilka tysięcy członków i sympatyków byłej „Solidarności” z Łodzi i regionu łódzkiego, aby spotkać się z podróżującym po kraju Lechem Wałęsą. Nikt im w tym nie przeszkadzał. Milicja dyskretnie pilnowała porządku na zewnątrz obiektu. Rekrutujące się głównie ze skupionych w NZS studentów służby porządkowe — w środku. Bez trudności rozdawano gazetki „Solidarności”, sprzedawano wydawnictwa drugiego obiegu, kwestowano na rzecz związku. Zorganizowane grupy przyszły pod bramę z rozwiniętymi transparentami.

Witając zebranych Jerzy Dzięgielewski powiedział na wstępie: — Jest to nasz pierwszy od ośmiu lat wiec. Solidarny ruch zawodowy przetrwał najcięższe próby i udowodnił, że jest siłą, z którą władza musi się liczyć.

Z kolei Lech Wałęsa wiskrotnie podkreślał, że tak samo związek musi liczyć się z władzami, działać rozsądnie i dążyć do porozumienia, a nie jako Polacy, nie przegapił szansy, jaka się wreszcie dla kraju pojawiła. Jeśli ją przegapią — ostrzegł — „pokolenie naszych wnuków nigdy nam tego nie wybaczy”. Bez porozumienia grozi nam ostateczny upadek i zejście do roli „zaplecza dla Europy”. Porozumienie jest konieczne, gdyż przeciwników reform nadal nie brakuje. Do tego zaś, by przeprowadzić prawdziwe reformy, konieczny jest pluralizm. On, przewodniczący „Solidarności” obiecał, że nie spocznie, dopóki pluralizm nie stanie się w Polsce faktem. I doprowadzi do tego. „A wtedy to wy — zwrócił się do ludzi w wypełnionej po brzegi hali — zbudujecie systemy, utworzycie programy polityczne. Ja w was wierzę!”.

Nie wszyscy w „Solidarności” zawierzili jednak Lechowi Wałęsie. Istniejący od kilku lat rozłam w związku uwidocznił się wśród zgromadzonych jeszcze zanim laureat Pokojowej Nagrody Nobla zasiadł za przydługim stołem. Później, kiedy wstał, aby odpowiedzieć na zadawane mu pytania, kilkaset osób ułożonych w szeregi z linią tzw. Grupy Roboczej, nie dało mu dojść do głosu, skandując: „Słowi! Słowi!”. Zaskoczona tym i zdezorientowana większość milczała przez dłuższą chwilę, a oczy wielu skierowały się w stronę siedzącego w jednym z pierwszych rzędów przedstawiciela byłych struktur „Solidarności” w Łodzi, Andrzeja Słowika. Ale wystarczyło, że Lech Wałęsa powiedział kilka celnych zdań, a okrzyki „opozycji w opozycji” zagłuszył grad braw, które od tego momentu towarzyszyły już prawie każdej wypowiedzi szefa „Solidarności”.

Pytania, jakie zadawano mu przez przeszło godzinę, w dużym stopniu były odzwiercie-

dleniem nastrojów panujących w związku, odbiciem nurtujących ludzi wątpliwości, wreszcie — wyrażały też jakby pragnienie nabrania pewności, że przy okrągłym stole rozwiązania zostaną wszystkie najważniejsze sprawy kraju.

Lech Wałęsa był optymistą. Co prawda, umiarkowanym i „mimo wszystko”, ale jednak. Całą Polskę zjechałem — powiedział na jedno z pytań — i nie dostalem nigdzie żadnego argumentu, aby zbrojotować wybory do Sejmu; w sytuacji, gdy władza grzecznie pyta, jakiego chcemy zasady, ile mandatów, itp. Ta władza zrobiła ostatnio takie otwarcie, że nas wciągnęło i zamurowało — dodał. I było to bodaj najbardziej spektakularne jego stwierdzenie w ostatnim czasie.

Na temat rozłamu w łódzkiej „Solidarności” oświadczył, że przyjechał tu, mimo iż wiedział, jakie może być przywitanie. Mógł tego uniknąć — nie chciał. Nigdzie, za wyjątkiem trochę Gdańska i Szczecina, nie ma takiego podziału, jak w Łodzi. Jeżeli „Solidarności” stanie się legalna, na co najpewniej się zanoszą, przeprowadzone zostaną w niej wybory i wybrani zostaną ludzie, którzy będą odpowiadali większości, niekoniecznie „pistolety”, bo w przyszłości najpotrzebniejsi będą ludzie mądzy i rozwinni. Tak więc, problem rozwiąże się wtedy sam. Dziś jednak on istnieje, choć szkodliwy jest dla całego związku.

Lech Wałęsa ma nadzieję, że ksiądz jezuita Stefan Mleczkowski, którego poprosił o pomoc, doprowadzi do załagodzenia konfliktu. Trzeba zrezygnować z wygórowanych ambicji — liczy się tylko Polska.

O różnicy zdań z tzw. Grupą Roboczą:

— Spory dotyczą między innymi terminu zwołania zjazdu „Solidarności” oraz związkowych pieniędzy. Grupa Robocza uważa, że zjazd powinien odbyć się jak najszybciej. To nonsens! Przecież wielu działaczy, wybranych demokratycznie przed stanem wojennym, nie wzięło w nim udziału, to wyjechali za granicę, odeszli z ruchu, założyli własne firmy. Trzeba zachować właściwą koleją: najpierw legalność, a potem można ewentualnie pomysłować o zjeździe.

W kwestii pieniędzy: — Jest ich dużo, pięć razy więcej, niż w 1981 roku; są także „zielenie”. Dzieli je komisja przy KKW w Gdańsku. Ale na razie działa ona przecież w warunkach nielegalności, walki politycznej, więc nie wszystko można ujawnić. Stąd mogą pojawiać się podejrzenia. Są one jednak nieuzasadnione.

O III Kongresie Konfederacji Polskiej Niepodległej Lech Wałęsa powiedział, że był zaproszony, ale nie wziął w nim udziału. Dlaczego wybrano taki właśnie termin? Dlaczego zorganizowano kongres, gdy rozpoczął obrady „okrągły stół”? To był błąd polityczny.

— Pamiętacie, że gdy już będzie pluralizm ekonomiczny, społeczny i polityczny —

zwrócił uwagę działaczom KPN — wówczas samo hasło niepodległości nie wystarczy.

Na temat przyszłych wyborów prezydenckich: — Nie będzie w nich kandydować, gdyż nie ma odpowiednich kwalifikacji. Był i jest działaczem związkowym i takim chce pozostać.

O apolityczności związku:

— Bardzo bym chciał, żeby „Solidarności” była apolityczna. Ale trudno na razie uniknąć polityki. Droga jest jednak wyraźnie wytyczona: związek powinien zajmować się sprawami związkowymi, a wszyscy ci, których interesuje polityka, powinni znaleźć dla siebie miejsce w stowarzyszeniach i partiach, jakie już są i jakie ewentualnie powstaną. Chodzi więc o to, aby w przyszłości naprawdę odpolitycznić związek. Tylko że z dnia na dzień nie da się tego zrobić.

Na temat metod działalności opozycyjnej:

— Zdecydowanie lepsza jest metoda ewolucyjna. Droga zbyt gwałtownych przemian do niczego nie doprowadzi, chyba — do groźb. Musimy zająć się gospodarką. Trzeba się dorażać. Bogaty z ręki nie da się go przekupić. A dziś sytuację mamy taką, że większość jest biedna. Prawie każdy ma jakieś powody do strajków. Z protestami należy jednak poczekać, ustalić hierarchię potrzeb. Niezwykle ważni są lekarze, nauczyciele... Ale oni nie mają takiej siły przebiecia. Trzeba im pomóc, solidarnie. Gdy strajkują wszyscy naraz, najsłabszy zyskuje siłę — kosztem słabszych.

Do życzeń Lecha Wałęsy o zgodę i jedność w „Solidarności” dołączył się też towarzyszący mu ksiądz Henryk Jankowski z kościoła św. Brygidy w Gdańsku.

— Jeśli będzie trzeba — powiedział między innymi — to jako dobry ojciec, który był przy narodzinach „Solidarności”, gotów jestem przysiąc: znowu do Łodzi, aby pomóc wam tę jedność utrzymać.

Spotkanie rozpoczęte odsplawianiem Mazurka Dąbrowskiego, zakończyło się pieśnią „Boże, coś Polskę”. W tłumie, na bocznych ścianach, na balustradach rozwieszone były różne hasła i transparenty. Największy z nich głosił: „Wierni Chrystusowi, skupieni w „Solidarności”. Zniewołony naród polski pod przywództwem Lecha kroczy ku wolności. Region Ziemi Łódzkiej”.

W każdym sektorze hali ŁKS obok służb porządkowych dzurowali też ubrani w białe kitle studenci z łódzkiej Akademii Medycznej, gotowi w każdej chwili pośpieszyć z pomocą. Żaden z nich nie musiał interweniować.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Foto. Janusz Kubicki



DOMINIKA
BRUNOWICZ

On

usta zamknięte milczeniem
usta
muslinowa woalka
uścisk
niczego donikąd
bladzenie pomiędzy
niewymówionym

usta w pytającym wykrzykniku
klódka
przekręcona
złotym kluczkiem
od niechęcia

Półka z książkami

RUCHOME GRANICE

W twórczości Seweryna Pollaka literatura rosyjska i radziecka (ta z XIX i XX wieku) miały ważne, by nie rzec, najważniejsze miejsce. Poświęcił im wiele artykułów i rozpraw. Obecnie, zebrane w jednym pokazowym tomie, są dokumentem nie tylko zainteresowań poety, tłumacza i popularyzatora, ale przybliżają polskiemu czytelnikowi twórczość takich znakomitości jak Andrej Biełyj, Marina Cwietajewa, Anna Achmatowa, Borys Pasternak, Aleksander Blok...

Książka nie tylko dla znawców i smakoszy rosyjskiej i radzieckiej poezji, ale i dla tych, którzy chcą o tej wielkiej literaturze wiedzieć coś więcej.

Seweryn Pollak: Ruchome granice. WL 1988. Str. 334. Cena 750 zł.

SIWY STRZELCA STRÓJ

Pierwsze wydanie tej książki miało spore powodzenie, a to ze względu na postać marszałka Piłsudskiego. Bo właśnie jest moda na towarzysza Żuka, na legiony, na „siwy strzelca strój”, słowno na legendę której przez całe dziesięciolecie odmawiano prawa obywatelstwa w naszej historii najnowszej.

Książka nie pretenduje do miana pracy ścisłej naukowej, natomiast wywołuje refleksje, a więc prowokuje do dialogu z poglądami i opiniami jej autora.

Wkrótce ukaże się wydanie drugie. Zenon Janusz Michalski: Siwy strzelca strój — rzecz o Józefie Piłsudskim. KAW w Łodzi 1988. Str. 120. Cena 400 zł.

GRENDDEL

Tytułowy Grendel, to mityczny potwór występujący w staroangielskim eposie o bohater-skim rycerzu Beowulfie, który to rycerz pokonał owego potwora, uwalniając świat od nieszczęść. Ale w omawianej tu książce, cała sprawa jest przedstawiona z punktu widzenia Grendela. To tylko jednak zabieg literacki, bowiem chodzi o współczesność, o samotność człowieka wobec Kosmosu.

Z uznaniem należy podkreślić świetny przekład Piotra Siemiona.

John Gardner: Grendel. WL 1988. Str. 176. Cena 330 zł.

Oprac.: E. IW.

— Związek Polskich Artystów Malarzy i Grafików Okręgu Łódzkiego, którego jest pan przewodniczącym, działa już trzeci rok; skłupa ponad 70 twórców.

— Staramy się reprezentować przede wszystkim artystów aktywnych. Takie mieliśmy i mamy założenia. Ale podejmujemy też działania na rzecz interesów całego środowiska, bo również tak rozumiemy naszą rolę w obecnej sytuacji, kiedy środowisko jest mocno zdeintegrowane.

W każdym środowisku istnieją

wieczny, zjawiska, które obrastają

grafika jest tytuł ilu liczy całe środowisko. Naprawdę aktywnych jest, sądzę, około 200-300.

— Oczywiście mówimy cały czas o środowisku łódzkim. Trudno podważyć zasadność związkowych działań, jakie pan przedstawił, licząc się jednak z tym, że w Łodzi nie ma takiej sytuacji, jak w Warszawie, gdzie nie przynosią spodziewanych efektów, że wokół związków grupują się przede wszystkim ci artyści, którzy nie czują jakby własnej siły, potrzebują wsparcia własnej pozycji.

obszarów, gdzie rynek sztuki faktycznie istnieje. Tam zaś artyści nie odczuwają tak głęboko potrzeby istnienia dużego związku, który ich reprezentuje, co tam zabezpiecza i tak dalej. Obecna sytuacja jest jednak wciąż nieokreślona.

— Taki stan zawieszony?

— Ukształtowany rynek sztuki stwarza swego rodzaju presję. Warunki po części dyktują ci, którzy

robią na tym pieniądze: pośrednicy, specjaliści nastawiona krytyka. Można uznać to za zdrowe, ale można też mieć zastrzeżenia. Nie potrafię zająć zdecydowanego sta-



Malarze i graficy

— rozmowa z doc. ANDRZEJEM NAWROTEM.

powną tradycją, mają wpływ właśnie integracji; jednocześnie w działaniu artystycznym w różnych części kraju, ludzi reprezentujących odmienne poglądy artystyczne. Jako związek reaktywowaliśmy na przykład plener olimpijski w Spale. Uczestniczyli w nim artyści z różnych stron Polski a także z zagranicy. Niedługo będzie wystawa z dwóch takich plenerów. Oczywiście nie zamknęliśmy się w kręgu tylko członków ZPAMG. Sądzę, że także działania wpływają integrację. Identyfikację oceniliśmy naszą drugą próbę wystawy pokonkursowej malarstwa, grafiki i rysunku.

Podobne wystawy były w przeszłości stałym elementem życia artystycznego środowiska plastycznego. Odbiły się o roku, gdzieś do połowy lat siedemdziesiątych. Powracamy do tego zyczenia, gdyż uważamy, że tego typu działania są środowisku potrzebne. Fakt, że nadesłano ponad 300 prac, wskazuje, że mamy rację. Nie łudźmy się, że w środowisku tych artystów zajmujących się malarstwem lub

— Sądzę, że tak skomplikowanej społecznie i artystycznie sytuacji nie można oceniać jednoznacznie. Wszystkie elementy, które pani wymieniła istnieją po obu stronach. Faktem jest, że nie wszyscy wybitni twórcy wstąpili do naszych związków, ale również i to, że są w nich twórcy bardzo wybitni. Niezależnie jednak jak byśmy oceniali te układy, jedno nie budzi wątpliwości, całe środowisko ma swoje potrzeby, potrzeby podstawowe. Ci, którzy chcą być w związku, spodziewają się, że związek będzie reprezentował ich interesy, a także je zabezpieczał. I my oczywiście takie starania czynimy. Ale... sytuacja jest w tej chwili inna niż przed laty. Między innymi z powodów ekonomicznych. Bez bazy ekonomicznej sztuka nie bardzo może istnieć. Zresztą, mogą być, jak sądzę, tylko dwie możliwości: obecność sztuki w sferze ideologii lub też sztuki jako towaru, czyli istnienie rynku dzieł sztuki. U nas on się jeszcze nie wykrystalizował, sytuacja jest wciąż niejasna. Ale wydaje mi się, że zmierzamy ku wzorom znanym z

nowiska. Wciąż, jak i większość kolegów, korzystam z dobrodziejstw, które dotychczas niejako gwarantował mecenat państwowy — zupełną swobodę twórczą, możliwość nieograniczonego prezentowania dorobku. Miałem ostatnio wiele wystaw, planuję dalsze, właśnie mecenat państwowy mi to umożliwia. Toteż szczerze mówiąc, nie przedstawiam się jeszcze na inny sposób myślenia. Bo to jest w jakiś sposób wygodne. Być może jednak, z czasem, i ja i moi koledzy, będziemy musieli się przestać na to „myślenie rynkowe”. Nie chciałbym jednak już teraz przysądzać tej kwestii. Sądzę też, że w niczym to nie podważa naszych zamierzeń i działań na rzecz interesów całego środowiska artystów plastyków.

— Dziękuję za rozmowę.

KRYSTYNA
NAMYSŁOWSKA

Awanturna, jaką rozpętała dwutomowa Antologia poezji polskiej zredagowana przez B. Drozdowskiego i B. Urbankowskiego, przytłumiła inna — a wydana równocześnie z Antologią — publikacja Wydawnictwa Łódzkiego. Myślenie o ŁAM — Łódzkim Almanachu Młodych. Do sprawy Antologii niebawem wrócimy na łamach „Odgłosów”, teraz wszelkie chęci i prezentowania samej literatury, do kupna i lektury ŁAM. Tytuł może trochę mylić — wnoszą o bowiem sugestia, że wydawnictwo będzie typowym almanachowym przeglądem

interpretacji poematów Z. Jaskulskiego dokonana przez Z. Dominika i rewidująca nieco mity Hłaski (J. Jarek) oraz Gombrowicza (Z. Fiszak) rozprawy wystawiają dobre świadectwo nie tylko autorom ale i wydawcom, którzy zwrócili się z prośbą o współpracę do osób kompetentnych i o świetnym piórze. A przecież zostaje jeszcze cała część „translatorska”: przekłady poezji badz esejistyk (Erzensbergera, Jacoba, Poppera) oraz cykl „filmowy” tudeńskie wariacje (narodziny legendy Beal-lesów, eseistyka Paciego).



Tylko dla myślących!

dorobku literackiego środowiska młodych twórców łódzkich. To raczej drugi — przygotowany do druku — numer ŁAM takie oczekiwania spełni, będzie on bowiem w znacznej mierze poświęcony istniejącym i działającym w Łodzi grupom i stowarzyszeniom młodoliterackim. ŁAM nr 1 nie ukaże wszakże i prezentowania samej literatury, znajdujemy w nim bowiem wiersze A. Babaryki, K. Kwiatkowskiej, S. Kosmynki, A. Straka, D. Wiśniewskiego, K. Smoczyka oraz (z prozy) obszerniejsze fragmenty „Ragadonu” J. Tomkowskiego. To — co jest elementem szczególnym nacechowania — zarazem stanowi najbardziej interesującą część ŁAM — miejsce się w prezentowanej w nim esejistyce. Dodajmy jeszcze — esejistykę obejmującą obszary eksploracji badawczej od literatury przez teatr i film do rozważań z kręgu socjologii literatury (i szerzej — kultury).

Znakomity szkic J. Bartyzela o Czesławie Miłoszu, niekonwencjonalne spojrzenie na twórczość Białoszewskiego (esej J. Brzozowskiego), wnikliwa

Nie chcemy, oczywiście, tej notki zamienić w spis treści ŁAM, ale nawet w tak skróconej i czysto informacyjnej notacji szkoda by było pominąć bodaj jedną pozycję. W bylejakości intelektualnej naszych czasów, w skomercjalizowanej (z „etapowej” konieczności) działalności wydawniczej pojawiła się w końcu — po wielu bojach i latach oczekiwania — publikacja ambitna doskonale zredagowana, świadcząca o tym, że i wydawcy wie- rzą, iż pozostało w Polsce jeszcze 1000 osób (bo taki jest nakład ŁAM), którzy nie boją się myśleć.

HENRYK PUSTKOWSKI

Łódzki Almanach Młodych. Pod red. E. Kolbusa. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988, stron 364 cena 500 zł.

Pestki dyni

Kiedys, w okolicach Carnaby Street albo Piccadilly Circus w Londynie, można było za parę centów wydrukować sobie reprint „listu gończego”, takiego westernowego listu, z własnym nazwiskiem. Facet w małym szopie albo wręcz na ulicy składał na twoich oczach tekst, odbijał na drukarce zrobionej „pod starą” i za trzy minuty miałes zabawną pamiątkę. Cieszyło się to ogromnym powodzeniem i wśród turystów i wśród londyńczyków. Sam kazałem wydrukować sobie taki list. Wyglądało to tak:

WANTED
DEAD
(PREFERABLY)
OR
ALIVE
ANDRZEJ GRUN
\$ 25.000 reward in gold coin
Wanted for: MURDER, ROBBERY, HORSE THEFT-
TING, and most other miserable acts against the
peace and dignity of THE U.S.A.

Były tam jeszcze gwiazdki, ramki i dziury — wydrukowane oczywiście!!! — po kulach; całość na brązowym papierze, czarna, oryginalna czcionka z tamtych lat. Oprawiłem sobie ów list w ramki z surowego drewna i wisł on u mnie w pracowni — jedna z sympatyczniejszych pamiątek ze świata... Można by przypuścić, że Salma Rushdi też kiedys, lażąc po Carnaby Street, mógł kazać sobie taki list wydrukować... Nigdy by się chyba nie spodziewał, że będą kiedys za nim krawczyły oryginalne gończe listy...

Piszę te „Pestki” w chwili, gdy cena za jego głowę doszła do 6 milionów dolarów, zaś przeprosiny nie zostały przyjęte. Poszczególne rzady i różni ludzie ustosunkowali się do całej afery tak, jak uważali za stosowne lub jak im wypadło. Noblista z Egiptu uznał wyrok Chomeiniego za „niezmyślną hańbę dla społeczności islamskiej...” itd. itd.

Ze wszystkich tych reakcji najbardziej trafilo mi do przekonania wyznaczenie nagrody — 1 mln. dolarów! — za brode Chomeiniego, przez Stowarzyszenie Bród Niepełnoludnych. Przed wojną (II, światową) bym się dołożył. Dlaczego wtedy, a nie dzisiaj? Wtedy mógłbym w ziółwach...

Salma Rushdi nadeptał w „Szatańskich wersecach” na coś tam wyznawcom islamu; Martin Scorsese „Ostatnim kuszeniem Chrystusa” też na coś nadeptał co poniekąd było w naszym, nie wszymskim — dzieki Bogu!!! — chrześcijaństwu; także Żydów (też nie wszystkim).

Afera z filmem Martina Scorsese — „Żyda producenta” — jak go nazywają „przyciele” trwał nadal; tu podpała kino, tam podpała bombka... Szczegółem zdania o filmie są różne... Prof. Uta Ranke-Heinemann (RFN), pierwsza katolicka teolog — kobieta prowadziła z powodzeniem wykłady na Uniwersytecie w Essen. Prowadziła bo już nie prowadzi — na skutek interwencji władz kościelnych — po opublikowaniu w STERNIE swojej opinii o istocie tego filmu.

Wiele przemawia za tym, że Jezus był żonaty. Mianowicie było w owych czasach w zwyczaju i uchodziło za zgodne z wola Boga, by rabbi — czyli nauczyciel prawa bożego, a tak nazywano Jezusa — był żonaty (...). Również wszyscy apostołowie byli żonaci. W toku procesu odseksualizowania i narastającej wrogości wobec cielesnej rozkoszy przedstawiano ich jako nieżonaty. Nie udało się to tylko z Piotrem, gdyż Nowy Testament wyraźnie wspomina o jego żonie. Kościół purytanizm seksualny, idealizacja jakoby bliźniego Bogu dziewictwa — tak kobiecego jak i męskiego, nie wywodzi się pierwotnie z chrześcijaństwa. Wrogość wobec ciała i rozkoszy są raczej dziedzictwem antyku, wzmoconym przez ruch zwany gnozą (Gnosis — poznanie), który głosił powstrzymanie się od małżeństwa, od spożywania mięsa i wina. Ten ruch przeniknął w czasach Jezusa ze wschodu, najpewniej z Persji i posuwając się ku zachodowi stał się groźną konkurencją dla chrześcijaństwa. Jezus sam miał wiele uczennic były wśród nich panie z towarzystwa, wspierające go finansowo. Był swobodny w kontaktach z kobietami (...). Wypowiadał się przeciw odrzuceniu snu przez mężów, głosił rezygnację z drugiego małżeństwa, unikanie zdrad małżeńskich (...). Związek Jezusa z Marią Magdaleną jest czystą spekulacją filmową. Kościół jednak leka się obrazu Jezusa-człowieka. Jeśli był żonaty, celibat okazał się groteską. A papież w swej wrogości wobec kobiet stanie się przestępstwem jak postać z bajki! (Za „Kulturą”).

Ciekaw jestem z jakimi aferami wkraczać będziemy w wiek dwudziesty? Ile wtedy będzie kosztowała głowa poety? głowa reżysera? głowa malarza-błuzniercy...

ANDRZEJ GRUN



Rys. Sławomir Łuczynski

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



KTO NIE CHCE?

Właśnie, kto nie chce żyć długo? Aby długo żyć, należy: 1) brać życie takie, jakim jest; 2) kochać swą pracę; 3) pracować, lecz z umiarem, nie żatując czasu na odpoczynek; 4) żyć w licznej rodzinie, nie dopuszczając do tego, by dzieci i wnuki, nawet żonaci, mieszkali w innej miejscowości; 5) nigdy nie zmieniać rejonu zamieszkania, pozostać, jeśli to możliwe, w miejscu urodzenia, starać się mieszkać na wsi, nigdy w mieście; 6) nie palić; 7) nie przesadzać — soleniem potraw, lepiej nie dosolic niż przesolic; 8) jeść mało mięsa, dużo ryb, mleka i jarzyn; 9) przyprawiać zawsze olejem; 10) nigdy nie jadać tylko raz albo cztery razy dziennie, ale trzy razy w ciągu dnia — rano, w południe i wieczorem; 11) od czasu do czasu potęczyć, zabawić się, wspólnie pośpiewać i codziennie spacerować, nie do-

puszczając jednak do zmęczenia; 12) zawsze rozmawiać z ludźmi, opowiadać, a przede wszystkim słuchać innych; 13) w razie odczuwania bólu, położyć się do łóżka lub usiąść przy ogniu — w zimie, a pod drzewem — latem i czekać, aż ból minie; po pewnym czasie ból na pewno przejdzie bez odwoływania się do pomocy lekarza; 14) kochać się — to rzecz bardzo piękna, ale uważa, zbyt wiele miłości męczy a za mało — bardzo podnieca; 15) spać na tyle długo, by ciało i umysł wrócić do sił, najlepiej 7-8 godzin, spać również po południu, gdydzij niż półtorę godziny (staruszkowie o tym nie mówią, ale to ostatnia reguła na pewno przejęli po Rzymianach); 16) pić wino, ale tylko w czasie posiłków; 17) być ambitnym w pracy, z ambicjami jednak nie przesadzać; 18) zawsze bardzo dbać o swe ciało, ściśle przestrzegać higieny.

Reguły te dotyczą zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Jest tylko jedna różnica: kobiety powinny spać najwyżej 5 godzin. Albowiem powinny poświęcać czas na sprawy domu, a nie na sen...

Oto recepta „na wieczną młodość” jaką opracowali wybitni specjaliści w oparciu o badania najstarszych mieszkańców Kaukazu i innych rejonów.

(„II Messagero”)

COŚ ZA COŚ

Informowaliśmy swego czasu, że w zamian za reklamę w telewizyjnej firmie „Universal” kupiła telewizjom dziesięć zachodnich filmów, w tym „Doktora Żywago”.

„Deszczowa piosenka” oraz sześć innych. I chwala jej za to. Obecnie szef tej firmy obiecał kolej- ny prezent w postaci filmów z Jamesem Bondem. Jednakże — w myśl zasady: coś za coś — grzeszczący telewizjowie otrzymają

obiecane filmy pod warunkiem, że będą głosować na szefa „Universalu” w konkursie na najlepszego menedżera w Polsce. „Nasze głosy — obiecuje „Antena” — już pan ma. A w ogóle jesteście zdania, że kto chce wygrać konkurs czy wybory, powinien kupować telewizji atrakcyjne filmy”.

Nasze głosy także możemy oddać, bo coś to dla nas za różnica, kto będzie najlepszym menedżerem, skoro jak na razie, sklepowe półki oglądamy ciągle takie same. A tak, przynajmniej w filmie zobaczymy co nieco...

W POGONI ZA DOCHODAMI

„Teatr w pogoni za dochodami — mówi Andrzej Łapiński w roz-

mowie z Danutą Kwiatkowską — zaczyna pełnić rolę zabawia- cza publiczności. Martwi mnie

obecne oblicze niektórych tea- trów, które miały dobrą pozycję, a teraz wypieniają wieczory mu- sicalami, występiami piosenkar- skimi... Teatr artystyczny nie

może istnieć bez dotacji. Tak jest nawet w państwach bar- dziej niż my rozwiniętych i bo- gatych. Na całym świecie tę

prawdę już dawno rozumiemo. Sponsorem może być wielu. Mo- że to być milioner mający taką

fantazję, aby zamiast płacić podatki, utrzymywać teatr, może być państwo, które przejęło na

siebie funkcję mecenasa. Natom- iast próby zawiązywania pry- watnych przedsiębiorstw nazwał- bym działalnością awanturniczą.

Nie wierzę w przyszłość takich spółek, półspółek. Skoro w zało- żeniu ich działalności określone

są duże dochody, wystawia się coś, na co przyjdą tłumy. A

tłumy z reguły lubią rzeczy „lekkie, łatwe i przyjemne”...

Państwo jest też na dobrej drodze do bankructwa. A spon- sorów musimy szukać wszędzie...

Utrzymać się sam może tylko teatr bulwarowy. Coraz rzadziej

dostrzegamy teatry, w których obecny jest Mickiewicz i Sło- wacki. Długo się tak z obawy,

że nie zapewnią oni publiczność i pełnej kasy. To bardzo



„Poprawianie weszło mi w krew”

Rozmowa z ELŻBIETĄ ADAMIAK.

— Pierwsze kroki na estradzie stawiała pani w połowie lat siedemdziesiątych bardzo szybko zyskując uznanie i rozgłos. Czy może pani przypomnieć początki?

— Były mało sprzyjające. Trwałe zapalenie lewego nadgarstka uniemożliwiło mi ukończenie liceum muzycznego w klasie gitary klasycznej. Z konieczności musiałam przejść do normalnego liceum ogólnokształcącego. W gronie nowych rówieśników spostrzegłam u siebie ogromne braki w wiedzy ogólnej. Trudno mi było dorównywać kolegom tylko graniem na gitarze. Bardzo szybko zorientowałam się, że oprócz muzyki poważnej, w której byłam zakochana, istnieje malarstwo, literatura, poezja. Z własnej nieprzymuszonej woli sięgałam po pierwsze różnych poetów i odkryłam, że jest to świat równie piękny, jak muzyka. Gdy trafiłam na wiersz, który był mi szczególnie bliski, chciałam go jak najszybciej zatrytmować przy sobie. Właściwie może powinnam się tych wierszy uczyć na pamięć i w zależności od potrzeby przywoływać je w myślach, ale rzadko kiedy wiersz podobał mi się w całości. Najchętniej wybierałam fragmenty z twórczości jednego autora i składałam je w nową całość, jeszcze bardziej mi bliską, a później komponowałam do nich muzykę. Śpiewałam te jak gdyby „nowe wiersze” wtedy, kiedy było mi źle... A z reguły było mi wtedy źle.

— Pojawiała się pani w środowisku śpiewającej wiersze Jerzego Harasymowicza. O ile wtedy, doświadczy pani państwa do spotkania w krakowskiej kawiarni „Pod Jaszczurami”?

— Wiersze Jerzego Harasymowicza należały do moich ulubionych. Potrafiłam nie tylko odnaleźć w sobie te poezje, ale także przeżywać je bardzo silnie. Był tylko jeden wiersz pt. „W gorach jest wszystko, co kocham”, który akcentowałam

cały. W innych odnajdywałam cztery wersy swojej, cztery Harasymowicza, w następnym wierszu tylko dwa mi odpowiadały itd. Wtedy postanowiłam zrobić coś, czego wydawało mi się nie miało prawa zrobić, ale... Z różnych fragmentów wierszy popełniałam collage. W przypadku niezjadanych poetów, tego typu działanie można potraktować jako specyficzną adaptację jego twórczości. Harasymowicz żył... Miałam świadomość, że bardzo „wywrociłam mu duszę do góry nogami”. Wobec tego jego zaproszenie na wieczór autorski przyjąłam pełną obawą i paniką. Bałam się, że przez cztery dni chodząc z otrzymanym telegramem, próbując odpowiedzieć na pytanie: co też pan Harasymowicz chce ode mnie? czy jemu podoba się to, co ja robię, czy... Zaryzykowałam. Chciałam go poznać. Pomyslałam, że jeżeli nawet dostane go głowie, to przeproszę... Kiedy pan Harasymowicz zapowiedział mi: A teraz pani Adamiak zaśpiewa moje wiersze — poczułam się trochę pewniej. Wyjaśnił publiczności: To są moje wiersze, aczkolwiek to jest coś, co napisała pani Elżbieta, ale ja podpisuję się pod tym oboma imionami. Zaspiewałam drżącym głosem „Jesienna zadumę” i od tego momentu miałam carte blanche. Przerabiałam baśń się żyjących poetów. Potem przerabiałam Józefa Barana, Adama Ziemiańskiego, Andrzeja Poniedziałkiego i to przerabianie weszło mi w krew. Leczyłam na to, że poeci przynajmniej oko na te moją swawolę.

— A potem zaczęły się festiwale, konkursy, koncerty, recitale. Jak pani myśli, co zdecydowało o pani popularności i wrażliwości sympatii publiczności?

— Sama się czasem nad tym zastanawiam. Lubie śmiać się z siebie samej i uważam, że tak nie umieć śmiać, to tylko jak potrafię i nie mam w Polsce w tym względzie konkurentki. Zajęłam

zatem puste miejsce. Nikt do tej pory nie odważył się zaśpiewać czystym, szkolnym, z natury cichym głosem. Ratuje mnie dobra dykcja i nie najgorsza muzyka. Była to na pewno zasługa mojej muzycznej edukacji i rozkochania w baroku. Należałości barokowe są bardzo wyraźne w moich pierwszych kompozycjach. Z dobrych źródeł czerpałam i nie mam się czego wstydzić.

— Ostatnio pani wraz z mężem — Andrzejem Poniedziałkim — bardzo aktywnie włączyła się w ożywienie życia kulturalnego w naszym mieście. Jak doszło do zorganizowania cyklicznych programów zatytułowanych „Ślódz nam te Łódź”?

— Na pomysł wpadła pani Ania Dobrowolska pracująca wtedy jeszcze w Centrum Informacji Kulturalnej w Łodzi, która zaproponowała nam zagospodarowanie jednej srody w miesiącu na nasz autorski program. Dala nam wolną rękę. Mogliśmy robić, co nam się żywnie podobało, a w gruncie rzeczy chodziło o to, żeby zapraszać na koncerty ciekawe indywidualności ze świata piosenki. Oboje zapaliliśmy się do tego pomysłu i wzięliśmy, jak bardzo ważna jest nazwa imprezy, bowiem będzie ona niosła w podtekście idee naszego programu. Andrzej napisał wiersz „Ślódz nam te Łódź”, ja skomponowałam muzykę i tak powstało hasło wywoławcze, skupiające wokół nas zainteresowanych. Zainaugurowaliśmy cykl własnym recitalem, który odbył się w październiku 1988 r., zapowiadając czego widzowie mogą oczekiwać w przyszłości.

— I tak dzięki państwu gościliśmy w Łodzi: Tadeusza Woźniaka, Elżbietę Wojnowską, Dorotę Stalińską. W styczniu groziło, że programu już nie będzie. Dlaczego?

— Powołaliśmy dolegliwosc — brak funduszy na prowadzenie tego typu działalności. Panowie dyrektorzy z CIK-u są bezradni... Konieczna jest dotacja. Skąd ją brać?

— Ale jednak coś drgnęło. W lutym przyjechał Andrzej Zaucha. Zapowiedzieliście państwo spotkanie z Ewą Bem, Markiem Grechutą, grupą „Pod Buda” i być może Marylą Rodowicz.

— Uzyskałmy doraźną pomoc, ale co dalej — trudno przewidzieć. Jedno jest pewne, nie siedźmy z założonymi rękami. Może uda nam się nakłonić firmy polonijne w zamian za reklamy ich działalności, do dofinansowania i wspomnienia działalności kulturalnej w Łodzi.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA



No zdjęciu: Elżbieta Adamiak



Kronika

WYDARZENIEM ARTYSTYCZNYM DUŻEJ RANGI W NASZYM MIEŚCIE było otwarcie 23 lutego br. w Muzeum Sztuki wspaniałej wystawy malarstwa, rzeźby i grafiki Hansa Arpa (1888-1960).

Na ekspozycję złożyło się 80 dzieł Arpa. Niemiecki artysta, współtwórca dada i surrealizmu zajmuje jedno z czołowych miejsc w sztuce XX wieku.

Wernisaż zgrupował liczne grono gości, wśród których obecny był minister kultury i sztuki — prof. Aleksander Krawczuk. Władze miasta reprezentowali: sekretarz KŁ PZPR — Grzegorz Misiewicz i prezydent Łodzi — Jarosław Pietrzyk. Uroczystość otwarcia ekspozycji zaszczylił również swoją obecnością ambasadorzy: Francji — Claude Hurel, Szwajcarii — Paul Stauffer, radca kulturalny RFN w Warszawie — Rainer Döbelstein.

Wystawa — stwarzająca łódzianom niecodzienną okazję do spotkania z unikatową sztuką XX wieku — czynna będzie do 16 kwietnia.

W LESZNIE, KONINIE I POZNANIU odbywał się Międzynarodowy Festiwal Tańca „Poznańskie Koziołki”.

W silnej międzynarodowej obsadzie w finale tańców standardowych zwyciężyli mistrzowie Polski i krajów socjalistycznych — Małgorzata i Roman Chraczyński z Wrocławia. Im też przypadł tradycyjny „Puchar Poznania”.

W finale tańców latynoamerykańskich — werdyktem międzynarodowego jury — przyznano pierwsze miejsce tancerzom z poznańskiego klubu „Dziupla” — Joannie i Waldemarowi Ziolkom. Otrzymały oni puchar ufundowany przez redakcję „Gazety Poznańskiej”.

W finale Tańca Pucharu Młodości triumfowali przedstawiciele Wrocławia. W kategorii par do lat 13 zwyciężyła Anna Ziolkowska i Wojciech Kępiński; w kategorii do lat 15 — Monika Roszak i Jacek Sztorek, zaś w kategorii juniorów — Joanna Ruchocińska i Piotr Chadryś.

W konkursie zespołów tanecznych pierwszym miejscem podzieliła się „Luzja” ze szczecińskiego Pałacu Młodości z gdyńską „Fala”.

W NOWEJ GALERII W KRAKOWIE, urządzonej w odrestaurowanej zabytkowej Kamienicy Hetmańskiej, otwarta została druga część XIX Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej „Akt i portret — Venus '88”.

Prezentują swoje prace fotograficzne z 18 krajów (180 fotografii, w tym 80 barwnych).

Ekspozycja czynna będzie do 30 kwietnia br.

W GALERII KSIĘŻY MŁYN, przy ul. Przedzalanianej 68, czynna jest wystawa rysunków Jarosława Chrabaszcza, zorganizowana przez BWA w Łodzi i Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju.

Artysta jest absolwentem PWSSP w Łodzi z 1987 r. — uprawia twórczość w dziedzinie malarstwa, rysunku i grafiki warsztatowej. Jego prace były m.in. prezentowane na głośnej Wystawie Młodej Plastyki „Arsenal '88” w Warszawie.

Polecamy tę ciekawą ekspozycję, wielce utalentowanego młodego twórcy.

PRYZNANE PO RAZ TRZECI PRZEZ „GAZETĘ KRAKOWSKĄ” nagrody im. Tadeusza Hołujy pn. „Drzewo i owoc” otrzymali: Zbigniew Sajjan, Hieronim Kubiak i Edward Brzostowski.

W MOSKWIE OTWARTY ZOSTAŁ ŻYDOWSKI OSRODEK KULTURY im. Salomona Michaelsa. Odbywać się w nim będą m.in. kursy języka hebrajskiego i jidysz oraz spotkania z twórcami kultury żydowskiej.

Ośrodek gromadzić będzie materiały z życia społeczności żydowskiej w Związku Radzieckim.

ANDRZEJ WAJDA REALIZUJE WRAZ Z MARCELEM ŁOZINSKIM film o Katyniu. Powstaje on poza Komitetem Kinematografii. Obraz ten będzie gotowy w przyszłym roku.

COFINIĘTE ZOSTAŁO OGRANICZENIE i powrócił na nasze ekrany głośny film Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”.

TRANINE ARTYSTYCZNA ze zbiorów Centralnego Muzeum Włókiennictwa można będzie obejrzeć od 2 marca br. na wystawie w Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

4 MARCA BR., w Małej Sali Teatru Nowego, odbędzie się premiera dwóch jednoaktówek Arthura Millera: „Coś jakby historia miłosna” i „Elegia dla jednej pani”, w reżyserii Włodzimierza Nurkowskiego, ze scenografią Marka Brauna. Grają: Barbara Dembińska, Agnieszka Kowalska i Aleksander Bednarek.

W DNIACH 23 i 24 LUTEGO BR., na scenie Teatru Studijnego wystąpił gościnnie, założony przez Romana Radomskiego, Teatr im. A. Artauda ze spektaklem HOTEL PANA BOGA. Teatr ten należy do nurtu tzw. teatru alternatywnego. Spektakl HOTEL PANA BOGA powstał w oparciu m.in. o prozę R.M. Rilkego („Malte”, „Listy do Lou Salome”).

DUŻA SENSACJA ARCHEOLOGICZNA stało się przypadkowe odkrycie w ŁukSORze podczas prac porządkowych w jednej z tujejszych starożytnych świątyń, posągu faraona Amenhotepa III z 1470 roku p.n.e. Posąg zachował się w dobrym stanie i ma 2,5 m wysokości.



Między abstrakcją a rzeczywistością

W Galerii Bałuckiej czynna jest wystawa Jana Nikińskiego z Warszawy. O poziomie jego sztuki świadczą liczne wyróżnienia, nagrody, stypendia, wystawy organizowane głównie za granicą — w Wiedniu, Norimberdze, Berlinie Zachodnim, Lublanie, a także prace na uczelni w Salzburgu. Uznanie zdobyte poza krajem potwierdzają recenzje.

W Łodzi wystawa Jana Nikińskiego nie cieszy się spodziewanym zainteresowaniem. Wynika to stąd, że przeciętny widz poszukuje przede wszystkim barw, żywości, dynamiki — słowem tego, co przyciąga uwagę. Twórczość tej miary wymaga wysiłku myślowego, a próba nazywania jej, czy też rozpatrywania w kategoriach słownych jest niezwykle trudna. Ale nie jest też ona szokująca, bowiem wszystko, co szokuje, już się wydarzyło. Z całą pewnością jest to jednak na gruncie polskiej sztuki odznaczająca się pod względem stylu indywidualnością.

Wywodzi się ona z konstruktoryzmu czy nawet strukturalizmu. Ma swoje korzenie w programie artystycznym Malewicz, Stajewskiego. Kombinacje form geometrycznych powiązanych z różnymi warstwami tworzywa, małymi reliefami powodują, że są one zdane na percepcję estetyczno-intuicyjną bardziej niż na to, że ktoś to racjonalnie i świadomie zrozumie.

Nie znaczy to wcale, aby w twórczości Jana Nikińskiego, znajdującej się na granicy rzeczywistości i abstrakcji, nie było śladów zadumy nad kruchością egzystencji ludzkiej. Choć samego człowieka trudno tu odnaleźć, to jednak w czarno-białych rysunkach łatwo odczytać, że niespokojne kreski wyznaczają kształty ciała ludzkiego uwikłanego w jakims dramatycznym napięciu. Rysunek „Zraniony romantyzm morską perłami” niesie niepokój o zagrożenie istnienia człowieka. W pracach zatytułowanych „List”, „Pusty-

nia” przedstawiona jest panorama miasta nocą, gdzie zbiegają się geometrycznie w jednym punkcie linie, wskazujące wyraźnie na podmiot lub miejsce marzeń. W obrazach „Wyjście z impasu”, „Wyjście z labiryntu” autor wprowadza nas w świat skomplikowany, trudny do rozwikłania, lecz jednocześnie daje wskazówki jak z niego wyjść. Zaś czyste formy w obrazie „Cisza” bezwiednie uspokajają odbiorcę.

Podwójność, rozdwojenie, to powtarzający się motyw tego malarstwa.

Interesująca technika „trompe l'oeil”, jaka pogląda się Jan Nikiński, powoduje złudzenie trójwymiarowości. Podechodzimy do obrazów kilka razy, bo wciąż istnieje możliwość odkrycia nowych kształtów i warstw. Nierzadko ma się o chacie dotknąć i sprawdzić, czy aby dostarczona wypukłość bądź wgłębienie istnieje naprawdę. Dodając do tego subtelna grę światła, barwy zestawione w opozycji do białej albo skonstruowane czernią, artysta przedstawia nam dzieła niełatwe w odbiorze, lecz zawierające w sobie bogactwo znaków i sensów. Polecamy tę wystawę.

DANUTA KONIECZNA-MALATYŃSKA



Twórca smoka

Małgorzata Kaluźna, instruktorka teatralna z DDK—Śródmieście zwykła opowiadać taką oto anegdotę o Czesławie Barylskim. Ow mistrz techniki teatralnych goszczących jakiegos animatorka kultury, reklamował swoje wyroby. Przypomniał kostium myśwy z ogromną, uszatką maską, a goście wszadli na głowę atrape chelmu sprzed kilku wieków. Tak się zagadali, że w tym przebraniu zastała ich pani Małgorzata. Stary mistrz tłumaczył właśnie klientowi: — „Bo wie pan, my tu robimy żaby, żalazie i niedźwiedzie...”

Zanim pan Barylski rozpoczął pracę w rekwizytorii ŁDK, przez 33 lata budował dekoracje w „Arlekinie”. Współpracował tam ze scenografami tej klasy co Konstanty Mackiewicz, Wacław Kon-

dek czy Adam Kilian. W 1975 r. odniósł jeden ze swych bardziej spektakularnych sukcesów. Stworzył uniwersalną na owe czasy marionetkę, odzwierciedlającą wszystkie ruchy człowieka, która zagrala główną rolę w spektaklu pt. „Ula z I b”.

W 1983 r. mistrz zmienił firmę, ale w barwach ŁDK robił to samo co poprzednio, tyle że dla zespołów nieprofesjonalnych. „Sezamki” z Zakładowego Domu Kultury „Księży Młyn” tańczyły i śpiewały w telewizyjnych wideoclipach w maskach, które wyszły spod jego reki.

Eldekowski teatr pantomimy zamówił do swego spektaklu bezkę na wózku, fotel-krzesło, wózek dla inwalidy, parawan oraz... kostur. Dla Działu Usług ŁDK, w skład którego wchodzi kie-

rowana przez Czesława Barylskiego pracownia plastyczna i techniczna — nie ma zamówień niewykonalnych np. ograniczonych przestrzennie. Kiedy Jan Piotrowski uwzględnił w wystroju Chłopskiej Herbaciarni ŁDK, smoka, nikt nie miał wątpliwości, gdzie złożyć zamówienia.

Jego konstrukcja jest mieszanina gąbki (wnętrzości), drutu (kręgosłup), folii aluminiowej (skórki na pancerzu) i wykładziny podłogowej (fajery) oraz żarówek (gorejące oczy). Smocze cielsko waży 80 kg, a pod sufitem zawieszono je 7 osób jednocześnie. Złotliwi twierdzą, że smok za bardzo przypomina krokodyla, ale to wszystko następstwa filmowej „choroby australijskiej”. Smok ma 11 metrów długości zamiast wysokości tylko dlatego, że w przeciwnym wypadku przebiłby strop herbaciarni. Dla ortodoksyjnych realistów Czesław Barylski wykonał mnóstwo orientalnych lampionów, wiernie skopiowanych na wzór autentycznego, dostarczonego przez ambasade chińską. Mistrz z przyjemnością zajada pod smoczym łbem przysmak o nazwie Mu Hsu Dzou, czyli... Złoty Kwiat Miesny z ryżem.

ANDRZEJ WERBIK

Galeria pisarzy

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

smutne. A filmy? W repertuarze dominują horrory i filmy sensacyjne, kino artystyczne — moim zdaniem — już się skończyło. ...wróciłem do telewizji, zrealizowałem ostatnio dwa przedstawienia. Lecz wszystko się tu zmieniło, nie ma tych ekip, z którymi chciało się pracować. A i technika telewizyjna jest ostatnio bardzo męczącym środkiem rejestracji. Wszystko się psuje i sypie. Praca w telewizji to zbyt wielka dla mnie męka... Chociaż nie mogę zaprzeczyć, iż telewizja dała nam — zwłaszcza pokoleniu z lat 60. i 70. — ogromną popularność. Dla aktora była to niejako nobilitacja i siła napędowa do dalszego działania. Pamiętam, w latach 60. telewizja była uboga, przasnía i opierała się na teatrze. Był on wtedy fenomenem na skalę światową...”

KANTATA O STALINIE I...

„Stalin, Zdanow i Szpilow są bohaterami satyrycznej kantaty radzieckiego kompozytora Dymitra Szostakowicza, której światowa premiera odbyła się niedawno w Kennedy Center w Waszyngtonie (pisze „L'Unita”). Kantata zatytułowana „Rajok”, co po rosyjsku znaczy „mały raj” ale również — duszna „ja-

skółka” w teatrze — jest kpina z przemówień Stalina, Zdanowa i ministra spraw zagranicznych Szpilowa. Uczeń i przyjaciel Szostakowicza Roztropowicz, który dyrygował premierowym wykonaniem kantaty, powiedział, że dopiero dziś, w epoce Gorbaczowa, uznal za możliwe zaprezentowanie tego utworu szerokiej publiczności. Wyraził przy tym nadzieję, że niebawem będzie mógł zapoznać z kantatą słuchaczy w ZSRR.”

ZDARZA SIĘ...

„Wszystkim słuchaczom Radia Uganda należało się przeprosiny za zakłócenia podczas serwisów informacyjnych naszej rozgłośni w ciągu poprzednich dwóch dni — oświadczył dziennikarzom D. S. Jegonga, pierwszy zastępca kierownika działu łączności. — Poludniowy serwis w czwartek urwał się nagle, po słowach: „O Boże... Do usłyszenia...”, gdyż na biurku Francisca Massaby, seniora naszych lektorów, pojawił się dwumetrowy wąż, który wpełzł do studia przez okno. Piątkowe zakłócenia trudniej usprawiedliwić. Massaba nie mógł dokończyć czytania wiadomości, bowiem na głowę spadł mu sufit. Kiedy strażnicy pognali piętro wyżej, ujrzeli szefa teatru ra-

diowego i jego sekretarkę splecionych w miłosnym uścisku na podłodze...”

CUDZE KUPUJEMY, SWEGO...

Słynieśmy z gestu. Szczególnie gdy wydajemy nie własne pieniądze. Można więc wnosić, że stąd namnożyło nam się w ostatnich latach wiele towarów, urządzeń, sprzętu kupowanego za „ciężką” walutę, choć nasi rodacy, w kraju, byli twórcami podobnych towarów, sprzętu i urządzeń, tyle że bezskutecznie latami pukali do różnych drzwi w poszukiwaniu sponsorów. Przykłady z magnetofonami, „kretami”, urządzeniami elektronicznymi — nie stanowią wyjątków. Ostatnio za 200 tys. dol. zakupiono aparaty teledyktyny do nadawania telegazety. Ale prototyp — jak podaje „Antena” — jota w jota podobny do zakupionej aparatury opracował 10 lat temu inżynier z Białegostoku Wacław Panas...



Aut. Sławomir Arabski

IGOR SIKIRYCKI

Wypowiedział słowa
Smutne acz szczerze:
W Łodzi difficile est satiram
Non scribere!

ROMAN GORZELSKI

Opracował: JAK

PROCES I WYROK WYDA-
NY W sprawie Vaclava HAVELA
i innych przedstawicieli
czeskiej opozycji wy-
wołał w całym świecie
liczne protesty. Vaclav Havel
został skazany na 9 miesięcy
aresztu. W protestach rządów
zachodnich podkreśla się, że
wydany w Pradze wyrok jest
„ewidentnym pogwałceniem
postanowień KBWE”.

Protestują również pisarze,
artyści, twórcy i działacze kul-
tury wielu krajów. Zaprote-
stował Związek Pisarzy Węgier-
skich. Również pisarze czescy
i słowaccy podpisali petycję o
zwolnienie z aresztu przedsta-
wicieli opozycji. Skazani od-
wołali się od wydanych wy-
roków.

Prasa czeska i słowacka pu-
blikuje listy robotników, któ-
rzy potępiają szybką i ostrą
reakcję 2000 pisarzy i artystów
w obronie przedstawicieli opo-
zycji. — „Artysta musi iść z
ludem — stwierdził jeden z ro-
botników Zakładów Metalur-
gicznych w Kralupy Dvur — a
czy oni w ogóle znają nasze
gusta i opinie?” Inny dodał: —
„Dlaczego prasa nie jest bar-
dziej operatywna? Dlaczego lu-
dzie o tym, co ma się dzie-
ć w centrum Pragi, dowiadują
się z Głosu Ameryki? Wieczo-
rami w telewizji widzimy, co
zdarzyło się na drugiej półkuli,
lecz o tym, co się dzieje u nas
— telewizja milczy”.

JUGOSŁAWIA

CHORWACKI TYGODNIK
„DANAS” ostro zaatakował
serbskiego przywódcę Slobodana
Milosewicza, za jego krótko-
wzroczną politykę w sprawie
autonomicznego okręgu Koso-
wo. W okręgu tym trwają
strajki. Robotnicy pochodzenia
albańskiego domagają się zmia-
ny dotychczasowej polityki, u-
stąpienia szefa kosowskiej or-
ganizacji partyjnej — Rahma-
na Morina. Jego dymisji nie
przyjęły władze federalne. Do-
magają się takich poprawek do
Konstytucji Serbii, aby nie po-
wodowały one dominacji Ser-
bów w Kosowie. Górniczy Ko-
palni Ołowiu i Cynku „Trep-
cza” w Starym Trgu nie wy-
chodzi spod ziemi. Również w
zakładach przemysłowych
strajkują inni. W Kosowie o-
bowiązuje zakaz gromadzenia
się na placach i ulicach. „DA-
NAS” zarzuca Slobodanowi Mi-
losewicowi, że jeździł na wie-
ce Serbów w Kosowie i tu-
maczył im założenia swojej po-
lityki. Na zaproszenie Albań-
czyków z Kosowa nie pojechał
ani razu, nie spotkał się z ni-
mi, choć „potrafił całymi no-
cami prowadzić rozmowy z Se-
rbami z Kosowa”. „DANAS” za-
rzuca Slobodanowi Milosewi-
cowi, że przyczynił się do „pod-
syceńcia i odrodzenia” serbskie-
go nacjonalizmu.

ZSRR

JAK Poinformowała
„KOMSOŁSKA PRAWDA”
w Doniecku spodziewano się
Michała Gorbaczowa, który po-
jechał do Lwowa. W oczekiwa-
niu na wizytę wymyło miasto,
wyremontowano drogi, umyto
szyby i kosze na śmieci. W
sklepach pojawiły się atrakcyj-
ne towary. A przecież — stwier-
dza korespondent „Komsomol-
skiej Prawdy” — Donieck na-
leży do jednych z bardziej
zadbanych miast, o ładnej ar-
chitekturze, jest czyste i nie-
zależnie zaopatrzone. UNESCO uznało
Donieck za najbardziej zielone
miasto przemysłowe.

W DNIU ODLOTU Michała
Gorbaczowa z Kijowa odbyła
się tam demonstracja około
5000 mieszkańców miasta, któ-
rzy demonstrowali przeciw
kandydaturze szefa partii na
Ukrainie Władimira Szerbickie-
go i szefa kijowskiej orga-
nizacji partyjnej K. Maseka na
deputowanych ludowych. De-
monstracja odbyła się na Placu
Rewolucji Październikowej.

Opracował:
WITOLD BOROWY

Niezwykłe dzieje kariery Ławrientija Berli (3)

Śmierć wodza i koniec jego pomocnika

ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO



Rys. Dariusz Romanowicz

lina w Sekretariacie KC KPZR
zaplanuje człowiek z punktu
widzenia Berli drugoplanowy
— Nikita Chruszczow. Wiosną
1953 roku w Biurze Politycz-
nym KC KPZR zapanowała
pewna chwila równowagi. Sil-
ny przygotował się do przeję-
cia władzy Ławrientij Beria
wydał już tajny rozkaz skiero-
wania kilku podległych mu
dywizji z centralnych okręgów
RSRR do Moskwy.

Jakby litując się nad losem
Nikity Chruszczowa zjawili się
dwóch zbiegów z obozu prze-
ciwnika. Zastępca ministra bez-
pieczeństwa państwowego I.
Sierow i minister spraw wew-
netrznych S. Krugłow. Zważyli
oni szanse szefa i postanowi-
li go wydać. Donieśli Nikicie
Chruszczowowi wszystko, co
wiedzieli o zamiarach Ławrien-
tija Berli. Naszkicowali plan
operacyjny zbrojnego puczu,
rozlokowanie oddziałów, podali
nazwiska spiskowców. Nikita
Chruszczow stanął przed wy-
бором: uderzyć natychmiast,
wyprzedzając spiskowców lub
odejść w cień, zrezygnować z
walki, ze wszystkiego. Wybrał
działanie.

Zaden z dawnych pomocni-
ków Józefa Stalina nie był
twardym człowiekiem. Nikita
Chruszczow, aby podjąć dzia-
łanie musiał osiągnąć zgodę Ni-
kołaja Bułganina, Anastasa Mi-
kołajowa, Władysława Molotowa,
Klimienta Woroszyłowa, Geo-
rgija Żukowa. Osiągnięto jedno-
myślność. Nikołaj Bułganin z
Georgijem Żukowem przysta-
pili do mobilizacji sił. Pod pre-
tekstem letnich manewrów
zgrupowano siły w rejonie Smo-
leńska. Dzień aresztowania
Ławrientija Berli wyznaczono
na 26 czerwca 1953 r. Gdy ty-
ko Ławrientij Beria przybył
do Łubianki, na Kremlu,
zostaną zaalarmowane wszyst-
kie akademie wojskowe i do
stolicy wkroczą pewne dywi-
zje. Wojska, rozlokowane przez
Ławrientija Beria pod Moskwą,
zostaną na rozkaz ministra o-
brony, Nikołaja Bułganina, o-
toczone, a koszary zablokowane.

Wszyscy członkowie Prezy-
dium KC KPZR wiedzieli o
mającym się odbyć zebraniu na
Kremlu, lecz tylko trzech —
Georgij Malenkow, Nikołaj
Bułganin i Nikita Chruszczow
— wiedzieli, co stanie się na
tym zebraniu, jaki jest ogólny
plan operacji. I jeszcze jeden
człowiek został wtajemniczony
we wszystkie szczegóły sprawy
— marszałek Georgij Żukow.

26 czerwca 1953 roku

Ławrientij Beria przyszedł
na zebranie jako jeden z
ostatnich, zajął miejsce i za-
pytał:

— Jaki jest porządek obrad?

Sekretarz generalny starał się
usłynie odizolować towarzysza
Ławrientija od organów bezpie-
czeństwa, on jednak w dalszym
ciągu po cichu dowodził apar-
atem przemocy. Żaden członek
Biura Politycznego KC KPZR
nie czuł się przy nim bezpie-
czny. Był bezspornym liderem w
przededniu historycznej wiosny
1953 roku.

Jak dokonano przewrotu? Za-
chowało się opowiadanie Niki-
ty Chruszczowa.

Czterej faworyci spędzili wie-
czór przy obiedzie na stalinow-
skiej dacy. Było to 28 lutego
1953 roku. Gospodarz nieźle so-
bie podpił, był w dobrym hu-
mory i towarzysze wyjechali
od niego późną nocą a dokład-
niej — wcześniej rano, 1 marca.

Wieczorem 1 marca nastąpił
wylew. Józef Stalin stracił przy-
tomność, spadł z łóżka, stracił
mowę. Ochrona wezwwała czte-
rech bliskich towarzyszy, lecz
oni nie zostali na dacy, nie
zatrzasnęli się o pomoc lekars-
ką. To początek łańcucha fak-
tów — posłań.

Lekarze zostali wezwani do
nieprzytomnego Józefa Stalina
dopiero 2 marca 1953 r., z wiel-
kim, może nawet fatalnym w
skutkach opóźnieniem.

O trzeciej w nocy 2 marca
pod dach podjechał samochód.
Przyjechał Ławrientij Beria z
Georgijem Malenkowem. To-
warzysze stanęli obok chorego,
postali chwilę w milczeniu. Sta-
lin w tym momencie głośno
zachrapał. Zwracając się do po-
mocnika dowódcy, Łozgaczowa,
Beria powiedział:

— Po co się panikę? Wi-
dzisz, że towarzysze Stalin mo-
cno śpi. Nie podnoś szumu, nie
niepokój nas i towarzysza Sta-
lina też.

Łozgaczow zaczął przekony-
wać, że Stalin jest ciężko cho-
ry, że jest mu potrzebna natych-
miastowa pomoc lekarska. Ale
towarzysze nie słuchali i pos-
piesznie wyszli z sali.

W nocy 2 marca 1953 r.,
nikt nie okazał Stalinowi
pomocy lekarskiej.

Lekarze zjawili się dopiero
rano. Z takiego sposobu poz-
bicia się niewygodnych ludzi
korzystał nie raz sam Stalin.
6 marca 1953 r., dzień po
śmierci Wodza gazeta „Izwest-
ia” publikuje tekst komunikatu
autorytatywnej komisji lekars-
kiej:

„Wyniki badań anatomiczno-
patologicznych w pełni potwier-
dzają diagnozę, postawioną
przez profesorów-lekarzy, le-
czących J.W. Stalina. Stwier-
dzono nieodwracalny charakter
choroby J.W. Stalina od mo-
mentu powstania wylewu krwi
do mózgu. Dlatego przedsię-
wzięte energiczne środki lecz-
nicze nie mogły przynieść po-
zytywnych rezultatów i zapobiec
fatalnemu zejściu”.

Jaki był stan zdrowia Stalina
przed śmiercią? W ostatnim cza-
sie nie uskarżał się na żadne
niepokoje. Jedynie sny miał
ciężkie, ale o tym mało kto wie-
dział. Józef Stalin wyróżniał
się dobrym zdrowiem, „serce,
płuca, wątroba były w doskona-
łym stanie” — pisze Swietłana
Allilujewa.

Nikita Chruszczow twierdzi,
że śmiercią Stalina był zainte-
resowany tylko jeden człowiek
— Ławrientij Beria. Jest to cał-
kowicie zgodne ze wspomnie-
niami Swietłany Allilujewy o
ostatnich godzinach życia ojca.
Daje nam do rąk jeszcze jedną
niezaprzeczalną posłuszkę:

„Kiedy już było po wszystkim
on pierwszy wyskoczył na kor-
rytarz i w ciszy sali, gdzie
wyszczurki wokół stały w milce-
niu, słysząc było jego donośny
głos, nie skrywający triumfu: —
Chruszczow, samochód!”

Ławrientij Beria pospieszył
na Łubiankę i bez przeszkód za-
władną centralnym aparatem
jako — co raz pierwszy —
wszechwładny gospodarz.

Do Tbilisi natychmiast wysła-
no podążać specjalny z doboro-
wymi grupami operacyjnymi.
Zadanie — wyzwoleć z więzień
wysłanych tam z rozkazu Józ-
efa Stalina przywódców. I are-
stować wszystkich ostatnich fa-
worytów sekretarza generalnego.
Przed wszystkim należy usu-
nąć zbędnych świadków. Zbę-
dnymi okazali się, oprócz nie-
których lekarzy, wszyscy agen-
ci ochrony dacy w Kuncewie.
Dwaj, żeby uniknąć najgorszego,
zdażyli się zastrzelić. Działło się
na drugi dzień po pogrzebie.

Po śmierci Józefa Stalina,
Ławrientij Beria tworzy
plan zdobycia władzy.

Robi pierwsze posunięcie
— publicznie na Plenum KC wy-
suwa na stanowisko przewodni-
czącego Rady Ministrów Malen-
kowa, człowieka słabego i na
dodatek, jak sądzi Beria, zna-
jącego się pod jego wpły-
wem. Stanowisko Józefa Sta-

Kreml. Tu znajdował się ga-
binet Józefa Stalina, sale o-
brad Biura Politycznego i je-
go mieszkanie. System bezpie-
czeństwa Kremla był starannie
przemysłany i dopracowany je-
szcze przed wojną, w latach
wielkiego terrorku. Historia nie
zna ani jednego przypadku tar-
gnięcia się na życie sekretarza
generalnego i jego pomocników
na terenie Kremla. Nie dowie-
dział Ławrientijowi Berli, Sta-
lin wyznaczył na odpowiedzial-
ne stanowisko dowódcy Kremla
generał-majora P. Kosynkina ze
składu swojej ochrony, podpo-
rzędkowanej jemu osobie.

Gabinetem Józefa Stalina, a
to znaczy że i dojsiem do nie-
go zawiadował A. Poskrieby-
szew. Stał on na czele osobistej
kancelarii sekretarza gene-
ralnego i specjalnej sekcji. Te
potyliczne urzędy, nie przewi-
diane przez Statut partii, funk-
cjonowały już niejedno dzie-
sięciolecie przy KC, a dokład-
niej — nad nim. I — co mia-
ło wtedy szczególne znaczenie
— nad tajną służbą.

Ochrona mieszkania
sekretarza generalnego,
położonego obok budynku
służbowego, nie była trudna

Ale Józef Stalin często bywał
w swojej dacy w Kuncewie pod
Moskwą. Komendantem dacy
był N. Wlasik. Faktycznie do-
wodził ochroną osobistą sekre-
tarza generalnego. Blizsze i dal-
sze dojsia do rezydencji Józ-
efa Stalina w Kuncewie zna-
dowały się pod całodobową ob-
sługą setek uzbrojonych a-
gentów, gotowych w każdej
chwili odeprzeć atak dzielnych
kawalerzystów, wzmocnionych
rotą karabinów maszynowych.
Coś takiego mogło się zdarzyć
tylko w bałce, ale w tamtych
bałecznych czasach nikt nicze-
mu się nie dziwił. Wysokie o-
gródnienie z masywnymi wrota-
mi i ukryty wśród zarosli drut
kolczasty pod oradem i trzy-
krotne sprawdzanie dokumen-
tów, skomplikowany rytuał
przedstawiania Gospodarzowi
petentów — wszystko wydawa-
ło się niezbędne i naturalne.
Dobór i mianowanie agentów o-
chrony leżał w gestii Ławrien-
tija Berli. Umiał on zachować
swoją dominującą pozycję i w
ostatniej grze użyć tego atutu.

Swietłana Allilujewa wspomina
o obawie Stalina przed otru-
ciem. Wszystkie produkty żywno-
ściowe — mięso, ryby, war-
zywa, owoce, chleb, wino —
były badane laboratoryjnie i
wysyłane do kuchni — każda
paczka wraz z aktem, potwier-
dzonym podpisem toksykologa
i okrągłą pieczęcią. Nikita
Chruszczow wspomina z jaką o-
bawą sekretarz generalny odno-
sił się do wszystkich potraw,
które były podane na stół. Sta-
rając się zachować godność Jo-
zef Stalin wskazywał danie na
które miał ochotę. Wtedy ktoś
próbował, a następnie propono-
wał jemu.

Najważniejszym kryterium
doboru personelu medycznego,
stojącego na straży zdrowia Wo-
dza, było całkowite oddanie.
Lejeb-medycy Stalina i Biura
Politycznego KC KPZR znajdo-
wali się pod czujnym nadzorem
Ławrientija Berli, a zatem wiel-
możni pacjenci mogli czuć się
bezościeżnie.

Wkrótce jednak rozpadła się
stalinowska twierdza bezpie-
czeństwa. Generał N. Wlasik,
związany podobnie w intry-
gancja sieć, był sądzony jako
zdradca. Nieco później Ławrien-
tija Beria oskarżył A. Poskrieby-
szewa o przekazywanie tajnych
informacji. W 1953 roku zmarł
nagle generał P. Kosynkin. Zo-
stała ostatnia opora Józefa Sta-
lina — medycy. Ale duża grupa
kremlowskich lekarzy już trzy
miesiące meczy się w więzieniu.
Lekarze zdawali się szczerze przy-
znać się do terrorystycznych
planów i działalności szpiegows-
kiej. Zdezorientowany ostatni-
mi wydarzeniami Wódz wytre-
nowanym wechem poczuł
śmiertelne niebezpieczeństwo i
zdecydował odmówić pomocy le-
karskiej.

Stalin stracił już
twardość ręki.

Doświadczony pałacowy in-
trygant nagle odsuwa od siebie
takich absolutnie oddanych po-
mocników jak Władysław Mo-
łotow, Klimient Woroszyłow, Ła-
zar Kaganowicz i szeroko otwie-
ra drzwi swego domu dla Ła-
wrientija Berli i Georgija Ma-
lenkowa. Zna ich prawdziwą
wartość, domyśla się, jakie ma
zamiary ta nieczysta para, a ni-
mo to... A mimo to wpuszcza
ich do twierdzy. Ma nadzieję,
że Nikita Chruszczow z Niko-
łajem Bułganinem odegrają rolę
przełomową.

W tej ostatniej, za życia Jó-
zefa Stalina, chorobie jego współ-
pracowników Ławrientij Beria
grał niewątpliwie główną rolę.

Jacek zapalił drugiego papierosa i zaciągnął się chciwie.

— Pamiętasz tę ostatnią aferę na Okęciu? — zapytał.

— Katastrofę w lasach kabackich?

— Nie. To było parę tygodni po katastrofie. Gnojek z małego miasteczka wsiadł w autobus i jak dotarł do Warszawy, zarzucił innemu, siedzącemu przed sobą gnojowi pek granatów na szyję, po czym rozkazał kierowcy, aby zawiózł go na lotnisko, bo w przeciwnym wypadku wysadzi w powietrze autobus ze wszystkimi pasażerami.

— Było coś takiego — przytaknął Bernard.

— Ano, było, było! Jeden drobny, niepozorny, prowincjonalny szczył narobił szumu, jakby wybuchła wojna, i postawił na nogi całe miasto: wojsko, milicję, straż pożarną, pogotowie ratunkowe i brygadę do zwalczania terroryzmu. Wstrzymano ruch na ulicach, drogówka zapewniła autobusowi absolutne pierwszeństwo przejazdu, no i facet, zwalniając kilku zakładników, wparował na płytę lotniska, żądając, Bóg wie czemu, aby podstawił mu aż dwa samoloty do RFN i aby w jednym z tych samolotów wsiadł za sterem akurat ten pilot, który odwoził kiedyś papieża do Rzymu.

— Nie brakło pętałowi tupetu.

— Tupetu to może mu nie brakło, ale zrobił błąd. Pomyślił sobie: przyrzekli mi w końcu ten samolot za cenę wypuszczenia reszty zakładników, i wieczerem, po dziesięciu czy dwunastu godzinach dramatycznych pertraktacji, w autobusie pozostał już tylko on, ten drugi chłopak z granatami na grdyce i oficer bezpieki, który palił głupia i udawał, że też chce zwiąć, a w gruncie rzeczy próbował jedynie uspić czujność szczyła i rzucić się na niego w sprzyjającym momencie. To był cholernie cwany gość, bajerował jak Słowacki, poza tym miał fachowe wykształcenie komandosa, kaskadera, akrobata, wyborowego strzelca. Występował w filmach, czepiał się podwozia samolotów, przekakiwał w biegu z samochodu na samochód, a w życiu storpedował już niejednego bandziolara...

— Do czego zmierzasz? — przerwał mu brat. Nalał sobie, wypił i wpatrywał się w Jacka czujnym, nieruchomym, wypranym z jakiegokolwiek ironii czy uśmiechu wzrokiem człowieka, który słuchając tego, co mówi inny człowiek, nie przestaje słuchać własnych myśli.

— Gdybym znalazł się w położeniu tego szczyła, nikt by mnie nie storpedował! — powiedział z makabryczną pewnością siebie Jacek.

— Nie?

— Nie. Poradziłbym sobie z pułkiem takich cwaniaków. Ten szczył nie wytrzymał nerwowo. Zrozumiał, że coś jest nie w porządku i pociągnął za sznurek, żeby przenieść się wraz z ofiarą i zagrażającym mu komandosem na tamten świat, co mu zresztą nie wyszło; była eksplozja, ale wszyscy przeżyli; ofiarę zawieźli do szpitala, szczył dostał na płycie lotniska ciężki łomot i trafił do aresztu, a bohaterki komandos zapisał na swoim koncie jeszcze jeden wielki sukces — płało o nim radio, telewizja, wyniosły go pod niebiosa gazety...

— I słusznie.

— Jasne, że słusznie. Tyle tylko, że ja na miejscu szczyła sprowadziłbym go do parteru. Szczył pokazał charakter, lecz zabrakło mu wyobraźni. Zaczął, trzeba przyznać, wspaniale, nie potrafił jednak rozbudować swego planu w czasie akcji, a miał po temu wielkie szanse.

— Na przykład?

— Mógł powiedzieć do komandosa, który wyposażony był w krótkofalówkę i pośredniczył w dialogu między terrorystą a władzami lotniska: wiem, że jesteś podstawiony, że prosić katering o podanie nam jedzenia, alkoholu i klamki chodzi ci przede wszystkim o utrzymanie w jakimś zawiniątku kopyta, z którego mógłbyś mnie rabnąć. Uważaj więc, palancie! W chwili, kiedy mnie rabniesz, skążesz jednocześnie na śmierć wielu niewinnych ludzi. No, jaxda! Zamelduj swoim kumpłom z lotniska, że nim przystąpiłem do działań końcowych, zaminowałem na terenie kraju trzy gmachy użyteczności publicznej. Mechanizm jest w ruchu. Zegary cykaja. Wskazówki biegają ku swojemu przeznaczeniu i od was tylko zależy, czy będzie wielkie bum.

Bernard przyglądał się bratu jak urzeczony. Niby komuś nie dowierzając lub przecząc, pokręcił kilkakrotnie głową. Potem głowa jego odskoczyła do tyłu wraz z kieliszkiem. Zapalił. Dym wyciekał przez nozdrza, a usta pytały:

— Chcesz powiedzieć, że wyciąłbyś taki numer?

— Nie chcę powiedzieć, że bym wyciął. Chcę powiedzieć, że wytnę — odparował zaciekle chłopak.

— Podminujesz jakiś budynek?

— Podminuję albo w krytycznym momencie skłamię, że podminowałem. To wystarczy, możesz mi wierzyć.

— I co dalej?

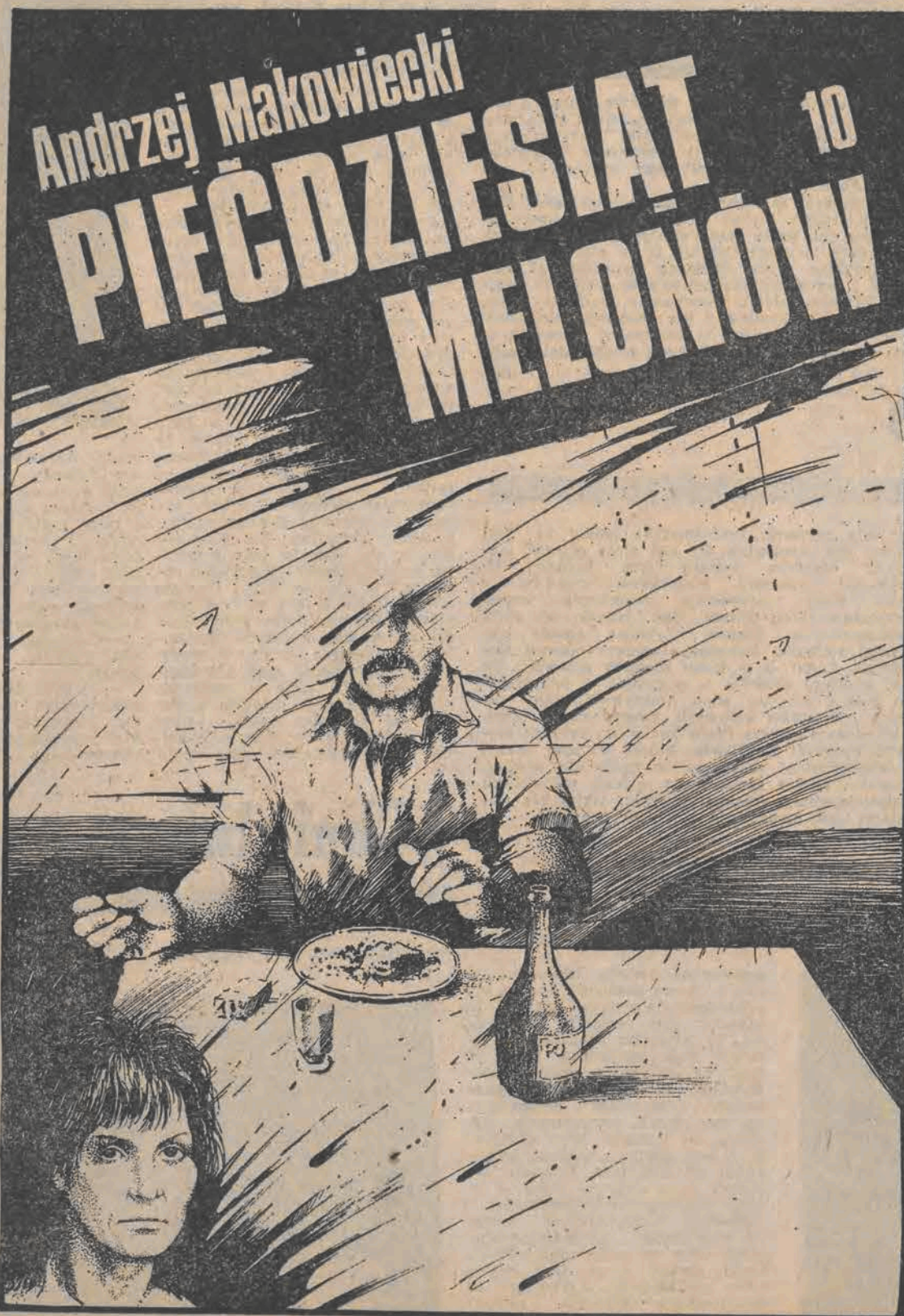
— Gdybym zaszedł już tak daleko jak ten szczył, wparowałbym na pokład samolotu z papierosem w zębach. Nie ruszyłby mnie żaden komandos, żadna brygada antyterrorystyczna. Nie musiałbym nawet brać zakładnika, zaś granaty, pod warunkiem, że byłyby to fachowo skonstruowane ładunki wybuchowe ze spłonką i detonatorem, a nie jakaś amatorska partaniarstwo, mógłbym wręczyć komandosowi na pamiątkę. I mówię ci: wszystko by szło szybko i sprawnie jak w elektronicznym zegarku. Nikt by nie zwlekał, nie kołował, nie udawał, nie kombinował, nie próbował wpuścić mnie w maliny, gdyż obłatałbym draniom, iż w momencie, gdy samolot wzbije się wraz ze mną w powietrze, zdradzę im poprzez radiotelegrafistę, jaki to konkretnie gmach, szkoła, urząd lub ministerstwo zostało podminowane i o której godzinie nastąpi eksplozja, jeśli nie zapobiegną temu saperzy.

— No, dobra. Założmy, że jesteś już w powietrzu i trzeba teraz wywiązać się z obietnicy.

— Nie nie trzeba. W powietrzu, to ja im mówię, że zmienilem zamiar, bo nie mam do nich zaufania. Lecieć jak najprędzej do Hamburga czy Monachium! Lokalizację gmachu podam za pośrednictwem niemieckiej policji.

— Która z miejsc capnie cię za dupsko.

— Akurat! Zasunę im bombę, że mamy jesz-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

cze do eksplozji trochę czasu, w związku z czym będę niesłychanie wdzięczny, jeśli zechcą umieścić mnie na pokładzie transatlantyku.

— Starczy, Wicher!

— Ziy plan?

— Doskonale.

— Możemy zrealizować go wspólnie.

— Nie podniecaj się, mały. Posłuchaj...

— Ale...

— Ciii. Daj powiedzieć parę słów starszemu

bratu — Domacał się butelki i napełnił pewną

ręką kieliszek nie odrywając od Jacka swoich

madrych, posepnych oczu. — Ja też kiedyś

smulem takie plany. Ojciec bryknął, a ja my-

ślałem: wcześniej czy później do niego pojadę.

Wcześniej czy później dostanę paszport i zoba-

czę się z naszym starszakiem: on myślał tak

samo, wysłał zaproszenia — odwalali. Do nie-

go — nie! Do Rzymu z Orbisem — nie! Do

Austrii — nie! Do Bułgarii — nie! Do Słowa-

cji w pas konwencji turystycznej — nie! Od-

mówili mi nawet stempla w dowodzie, a były

kiedyś takie stemple i mogłeś jeździć do ka-

deleudów bez paszportu. Przyszło mi wtedy do

głowy, żeby przysnąć — buchnąć komuś doku-

menty albo je podrobić, przekupić urząd, po-

smarować agencję, zamelinować się na statku

albo w pociągu, porwać samolot z trasy Rze-

szów—Warszawa albo Warszawa—Gdańsk, iść

przez góry albo przez rzekę. Sto dwadzieścia

pomysłów miałem. Gdyby mi zapewnił prze-

rzut do jakiegoś kraju, na Zachodzie, gotów

byłbym nawet popracować trochę dla obcego

wywiadu.

— Fijuuu. — Jacek gwizdnął przeciągle. —

I czemuś tego nie zrobił.

— Chcesz wiedzieć?

— Tak.

Bernard wytrząsał sobie wódkę do ust i

dotknął ich potężną, porośniętą ryżawymi wio-

skami ręką.

— Ty go nienawidzisz, ja kocham ojca — po-

wiedział. — Ale jeszcze bardziej od ojca ko-

cham ciebie. Nie mam własnych dzieci, ty je-

steś moim jedynym dzieckiem, chłopaku! Oj-

ciec wyrzucił mi krzywdę. Nie dlatego, że

związał, lecz dlatego, że zwiędając odciął mi dro-

gę do świata, do podróży, o których marzy każ-

dy szczeniak i które były marzeniem całego

mojego życia. Te pieniądze, co nam od czasu

— Skurwieli!

— Przeklinasz lędwia, które cię wydały.

— Nie prosilem o to.

— Prosiłeś — nie prosiłeś; jesteś.

— Skoro jestem, będę musiał umrzeć.

— Co znaczy chwila umierania przy milio-

nach chwil życia. Ono nieraz ma swój smak.

Jacek wchłaniał już trzeciego papierosa. Spoj-

rzął ukradkiem na butelkę, a brat zauważył to

i spytał:

— Chłapiasz?

Przeknął sline i powiedział:

— Nie.

— Nie?

— Nie.

— Nie to nie! — Stugramowy kieliszek prze-

spacował się do tyłu z głową Bernarda. Lewa

ręka nadziała na widelec plaster szynki i pra-

wa zanurzyła łyżeczkę w słoiku z musztardą i

chlusnęła z rozmachem na mięso. Wpakował

to sobie do ust, pogryzł i zauważył: — To też

jest życie i też ma swój smak!

— Jasne — przytaknął Jacek. — A więc nie

prysnąłeś, bo mnie kochasz?

— Gdybym przysnął, wyrzuciłbym ci tę sa-

mą krzywdę, którą ojciec wyrzucił mi. Two-

je szanse wyjazdu za granicę zmalowały wtedy

do zera, a przecież tobie również marzą się

często palmy, wawozy, oceany i plaże.

— No więc przyśnijmy razem.

— Do ojca?

— Tak.

— I tu jest właśnie, kolego, błąd. Tu jest za-

sadnicza słabość twojego rozumowania. Wyło-

żę to zwięźle. Do tysiąc dziewięćset osiemdzie-

siątego roku ojciec wysłał mi co jakiś czas

zaproszenie ze Stanów, a ja składałem o pasz-

port i zawsze otrzymywałem odmowę. Nie po-

mogły podania, nie pomocy odwolania i de-

klaracje. Potem była wojna, natomiast po woj-

nie, jeśli tylko sprawa była czysta od strony

formalnej, nie robili już nikomu trudności z

wyjazdem. Zatem każdy mógł i może wyje-

chać.

— Także ty?

— Także ja. Także my. Ojciec jednak prze-

niósł się nagle ze Stanów do Meksyku i prze-

stał nagle wysłać zaproszenia, przestał wspo-

minać o tym, jak to pięknie urządzimy się we

dwóch w San Francisco, jak to później ślaga-

niemy ciebie, jak to rozkręcimy wspólnie koko-

sowy interes, jak to zadbamy o twoją eduka-

cję, posyłając cię do Harvardu.

— Nigdy nie wierzyłem w te brednie.

— Wierzyłeś — powiedział czule Bernard. —

Jak byłeś mały, przechwalałeś się chłopakom:

gdy podłosne, pojedę z blatem do Ameryki i

zamieszkamy z naszym tatą, a matki nie weź-

miemy, bo jest podła.

— Przekłeta suka!

— Nie przeklinaj łona, które cię wydało. Nie

sądzmy, abymy nie byli sądzeni.

— Wstrząsająca znajomość Pisma Świętego.

Studiujesz ostatnio ewangelistów?

— Studiuję listy naszego ojczulka.

— I co?

— Z nim jest źle.

Powiedział to szeptem. Zerknął w drzwi pro-
wadzące na korytarz. Na podwórku eksplodo-
wał donośnie motocykl. Seria strzałów z rury
wydechowej odbiła się echem od ścian domu;
silnik zwiększał i zmniejszał obroty, aby osią-
gnąć wreszcie równomierny, dręczący rytm. Po-
jazd wjechał do bramy i wzniecił w niej na
pożeganie piekło trudnych do opisanie dźwię-
ków groźąc, że jeszcze powróci. Potem zapadła
cisza, z której wyłaniały się z wolna głosy po-
denerwowanych lokatorów i łagodny, kojący
śpiew klarnetu. Nie było to radio. Był to żywy
klarnecista, ćwiczący sobie w nie znanym ani
Bernardowi, ani Jackowi mieszkaniu jazzowe
kawałki.

— Nie mówi o tym wprost — ciągnął Bern-
nard — ale czytam między wierszami, że on
stracił już wiarę i nadzieję, że wyzbył się am-
bicji, że wysupiał się z pieniędzy, że zaczyna
ciążyć mu lata i wyrzuty sumienia, że brak mu
sił, że coraz bardziej popada w rozpacz i re-
zygnację i że — gdybym tylko podsunął mu tę
myśl... — machnął ręką — a, nie ma co gadać!
Jedno jest pewne. Wicher: tylko samobójca lub
idiota polecałby dzisiaj w odwiedziny do ojca
porwanym samolotem. — Zamknął oczy. Jac-
kowi wydawało się, że brat nasłuchuje dale-
kich, miękkich tonów klarnetu, snującego z
finezją pojęczyne bluesa, ten wszelako mruknął
niespodziewanie: — To trzeba zrobić inaczej!

Jacka zaskoczyło. Teraz i on zdawał się słuchać
w zachwyconym nieznanego klarnecisty. Dobrych
kilka chwil minęło, nim zapytał:

— Co trzeba zrobić inaczej?

— Cały ten skok.

— Jaki skok?

— Do ojca.

— Chcesz powiedzieć, że poszedłbyś na to?

— Chcę ci tylko wytłumaczyć do końca spra-
wę. — Pochylił łysiejące, zroszone kropkami
potu czoło, alkohol nie poczynił w nim jeszcze
większych spustoszeń, ale chwycił nagle Jacka
za ramię z niepomąganą, władczą agresją.
Przekrzywił głowę i patrząc na brata spo-
nad swoich gestów, rudoczarnych brwi, mówił
wolno: — Gdyby ojciec wysłał nam zaprosze-
nie, gdybyśmy zjawili się pewnego dnia u nie-
go w Meksyku, to po paru tygodniach wszyscy
trzej wyładowalibyśmy w jakimś przytułku al-
bo w więzieniu, albo na ulicy w charakterze
żebraków. Na to, aby on pomógł tobie czy
mnie, nie ma nawet co liczyć. Owszem, dzie-
więć — dziesięć lat temu byłoby do prawdopo-
dobnie możliwe, ale teraz, jeśli ktoś jest w
stanie komuś pomóc, to my jemu, nie on nam!

— Puść, boli — powiedział Jacek. Uwolnił
ramię i zapytał z nienawistną pogardą: — To
znaczy, co? Wyślemy mu paczkę z kiełbasą?
Warto by także dorzucić trochę papierosów i
flachę.

— Żebyś wiedział.

— I może jeszcze trochę pieniędzy?

— Pieniądze są najważniejsze.

— Poważnie mówisz?

— Tak.

— To ja jutro pójde zapisz się do roboty
w zakładach Róży Luksemburg.

— Nie musisz zapisywać się do roboty.

— Czemu nie? Złotówka jest przecież na
czarnym rynku walutą wymienialną. Za pensję
powinno dostać pięć albo i dziesięć dolarów.
Wysię je ojcu. Mnie nie widział, to niech zoba-
czy przynajmniej mój szmal. Nie pozwól, abyś
wziął cały ciężar utrzymania tatusia na swoje
barki. Zresztą twój straganiarski grosz też nie
wystarczy staremu na wygodne życie.

— Zaden uczciwie zarobiony grosz nie wy-
starczy.

— A masz jakiś pomysł, żeby zarobić trochę
uczciwego papieru w nieuczciwy sposób?

Bernard utkwił w Jacku swój ponury, zde-
sperowany wzrok i oświadczył krótko:

— Mam.

W tym momencie nie tylko Jacek zapomniał
o Gejszy; zapomniała o niej także jego puls-
jąca, rozbudzona, mile polechtana podświad-
omość. Klarnet potknął się na jakiejś nucie i za-
kończył swoją przejmującą pieśń do Boga. Zo-
stał pewnie rozebrany na części i złożony do
snu w miękkich, aksamiutych przegrodach fu-
terału. Ale nie mógł spać; w branie zaryczał
arogancko motocykl; zakwiliło niemowle, za-
wrasnął rozsierdzony lokator, zgodna para
małżeńską przystąpiła do codziennej awantury
klnąc i złorzecząc z obu stron w stylu przed-
mieścia.

Jacek nie odrywał oczu od groźnej, skupionej
twarzy brata. Niemal namacalnie wyczuwał je-
go potęgę; siłę, którą promieniowała rozgrane
alkoholem ciałą i moc skoncentrowaną w o-
krutnych, zwięzłych jak u kota żrenicach.
Przeszedł go rozkoszny dreszcz, a potem owla-
nęło nim jakieś inne, niejasne przeczuć.
Gdzieś za ścianą zakaszła babka. Pomyślał: co
z babką? Po raz drugi zerknął na butelkę i po
raz drugi Bernard przytupał go na tym.

— Łykniez? — zapytał.

— Nie. Chyba nie.

— To i dobrze. — Odmierzył sobie pewną ręką
kolejny kieliszek i obejrzał go pod światło.

Czego on tam szuka w tej beczbarwnej, prze-
zroczystej, powszedniej jak woda cieczy? Kiedy
Jacek rozważał tę myśl, Bernard dźwignął się
ociężałe z krzesła, zdjął ze stołu nieopróżnioną
jeszcze butelkę i podał resztą wódki bez na-
parapecie. Wrócił, wypił to, co było w kielisz-
ku, i powiedział:

— Dosyć. Odprowadzisz mnie do taksówki?

— Możesz przecież spać tutaj.

— Nim położę się spać, muszę sprawdzić, czy
ta kurwa zamknęła budo.

— O żonie mówisz?

— A o kim?

C. D. N.

Mit Ameryki trzysta lat po pionierskich wyprawach na Zachodnie Wybrzeże i żądza władzy, jaka daje pieniądze, to przewodnie motywy filmu „Wall Street”, który miał niedawno swą premierę na kinowych ekranach. Oliver Stone, reżyser znany u nas jako twórca kontrowersyjnego „Plutonu”, z pewnością nie zalicza się do kręgów szeroko nawet rozumianej awangardy filmowej, toteż obrazy jego zbudowane są klasycznie, wedle wypróbowanych i skutecznych reguł scenarjopisarskich i narracyjnych, do których widz jest przyzwyczajony nieczym do kroniki przed projekcją. „Wall Street” nie jest tu walcem, przeto film ten ogląda się płynnie, bez zakłóceń, ale i bez niespodzianek — po upływie pół godziny nie trudno już przewidzieć dalsze losy Buda Foxa (Charlie Sheen), młodego,

mu, tam bowiem zapadają właściwe decyzje i tam grube ryby międzynarodowej finansjery toczą między sobą zaciekłą walkę o zwłoki bankrutujących firm, spółek, korporacji i towarzyszy, zatrudniających tysiące uczciwych ludzi w rodzaju ojca Buda Foxa. Stone uznał za stosowne skomentować swój film nastami Gekko, i choć Michael Douglas wywodzi się z roli portu parole bezbłędnie (otrzymał za tę kreację nagrodę Oscara), to w efekcie ta dość prostoduszna próba głębszego spojrzenia na moralne i psychologiczne motywacje, kierujące ludźmi interesu, osłabia dwuznaczność wymowy filmu, czytelnego znakomicie i bez zbędnych wyjaśnień, zniechęcających widza do konstrukcji własnych ocen i wniosków, prowadzących zwykle dalej niż

Żądza na giełdzie

energicznego maklera, pragnącego za wszelką cenę wbrew radom doświadczonych i szlachetnego ojca (Martin Sheen) zbić w krótkim czasie wielki majątek na niezbyt legalnych operacjach giełdowych. Opiekunem Buda, człowiekiem wprowadzającym go w tajniki brutalnej gry giełdowej, jest multimilioner Gekko (Michael Douglas), odraający moralnie typ, bezwzględnie wykorzystujący naiwność swego ucznia i jego szczerą zapal w celu zagarnięcia jak największej sumy dolarów których i tak posiada już nieprawdopodobną ilość. Dla rekinów takich jak Gekko zdobywanie pieniędzy staje się jedynie kwestią ambicji, zabawą, w której przegrywający nieuchronnie spadają na samo dno, zaś zwycięzcy zyskują prawo do dalszej gry, tym razem już z udziałem większego nieco kapitału. Świątek Wall Street (ulicy w Nowym Jorku, przy której mieści się giełda) udało się Stone'owi pokazać sprawnie i dynamicznie, w czym nie mała zasługa przypada także autorowi zdjęć Richardowi Richardsonowi, trafnym pomysłem wydając się również przeniesienie głównego miejsca akcji do biur i gabinetów bohaterów fil-

fantazja reżysera. Problematyka giełdy na Wall Street jest wprowadzić dla nas nieco odległą, niemniej egzotyka tematu tym bardziej uwydatnić powinna gorączkową prostotę, z jaką Stone zarysowuje charakterystyki swych bohaterów. „Wall Street” jest jednak w pełni profesjonalnym filmem z niezłą obsadą aktorską, solidnym budżetem i piękną oprawą plastyczną, mimo iż w kilku ujęciach pojawiają się nad głowami aktorów — o zgrozo! — mikrofony, co zresztą nie jest winą Amerykanów, lecz naszych operatorów kinowych. Zdecydowanie najpoważniejszym atutem filmu jest w tej sytuacji muzyka Stewarta Copelanda, której w myśli znanej kompozytorskiej maksymy w ogóle nie słychać. Nawet orkiestra symfoniczna milnie w obliczu najpotężniejszego bóstwa Ameryki, jakim bez wątpienia jest nieuchwytne zarobiony pieniądź.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

— Dlaczego pani zerwała ze sceną teatralną?

— Odeszłam z teatru przed siedmioma laty. Na moją decyzję złożyło się kilka powodów. Grałam w komedii „Damy i Huzary” i nagle dowiedziałam się o tragicznej śmierci mojej matki, przeżywałam w tym czasie w Afryce. Mimo to musiałam wyjść do publiczności i zagrać tak, jakby się nigdy nie stało. Straciłam poczucie zasadności tego co robię. Kiedy no spektaklu opuściłam teatr, nigdy już do niego nie powróciłam.

Poza tym w kinie robiłam film za filmem. Nauczyłam się pracy niezwykle intensywnie i efektywnie. Teatr był dla mnie coraz trudniejszy do zniesienia. Czas w nim spędzony dziwnie przelatywał mi przez palce. Pojawiały się kłopoty ze zdrowiem. Na to wszystko dodatkowo nałożyła się sytuacja zewnętrzna. Kryzys gospodarczy naszego kraju, a w ślad za tymi wydarzeniami pewne przewartościowania dokonujące się w łonie samego teatru. Byłam zdania, że w teatrze nie może być demokracji, choćby z prostego powodu — spróbujcie to wyjaśnić: w teatrze są wybitni aktorzy, są dobrzy aktorzy, są potrzebni aktorzy, są rzemieślnicy aktorstwa. Nie może być tak, że zły aktor w imię niezdrożonej pojętej demokracji zostanie obsadzony w głównej roli. Przecież interes teatru polega na tym, żeby główna rolę grał dobry aktor. Chodzi zwyczajnie o sukces. Nie była to popularna opinia w owym czasie. Rozbieżność zdań z kolegami utwierdziła mnie w przekonaniu o konieczności odejścia z teatru. Od dłuższego czasu byłam przyzwyczajona do ponoszenia pełnej odpowiedzialności przed publi-



prezy wprowadziłam Koncert Galowy Gwiazd...

Od paru lat mówiło się o tym, że Stalińska dobrze się zapowiada, a mnie faktycznie przez ten czas udało się zapowiedzieć, więc zaproszono mnie na Koncert Galowy, jako gwiazdę PRL-u. I od tego się zaczęło moje śpiewanie. Piosenka aktorska stała się dla mnie inną formą aktorskiej wypowiedzi.

— Czy może pani przypomnieć tytuł piosenki, którą pani zadebiutowała?

— To były dwa tytuły, które do dzisiaj mam w swoim repertuarze. Pierwsza, to piosenka Edith Piaf w przekładzie Henryka Rozentrowskiego „O nie bądź pewny

Polsce mam wystarczająco dużo widzów. Kusilo mnie nowe doświadczenie zawodowe: czy potrafię spektaklem „Zmija” zainteresować Anglików?

— I jakie miała pani odczucia?

— Te właśnie występy uważam za swój największy sukces ostatnich lat. „Zmija” jest spektaklem niezwykle dynamicznym, trudnym do przeniesienia, a mnie bardzo zależało na utrzymaniu tego samego poziomu ekspresji. Choć dobrze znam język angielski, to mam świadomość, że co innego jest mówić, a co innego grać w tym języku. Cieszyło mnie gdy angielska publiczność reagowała dokładnie w tych samych momentach, co Po-

„Chciałabym pożyć inaczej”

— rozmowa z DOROTĄ STALIŃSKĄ.



lacy. To było dla mnie bardzo ważne. Po premierze mogłam się tym samym widowni zaprezentować w zgoła odmiennej roli. Z „wycierucha-Zmija” przeistoczyłam się w elegancką damę z pomalowanymi paznokciami, śpiewającą oiosenskimi, także w języku angielskim. Również scena zmieniała swoje oblicze, tym razem to ona stała w kwiatkach...

— Zagrała pani także w filmie, będącym koprodukcją angielsko-amerykańską pt. „Wojna Hanny” w reżyserii Menahema Golana, będącego także szefem jednej z większych wytwórni — „Cannon-Film”.

— Tak, film kreowany był na Węgrzech. Właśnie wszedł na ekrany europejskich kin. Choć zagrałam w nim rolę drugoplanową, to było to ciekawe zadanie aktorskie. Mogłam zaprezentować umiejętności kaskaderskie w czasie konnej jazdy, trochę śpiewałam, i miałam do zagrania kilka bardzo pięknych aktorskich scen. Poznałam inne metody pracy na planie filmowym. Doświadczyłam, że ak-

cznością, za to co robię. Mam na myśli monodramy, z którymi sama wychodziłam do ludzi („Zmija”, „Utracona część Katarzyny Blum”, „Tabu”). Uznałam, że jest najodpowiedniejszy moment do zakończenia samodzielności.

— Jaka cena płaci pani za tę samodzielność?

— Wysoka... Nigdy do końca nie wiadomo, czy to dobrze, czy źle, że jest się człowiekiem tak bardzo niezależnym... Teatr daje poczucie pozornego komfortu. Nieważne czy do publiczności wychodzi się z halabardą, tacą, czy wielkim monologiem, ale dzień ma swój rytmy: rano — próba, wieczorem — spektakl. Jest to forma jakiegoś porządku, ładu i dyscypliny. A ponieważ ja nie muszę „nie” — to tym samym muszę cztery razy więcej.

— Oprócz monodramów znalazła pani swój drugi żywioł — piosenkę aktorską. W którym momencie uświadomiła sobie pani, że w tej dziedzinie także ma pani coś do zaoferowania publiczności?

— Dość dawno, bo w 1978 r. otrzymałam jedną z głównych nagród na Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Wtedy także otrzymałam propozycję współpracy z orkiestrą Jerzego Miliana, ale ja tej propozycji nie potraktowałam poważnie. Fakt, że zdobyłam nagrodę to było tylko potwierdzenie dla mojego upor. Sama sobie dowiodłam, że potrafię śpiewać. Ale to wszystko. Dalej żyłam swoimi monodramami. Po jakimś czasie okazało się, że Festiwalowi Piosenki Aktorskiej czegoś brak Organizatorzy dla ratowania im-

tak” i „Przepraszam pana” (przez mnie zwaną „Tatiana”) Jaroslawa Abramowa Neverlego.

— Pani aktywność zawodowa jest imponująca, jak panu godzi wszystkie swoje obowiązki?

— Szybko odczuwam znudzenie tym co robię, dlatego poszukuję ciągle nowych form wypowiedzi. Jest to konieczny zabieg dla zdrowia psychicznego. W swej drodze artystycznej brałam udział w programach dla dzieci np. „Jacek i Płacek” przygotowany wspólnie z zespołem „Lady Pank”. Były jakieś sprawy ruchowe. Obecnie borykając się z wieloma problemami technicznymi nagrywam płyty długogrające. Dalej występuję w monodramach. Reasumując — uważam że trzeba robić to, co jest w danym momencie ludziom potrzebne.

— Ostatnio wiele pani podróżowała po świecie. Nie było to tylko wycieczki turystyczne-krajoznawcze?

— To prawda. Większość z moich wypraw miała zawodowe podłoża.

— A konkretnie?

— Z monodramem „Zmija” i reżyserskim wyjechałam do Wielkiej Brytanii. Występowałam przed angielską publicznością: Londynu, Edynburga, Glasgow — w ich rodzimym języku. Pierwszy raz w życiu przeżywałam tak silną treść.

— To jest precedensowa sytuacja. Na ogół polscy artyści występują przed miejscową Polonią.

— Dla Polonii także chętnie gram, ale sprawiło mi to znacznie mniejszą frajdę. Tu na miejscu, w



tora w pracy można po prostu szanować...

— Czy w ostatnim czasie otrzymała pani jakiegoś ciekawego propozycję filmową od polskich reżyserów?

— Tak, ale z różnych powodów musiałam z nich zrezygnować...

— Dlaczego?

— Chciałabym pożyć trochę inaczej. Ważniejsze wydaje mi się zrobienie porządku z dotychczasowym życiem.

— Czyżby zmiana w życiu osobistym?

— Nigdy nie rezygnowałam z życia osobistego tylko z powodu wykonywanego zawodu. Żaden zawód nie jest wart rezygnacji z tego typu doznań. Teraz przygotowuję się do największej życiowej roli — roli matki.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA



Foto: Tomasz K. Komorowski

Wilkołaki w Muzeum

Zespół filmowy „OKO” realizuje swój kolejny film. „Powrót wilkołacz” Pierwowzorem literackim jest opowiadanie Jerzego Siewierskiego noszące także tytuł: „Powrót wilkołacz”. Scenariusz napisał dwóch Wojelechów — Nizyński i Jędrzejewicz.

Film powstaje min. w salach korytarzy Muzeum Kinematografii w Łodzi, czyli w pałacu przy pl. Zwycięstwa 1. Ten szczególnie zdradza na trochę treść filmu. Słowo „młodość” w którym rozgrywa się akcja, to nie bledący, a czas, w którym się ona rozgrywa to koniec dziewiętnastego stulecia. To tyle o filmie.

W filmie gra młodość. Jeżby żelazny kreuje rolę Kamila Leona Niemcewicz — Złobalskiego Henryk Bista, rolę lekarza Rolfe Onufrego gra Zbigniew Lesień. Rolę damskiej gra pani — Marze na Twala gra pani Stefani. Gra syna Treła jest filmowa Krystyna Joanna Trzeciecka — Iza Paul Maria Ona Morawska, gra rolę Fwelinę zaś Małgorzata Prażmowska rolę Agaty. Najmłodsza

spośród występujących w filmie kobiet, studentka II roku Wydziału Aktorskiego Łódzkiej PWSFTViT, Małgorzata Piorun, realizuje aż dwie role — rolę Ani, no i jest... wilkołakiem!

Skoro o wilkołaku mowa, to wejźmy nieco w materię pewnej okultury. Z całą pewnością widziano wilkołaka w Muzeum Kinematografii. Był na korytarzu, włożył się przecież po zielonej komnacie sypialnej...

Aż strach pomyśleć, co będzie się działo, tak do Muzeum, przez wilkołaka, przyjdą duchy, najwybitniejszych ludzi kina i zaczęta poszukiwać dyrektora tego przybytku kultury, dra Antoniego Szrama, żeby mu zadać także drażliwe pytanie: kiedy zakończy się remont Muzeum? I uzupełnić te kwestie: czy to prawda że kompetentne władze w mieście, dla potrzeb jedynie tego typu placówki w kraju przydzielili i pałac i sąsiedni budynek zajmowany przez szkołę muzyczną, która już dawno miała się przenieść do innego pomieszczenia? Miała, ale tak było w...

papierowej decyzji. Idąc dalej, w głąb i wszczepiając faktom, że aktualny stan remontu wymaga już, by wszystkie pomieszczenia w pałacu były opróżnione. Sek w tym, że ani ludzi (pracowników Muzeum), ani sprzętów i zgromadzonych eksponatów muzealnych nie ma dokąd wyprowadzić. A szkoła nie ustąpiła. Istna kolomyja i stad dwuznaczność w zachowaniu się wilkołaka. Sytuacja zagraża się z dnia na dzień a to może podłamać najmocniejszego Dyrektora Antoniego Szram, jakby coś przeczuwał i na wszelki wypadek już się odnowił. Zrobił brode, skrócił włosy. Nosi nawet nową reklamówkę. Tylko czy to wystarczająco skuteczny zabieg? Jak wiemy, duchy są osobliwie wścibskie, a i z wilkołakiem nie pewnego. A jeżeli zakradnie się kiedyś do Muzeum i ponatrz na tempo robót? Wiadomo, wszelako najbliższe gardło w instytucji to zawsze gardło dyrektora!

Wróćmy jednak do filmu. Na planie zdjęciowym wszystko jest znacznie prostsze. Reżyserem filmu „Powrót wilkołacz” a ściślej mówiąc — reżyserem rodzimego horroru jest Marek Piestrak, a pomaga mu absolwent łódzkiej filmówki, Ali rodem z Bangladeszu Operatorem obrazu jest Janusz Pawłowski. Zaś operatorem kamery — Wiesław Pyda. Autorem scenografii jest Rafał Waltenberger, dekoracje wnętrz zrealizowano pod kierunkiem Aliny Barańskiej, także znakomicie w swoim fachu, oraz Andrzeja Brylskiego. Kostiumy, w tym i przyodziewek dla wilkołaka, zaprojektowała Elżbieta Radke, kierownikiem produkcji jest Joanna Koneczyńska, a kierownikiem planu zdjęć Roman Olejnik.

Realizatorzy filmu obiecują, że obraz wejdzie na ekrany jeszcze w tym roku. Obejrzymy, ocenimy. Wilkołaka także.

JAN ONOPA

A może do kina?



Tym razem proponujemy coś dla młodszej widowni — film kanadyjski pt. „Tajemnica spalonego domu” w reżyserii Michaela Rubbo. Reżyser przedstawia zabawne perypetie dwóch 11-letnich chłopaków, których wyobraźnię zaprzęga spalone, opustoszały dom. Jeden z chłopaków usiłujący odkryć jego tajemnice — tysiące, lecz dobre duchy przychodzą mu z pomocą, dając magiczną miksturę na porost włosów. A ponieważ chłopiec nie przestęga przenosić więc włosy rosną mu w błąkawicznym tempie. To jedna z anegdot filmu, w którym jest też i demoniczny nauczyciel i... Ale to już trzeba samemu zobaczyć.

Film ma na swoim koncie wiele bardzo cennych nagród i rzeczywiście jest doskonałą zabawą nie tylko dla młodszych widzów — dowodzący pełen tajemniczego nastroju, może stać się klasykiem swojego gatunku.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

BYŁO KIEDYŚ GIMNAZJUM ZGROMADZENIA KUPCÓW M. ŁÓDZI

W latach 1898-1939 była taka szkoła, która przed I wojną światową nazywała się 7-klasowa Szkoła Handlowa Zgromadzenia Kupców m. Łodzi, a po odzyskaniu niepodległości przekształcona została w 8-klasowe gimnazjum męskie typu matematyczno-przyrodniczego z wydziałem handlowym. Od 1910 roku posiadała własny gmach przy ulicy Narutowicza nr 68. Poziom nauczania i wyposażenia w pomoce i pracownię dydaktyczne mógł konkurować z najlepszymi szkołami europejskimi, czego dowodem może być fakt, że maturzyści przyjmowani byli na przykład do wyższej szkoły włókienniczej w Manchesterze bez egzaminu wstępnego. Odstępstwo to stosowane było w stosunku do nielicznych tylko europejskich szkół średnich. Wbrew pozorom nie było to gimnazjum elitarnie, w jego klasach zasiadali w latach trzydziestych między innymi także koledy, będący na przykład synami łódzkich tramwajarzy. A jakie wychowanie otrzymywali uczniowie pod względem obywatelskim?

Już w czasie zaborów szkoła przekazywała swoim uczniom patriotyczną ideę wolnościową i niepodległościową w tak skuteczny sposób, że gdy nadszedł czas wielu poszło walczyć, a 26 z nich poległo. W 1931 roku, na wprost wejścia głównego do gmachu, w niszy na pierwszym piętrze, wmurowana została tablica upamiętniająca te ofiary. Tablicę zniszczył okupant. Pamięć o bohaterstwie śmierci naszych starszych kolegów idzie w zapomnienie.

Tradycja „kamieni na szaniec” pozostała. W 1938 roku odbyła się ostatnia matura gimnazjum ośmioklasowego, do której zaszli „Kolumbowie rocznik 20”. Za nimi w roku następnym szli już uczniowie 4-klasowego gimnazjum i 2-letniego liceum. „Kolumbowie” otrzymali wszelkie wraz ze świadectwami dojrzałości równocześnie „wezwanie do poboru”, na którym obok imienia i nazwiska poborowego — maturzysty, było podane jako miejsce zamieszkania „Gimnazjum Zgromadzenia Kupców”. Takie same wezwania otrzymali maturzyści wszystkich szkół i już w końcu września 1938 roku zapelnili oni koszarę szkół podchorążych. Zanim służba się skończyła nastąpił wrzesień 1939 roku.

W 1945 roku w gmachu przy ulicy Narutowicza 68 ulokowały się wydziały Uniwersytetu Łódzkiego. Działalność Gimnazjum Zgromadzenia Kupców nie została wznowiona. Nie ma gdzie umieścić kopii tablicy pamiątkowej, ani tej drugiej, która należałaby się uczniom poległym i pomordowanym w II wojnie światowej, a lista nazwisk, jakie na niej powinny się znaleźć nie byłaby krótka.

Już w czasie wojny obronnej poległ nauczyciel matematyki, rotmistrz Zygmunt Rutkowski i podchorąży artylerii Stanisław Szmidt. Pierwszymi ofiarami łódzkiego gestapo z organizacji konspiracyjnej byli: Jerzy Ławacz, bracia Skarbkowie i Zdzisław Siezchala, wychowani przez szkolną harcerską drużynę. W Katyniu zginęli: Joachim Szejter i Aleksander Zadziko, w partyzancie Zbigniew Rzewski, w Powstaniu Warszawskim Aleksander Loewenstein i jego przyrodni brat Jerzy Landau oraz Janusz Gorczykowski i Juliusz Gawarec. Obozy koncentracyjne, więzienia i jęzry pochłonięty dalszych: Zdzisław Borysławski, Jerzego Porazińskiego, Leszka Twardowskiego, Antoniego Kamińskiego i zapewne wielu jeszcze innych, o których brak wieści, szczególnie o kolegach wyznania mojżeszowego, którzy wraz z rodzinami padli ofiarą teutońskiej furii. Szczególnie dramatyczne były losy Stanisława Goldstajna „warszawskiego Robinsona”, który przeżył w ruinach aż do wyzwolenia stolicy. Bracia Lebladowie i bracia Horbaczewscy przeżyli pięcioletnią gehennę Dachau i Oświęcimia. Zginął także nauczyciel chemii inż. Wacław Dziennikowski.

„Kolumbowie” walczyli wszędzie tam, gdzie był się żołnierz: w wojnie obronnej, później we Francji w 1940 roku, w powstaniu nad Anglią i na morzach, w 1944 roku ładowali w Normandii, inni szli do Berlina i Pragi z Ludowym Wojskiem Polskim. Kilku osiedliło się na granicy, ale większość pracowała w kraju. Horbaczewski planował Nową Hutę, a Brafman Skawinę i Swierk inni budowali zakłady przemysłowe i osiedla miejskie, kierowali zakładami, tworzyli dzieła sztuki, posiadali wysokie odznaczenia wojenne i cywilne, dzisiaj są już emerytami.

We wrześniu 1988 r. do Łodzi zjechało się ich jeszcze piętnastu, z kraju i zagranicą w 50 rocznicę matury „Kolumbów”. Odwiedzili gmach szkolny, zasiedli do wspólnej wczeczki, opowiedzieli swoje przeżycia i powiedzieli sobie „do zobaczenia”. Czy jeszcze to będzie kiedyś możliwe? Prosimy także, aby raz jeszcze łódzianom przypomnieć o tym, że była taka szkoła — Gimnazjum Zgromadzenia Kupców m. Łodzi.

OD REDAKCJI: Załączona zdjęcia postaramy się wykorzystać przy innej okazji. Dziękujemy.

„KARA ZA PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ”

Zupełnie przypadkiem przeczytałam dwa kontrowersyjne wystąpienia na „Ogłoszeniach”: „Kara za przedsiębiorczość” Andrzeja Gębarowskiego i list dyrektora ZETO mgr inż. Mariusza Młynarskiego. Szczególnie list dyrektora wywołał mieszane uczucia, w związku z czym pozwalał sobie przedstawić kilka uwag:

1. (...) „Niesmaczne jest skupianie uwagi czytelników na sprawach wybiegających poza sferę zawodową, przytaczanie wzajemnych komplementów, szczegółów koleżeńsko-towarzyskich”.

Artykuł Andrzeja Gębarowskiego nie jest materiałem wykładowym czy poglądowym dla studentów prawa ani nie miał stanowić odpisu z akt sądowych — dla zainteresowania potencjalnych czytelników ważne jest wprowadzenie elementów nadających czytelnemu tekstowi „lekkość”. (...) Poza tym jest dość istotna sprawa (szczególnie dla humanistów) czy antagonizować to ludzi sobie wcześniej życzliwi (również prywatnie), czy też działający na zasadzie „szef — chodzący paragraf” i „pracownik — numer ewidencyjny”. Widocznie dyrektor ZETO został zaprogramowany inaczej.

3. „Nieprawdą jest, że w dniu powrotu z urlopu 12.08.1988 r. p. M.K.-G. otrzymała wypowiedzenie. W tym dniu odbył się rozmowa, w której dokładnie wyjaśniliśmy, dlaczego powinna zaciągnąć sobie nową pracę”.

Szef ma prawo i obowiązek rozmawiać z pracownikiem. Ważny jest jednak nie fakt rozmawiania a temat rozmowy. Jeżeli dyrektor M.M. oświadczył pracownicy, że musi ona odejść z pracy, to:

— albo mogła uznać oświadczenie szefa za ostateczne, bo szef nigdy zdania nie zmieniał, zawsze był służbiście i osobą wiarygodną,

— albo potraktować jego słowa jako wyraz niezadowolenia szefa — kolegi.

Z praktyki wiadomo, że w takich sprawach jak rozwiązanie umowy o pracę szefowie rzadko żartują...

Art. 30 § 3 kodeksu pracy określa co prawda sposób, w jaki należy powiadomić pracownika o wypowiedzeniu umowy o pracę („oświadczenie powinno nastąpić na piśmie”), lecz nie można

uznać że wcześniejsze — ustne — oświadczenie nie jest dla obydwu stron wiążące. W myśl art. 61 kodeksu cywilnego oświadczenie woli skierowane do innej osoby jest złożone z chwilą, gdy doszło do niej w taki sposób, że mogła zapoznać się z jego treścią.

4. Działający w majestacie przepisów dyrektor M.M. niezbyt dokładnie przeczytał kodeks pracy, gdyż stwierdza: „19.08.1988 r. (...) wystąpiłem do ZZ Pracowników ZETO, (...), informując o zamiarze rozwiązania umowy o pracę z dniem 30.11.88, (...) wypowiedziałem M. K.-G. umowę o pracę z dniem 30.11.1988 r.”

Wypowiedzenie umowy a jej rozwiązanie to dwie różne sprawy!

5. Dyrektor Mariusz Młynarski oburza się na pracownika, że mimo czasu do namysłu (dwa tygodnie), pracownik nie chciał złożyć podania o rozwiązanie umowy. I znowu brak konsekwencji: — z jednej strony zarzut działania samodzielnego, na „własną rękę” — tj. nieformalna (?) umowa z S-nią „Siódmką”, — z drugiej — tak ma być, bo ja — szef — tak chcę. Nołenti non fit gratia! (Łaski nie wysławia się temu, kto jej nie pragnie).

6. „Oferta „Siódmki” z kwietnia 1986 r. była zleceniem (...). Poniekąd szkoda, że takiej pisemnej umowy nie było”.

(...) Gdyby istniała pisemna umowa łatwiej byłoby wyegzekwować ze Spółdzielni „Siódmka” należną opłatę. Byłoby również wiadomo, jakie są terminy płatności oraz jaka będzie wysokość świadczeń. Przy obecnej inflacji brak takiej umowy jest działaniem na szkodę zakładu pracy — przecież inna była wartość nabywcza 500 tys. zł w 1987 r. a zupełnie inna w sierpniu 1988! (...) Ponadto, jaki jest bilans zysków i strat ZETO (z tytułu umowy z „Siódmką”), bo nie się na ten temat nie mówi.

7. „Nieprawdą jest (...), że zlecenia „Siódmki” pracownicy ZETO wykonywali po godzinach normalnej pracy”.

Trochę dziwi, że z jednej strony dział ma być samodzielną finansowo (a więc im więcej zrobisz, tym więcej zarobisz), z drugiej zaś — praca od „gwizdka do gwizdka”. Jeżeli w dniu, w którym do godz. 12.00 wykonano pracę „państwową” w maksymalnej ilości, a pracownicy już o 12.05 podejmują pracę „na prywatne zlecenie „Siódmki” to działają na szkodę ZETO? A co powinni robić? Czekać na koniec „dniówki”? A może powinni — wzorem niektórych pracowników tzw. miesięcznie płatnych — rozkładać pracę „państwową” na cały dzień pracy? Przecież wówczas czas eksploatacji maszyn byłby dłuższy a ich naturalne zużycie większe. A fundusz na wcześniejszy remont — byłby czy też nie? Przecież do kasy ZETO wpływały pieniądze nie za nominalny czas pracy osób zatrudnionych w poligrafii, a za wykonaną przez nich pracę!

8. Dyskusyjna jest także sprawa wrażeń, czy też braku zgody na kontynuowanie współpracy z „Siódmką”. Jeżeli dyrektor ZETO stwierdził, że taka forma współpracy nie przynosi zysków (komu?), to powinien działać bardziej rygorystycznie — wydać zakaz na piśmie, bądź też niezwłocznie sprawdzić, czy jego polecenie jest respektowane. Dwanaście miesięcy to chyba zbyt wiele na stwierdzenie, że podległy personel działa wbrew decyzji szefa!

9. „Nieznamy jest mi ani jeden przypadek rezygnacji z naszych usług poligraficznych”.

Brawo! Gratuluję i życzę sukcesu Łodzi — w Warszawie znalezienie pracowni tego typu co opisywana — graniczy z cudem, a umieszczenie w niej zamówienia na dogodnych warunkach (zakres i termin wykonania usługi) wymaga układów nieformalnych — co jest wysoko nagane, wbrew ustawie o wychowaniu w trzeźwości i zwiększa nawis inflacyjny (usługodawcy).

10. (...) 11. (...)

EWA GRZESZCZYK

P.S. Informuję, że żadnej z zainteresowanych stron nie znam, nie jestem ani poligrafem, ani informatykiem, w Łodzi bywam sporadycznie, a od czasu przeczytania ww. publikacji wymogłam na swoim szefie naczelnym, aby wszelkie polecenia wydawał mi na piśmie i to w trzech egzemplarzach.

OD REDAKCJI: List drukujemy z niezbędnymi skrótami. Skróty zaznaczyliśmy trzema kropkami w nawiasach (...). Opuściliśmy fragmenty mniej istotne dla sprawy. W liście Ewy Grzeszczyk zainteresowało nas szersze podejście do stosunku przełożony — podwładny. Na tym chcielibyśmy spór ten zakończyć.

W ODPOWIEDZI OBROŃCOM SPOSOBU „NA DZIECKO”

W „Ogłoszeniach” z grudnia ub. r. wydrukowano mój list, w którym poruszyłem nowy sposób nabierania społeczeństwa przez ludzi o wątpliwej reputacji sposobem na tzw. dziecko. W obronie tych ostatnich wystąpił „redaktor dyżurny” pomawiając mnie o różne brzydkie rzeczy, a m.in. o podważanie decyzji władz o rozważaniu opieki nad dziećmi. Wobec powyższego chciałbym przypomnieć jeszcze szereg faktów, które w ostatnich czasach dają znać o sobie.

Opieka państwa nad dzieckiem nie narodziła się (jak sądzą niektórzy) niedawno. Istnieje wiele lat. Już po roku 1945 rozpoczęto tworzyć instytucje, których obowiązkiem było roztoczenie opieki nad dziećmi pozbawionymi opieki rodzicielskiej. Była to opieka nad wyraz słuszną. W kraju przebywało tysiące przetrwanych sierot pozbawionych rodziców, którym należało dać możliwość startu do normalnego życia, wychowania ich w duchu nowej idei. Do tamtych założeń nikt z nas nie miał i nie ma najmniejszej pretensji. Nastąpił jednak lata, kiedy opieka państwa nad dzieckiem zaczęła być uważana za „obowiązek”, który miał zaciążyć „czarna plama” na następnych pokoleniach młodych Polaków. Po prostu pewne warstwy ludzi zaczęły uważać, że sprawa ojcostwa lub macierzyństwa to rodzaj „przedsiębiorstwa produkcji dzieci” mieszającego się w polityce ustrojowej państwa. Stąd przez wiele lat utrzymywała się tendencja popierania rodzin wielodzietnych, obojętnie czy są one w stanie utrzymać potomnych, czy też nie.

W „Głosie Robotniczym” ukazała się przed kilkunastu laty wzmianka o 13-osobowej rodzinie (w tym 11 dzieci), których utrzymanie w Domu Dziecka stanowiło rezultat rekordu płodności i zaradności owej „szczęśliwej” rodziny. Wyglądało to tak jak gdyby dziennikarz omawiający działalność „rodzinki” popierał jej aktywność w produkcji dzieci.

Dla czegoś o tym piszę? Ponieważ bliżej mi nie znany „redaktor dyżurny” pomawia mnie o to, że jestem za „paleniem na stosie dzieci poczętych przez niefrasobliwych rodziców lub ich wyrznięciem”. A ja do tych pomówień dodabym jeszcze — pozbawie „produktów wytwarzanych” organów płciowych.

Mija już kilka lat jak wskazywałem na to, że za „upadki” władzy pomawiano zawsze klasę robotniczą i ludność pracującą, zwalając na nie wszelkie „niedowłady”. Zadziwiający jest to, że inne warstwy społeczeństwa są nadal faworyzowane, przy czym, im więcej mają one zysków, tym bardziej znajdują się pod opieką prawa. „Redaktor dyżurny” stworzył mit, że to właśnie Mieczysław Kozak jest „czarną parszywą owcą”, która w ciemnych perspektywach pokazuje przyszłość kraju. A tymczasem cały szereg instytucji, związków i towarzystw zwraca uwagę na fiasco ogólnej polityki „jedności” wręcz żądając „pluralizmu”.

Od półtora roku jestem na emeryturze, często słucham radia i TV, ciekawych wypowiedzi emitowanych od czasu do czasu (nie-

kiedy w godzinach nocnych). Nie napawają one radością. Czy w takim stanie rzeczy, nawet popierając ludzi z marginesu społecznego będziemy zdolni wyjść z kryzysu opierając się na „niezawodnych i wypróbowanych kadrach marginesu społecznego”?

Podczas odbytej przed kilku laty rozmowy w POP zwróciłem uwagę, że wszelkie podwyżki uderzają jedynie w ludność pracującą. Inni dadzą sobie z nimi radę. Sekretarz POP przyznał mi rację. Cóż z tego, kiedy inni nie podzielali mego zdania. Teraz nawet i związki zawodowe, które zawsze popierały „górze” mają swoje „ale”, mówią nieśmiało o tym, o czym dawno wróble na dachu ćwierkały i nieśmiało przyznają rację moim dawnym antagonistom.

MIECZYSLAW KOZAK

Po pierwsze — muszę zaprotestować przeciw metodzie ustawiania polemisty do bicia. Biorąc różne zdania lub ich fragmenty w cudzysłowy, Mieczysław Kozak daje Czytelnikowi do zrozumienia, że są to cytaty z tekstu napisanego przez Redaktora Dyżurnego. A to nieprawda. Nigdzie nie napisałem, że Mieczysław Kozak jest „czarną parszywą owcą”, jak mi to autor listu sugeruje, ani słowa nie wspominałem o „niezawodnych i wypróbowanych kadrach marginesu społecznego”.

Po drugie — nie odmawiam Mieczysławowi Kozakowi prawa do obrony własnych poglądów. Ale jeśli już podejmuję polemikę, to niech przynajmniej polemizuje z tym, co napisałem, a nie z tym, co mu się wydaje, że napisałem. Otóż — jak łatwo sprawdzić w 51 numerze „Ogłoszeń” z 18 grudnia 1988 roku — zwróciłem uwagę, że co innego stanowi patologia społeczna, a co innego politykę społeczną państwa. To, co tak oburza Mieczysława Kozaka pochodzi z dziedziny patologii społecznej, wiąże się z poziomem kultury i obyczajami. I — jakby na to nie patrzeć — stanowi margines życia w PRL.

Po trzecie — przestrzegam przed pochopnym uogólnianiem, jeśli posłada się szczątkowe fakty w niczym nie określając rozmiarów zjawiska. Mieczysław Kozak w odpowiedzi powołuje się na wzmiankę w „Głosie Robotniczym”, która na dodatek „ukazała się przed kilkunastu laty”. Być może Mieczysław Kozak nie zdaje sobie sprawy ze śmieszności takiej argumentacji. Tym gorzej dla niego. Czas więc kończyć to nieporozumienie, które trudno nazwać polemiką.

REDAKTOR DYZURNY

ZDANIEM KAROLA BADZIAKA

Jestem niespotykanie wdzięczny za tak bezbłędnie uczciwe i życiowe zaprezentowanie na łamach „ODGŁOSÓW” 8/1989 („Czego nie zrozumiał felietonista?”) motywów mego zejścia ze słuszej dziennikarskiej autostrady na wiejską drożkę. Sam zresztą przyznałem się ohegdać w „PRASIE POLSKIEJ” do tego dziwnego zbieżności, pisząc, iż: „Zaczynałem we „WSPÓŁCZESNOŚCI” ze Stanisławem Grochowiakiem a kończę w „KARUZELI” z obywatelami Pawlakami i to jest miarą mego upadku”.

Najwyraźniejszym tego dowodem jest fakt, że na moją ofertę opublikowaną w „PRASIE POLSKIEJ”: „może jakiejś redakcji potrzebny jest samodzielnie myślący, acz mało dyspozycyjny dziennikarz”, nie otrzymałem żadnej propozycji. Nie wątpię jednak, że na nowe ogłoszenie, które będzie brzmiało: „Dziennikarz bezmyślny, acz naddyspozycyjny poszukuje pracy”, otrzymam mnóstwo atrakcyjnych ofert.

KAROL BADZIAK
ze wsi Laskowiec

Tytuł mego felietonu „Czego nie zrozumiał felietonista?” uważam nadal za aktualny. W tej sytuacji nie widzę ani powodu, ani możliwości, aby wyjaśniać, gdzie i kiedy Karol Badziak rozmiął się z faktami. Jak z powyższego widać każdy pozostaje przy swoim. Życzę powodzenia!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY ŁÓDŹ MUSI BYĆ BRUDNA?

Być może data rozpoczynająca mój list będzie dla niego pechowa... Nie jestem też pewna czy mam szansę skutecznego bicia na alarm, czy będzie to „wołanie na puszczy”. Zdecydowałam się jednak napisać, gdyż STAN ESTETYCZNY ŁÓDZI JEST KATASTROFALNY!

Jestem głęboko przekonana, iż jak najszybciej należy rozpocząć długofalową, konsekwentną i wszechstronną bitwę o poprawę wyglądu miasta. Panujący wokół nas brud i bałagan fatalnie działają na stan psychiczny społeczeństwa i wywołują zupełny zanik nawyków porządkowych. Niestety metodą porównań ustaliłam, iż Łódź należy obecnie do najbrudniejszych miast w Polsce. Nigdzie na ulicach nie widzi się tylu obrzydliwych, pełnych, śmierdzących pojemników na śmieci. Szyby w tramwajach pokrywa warstwa błota, wiaty są skupiskami kurzu i śmieci. Można wyliczać w nieskończoność. Zamiast jednak przynębiających wyliczań spróbuję sformułować propozycje poprawy fatalnego stanu miasta.

Oto one: Do Redakcji „Ogłoszeń” apeluję o stworzenie swoistego „fotograficznego, STALEJ ANTYGALERII” prezentującej w ostrej, dokumentacyjnej formie z krótkim komentarzem zawierającym informację o tym — KTO PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA TAKI STAN RZECZY — najbrzydsze miejsca Łodzi. Oto pierwsi kandydaci — obie strony ul. Żeromskiego na odcinku od Wieżowskiego do Zielonej. To prawdziwy horror estetyczny — wyrwane płyty, wywalone pojemniki, doły pełne śmieci na chodnikach, poprzewracane dawne barierki ochronne — w dodatku polamane (niech żyje oszczędność materiałów!). Drugim kandydatem jest skrzyżowanie al. Politechniki i Obywatelskiej, lewy narożnik obok brudnej rudery-pustostanu!

Łódź musi być poddana estetycznej kuracji wstrząsowej, gdyż naprawdę żyć się w niej nie chce a wobec zagranicznych gości pozostaje tylko zapadać się ze wstydu pod ziemię.

Bez hoteli, sprawniej i czystszej komunikacji, czystości, przymierzamy się do międzynarodowych imprez a mamy OKRUTNY KOMPLEKS PROWINCJI!

JANINA OJRZYŃSKA

OD REDAKCJI: Apeli przekazamy prezydentowi miasta Łodzi.

PATRZEC BEZMYŚLNIE

W swoim szkicu „Co zapamiętać z tamtych czasów?” — patrz „Ogłoszy” nr 6 z 1989 roku — napisałem o Romanie O. że „zobaczyłem go kiedyś jak samotnie stał w oknie i bezmyślnie patrzył w dal”. Zadzwoiłem do mnie jeden z Czytelników, który prosił o zachowanie jego nazwiska w tajemnicy, i zwrócił mi uwagę, że zwrot „patrzeć bezmyślnie” jest obrażający. Lepiej jego zdaniem było użyć słowa „w zamyśleniu”. Patrząc w zamyśleniu w dal, to nie to samo, co patrzeć bezmyślnie w dal.

Istotnie: bezmyślny — to „nie zastanawiający się nad niczym, ograniczony, głupi”. Ale istnieje potoczny zwrot: „Gapię się bezmyślnie na coś”, który sugeruje głębokie zamyślenie. I jeśli użyłem zwrotu „bezmyślnie” to jedynie w tym znaczeniu. Ale zgadzam się, że byłoby lepiej zamienić je na „patrzył w zamyśleniu w dal”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SZANOWNI PAŃSTWO
użytkownicy sprzętu audio-wideo
firmy

GoldStar

Spółka z o.o.

* „INTER COMMERCE” *

uruchamia na terenie kraju sieć placówek serwisowych
sprzętu RTV firmy

* GOLD STAR *

Punkty serwisowe w dużych miastach wojewódzkich będą świadczyć usługi pogwarancyjne odpłatnie za zlotówki. W związku z tym prosimy o przysłanie listem na nasz adres następujących informacji:

- ▲ rodzaj i typ sprzętu użytkowanego.
- ▲ rok produkcji.

Dane te są nam potrzebne do skompletowania i zamówienia odpowiednich ilości i asortymentu części zamiennych.

Adresy placówek serwisowych podane zostaną w odrębnych ogłoszeniach.

Jednocześnie zapraszamy do współpracy rzemieślnicze punkty serwisowe, zajmujące się naprawą i strojeniem zachodniego sprzętu RTV.

Oferty listowne z podaniem lokalizacji, powierzchni użytkowej lokalu, wyposażenia technicznego, adresu i numeru telefonu prosimy kierować pod adresem firmy:

„Inter Commerce” 04-239 Warszawa ul. Młodnicka 52,
telex 815686.

Zapewniamy części zamienne i korzystne warunki współpracy.

794/K

DOM MODY
„Jaga”

odzież, bielizna, galanteria, obuwie oraz różne dodatki damskie, męskie i dziecięce — poszukuje dostawców.

Liczymy wyłącznie na artykuły wysokiej jakości, starannie wykonane, o ciekawych modelach i formach.

Zapraszamy również jako dostawców zawodowych i amatorów plastyków, projektantów mody, studentów szkół artystycznych i odzieżowych, emerytów i rencistów oraz inne osoby dla których szycie jest hobby.

Oczekujemy w dniach od 6.03. do 10.03. w godz. od 14 do 18, Łódź, ul. Armii Ludowej 21 lub zgłoszenia telefonicznego, tel. 31-99-10.

Z A W I A D A M I A M Y

miłych klientów, że sklep rozpoczyna działalność w sobotę 11.03. o godz. 10.

3741/k

Przedsiębiorstwo
Zagraniczne

„ROMAT”

w Łodzi ul. Szaniawskiego 7 /dawny Andrzejów/ tel. 48 82 12

Z A T R U D N I E

- * krojczych
 - * szwaczki wykwalifikowane i do przyuczenia
 - graz w zakładzie przy ul. Chmielnej 6, tel. 48-80-02
 - * kaletników
 - * spec. ds. remontów i inwestycji.
- Oferujemy dobre warunki pracy i atrakcyjne płace.

1620/k

Biuro Podróży
„Tour Retour”
mgr tur Wojciecha Marzyńskiego

Z A W I A D A M I A

- od 10.03. prowadzimy sprzedaż wczasów krajowych, cena skierowania od 45.000 do 50.000 zł od osoby. Przedpłata 20.000 zł oraz skierowań na obozy z kursem prawa jazdy (młodzież od 17 lat) oraz na obozy konne (młodzież od 15 lat)
 - pośredniczymy w załatwianiu wiz do większości krajów świata. Opłata za pośrednictwo 1.800 zł
 - zaprasza na wypoczynek i zwiedzenie świata autokarem, samolotem, własnym samochodem do: Turcji, Grecji, Jugosławii, Włoch, Hiszpanii, Maroka i na zlecenie indywidualne do wszystkich innych krajów.
- Dla obcokrajowców i Polaków zamieszkałych za granicą organizujemy pobyty wypoczynkowe na terenie Polski polecając daczę, pensjonat, jazdę konną itp.

ZAPRASZAMY DO NASZYCH EKSPOZYTUR:

ul. Matejki 27
tel. 78-87-85 lub 78-55-10

ul. Narutowicza 24
tel. 32-02-71 lub 32-21-98

oraz do 16 ekspozytur na terenie całego kraju od 10 do 17.

249/k

PRZĘDZALNIA CZESANKOWA im. GWARDII LUDOWEJ
POLMERINO
w ŁODZI ul Wróblewskiego 19

- ☆ kierownika Oddziału Urządzeń Elektrycznych i Automatyki — inż. elektryka (elektromechanika przemysłowa)
 - ☆ specjalistę ds. energetycznych — wyższe lub średnie
 - ☆ referenta ds. postępu technicznego — średnie tech. (zagadnienia ciepło-wodne)
 - ☆ dyspozytora wydz. czesalni, pralni wełny — inżynier
 - ☆ mistrza lub nastawiacza maszyn Oddziału Czesalni — wykształcenie średnie tech.
 - ☆ technologa — inż. chemiczna obróbka włókna
- Informacji udziela dział spraw osobowych i szkolenia, tel. 81-47-74 lub 81-58-50 w. 518.

Zakład nie przyjmuje po porzuceniu pracy.

II. SZANSA DLA II-LATEK
Chcesz być samodzielną
mieć własne pieniądze

Z a d z w o ń: 81-47-74 lub 81-58-50 wewn. 512, 517

III. Masz wolny pokój?
Chcesz mieć pieniądze?

d z w o ń
84-71-96 lub 81-58-50 wewn. 552

1570/k

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA
„T E O F I Ł O W”
w Łodzi

ul. Aleksandrowska 102

O G Ł A S Z A

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na wykonanie robót dekarsko-blaharskich polegających na smolowaniu i drobnej naprawie dachów, częściowej wymianie rynien i rur spustowych oraz jednokrotnym kryciu połaci dachowych wraz z całkowitą wymianą obróbek blacharskich z materiałów własnych wykonawcy.

Przewidywany koszt robót wyniesie ca. 60.000 zł.

Termin wykonania robót — 30 września 1989 r.

Szczegółowy wykaz posesji wraz z zakresem robót znajduje się do wglądu w dziale technicznym spółdzielni przy ul. Wici 1 w godz. 8—10.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne.

Oferta powinna zawierać informacje w zakresie: ceny robociznogodziny, wysokości kosztów pośrednich i stopy zysku.

Oferty w zalakowanych kopertach należy składać w biurze spółdzielni przy ul. Aleksandrowskiej 102.

Komisijne otwarcie ofert nastąpi w biurze spółdzielni dnia 20.03.1989 r. o godzinie 11.

Zarząd spółdzielni zastrzega sobie prawo wyboru oferty lub odstąpienie od przetargu bez podania przyczyny.

Oferenci winni wpłacić do kasy spółdzielni ul. Aleksandrowska 102 wadium w wysokości 20.000 zł najpóźniej dzień przed przetargiem.

836/k

OGŁASZAJ SIĘ W
„Odgłosach”
tel. 36 80 99



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazywania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

2 marca — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15

9 marca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z 23 LUTEGO 1989 ROKU

— Mieszkam na Nowym Rokiciu i zaczyna u nas brakować pojemników na śmieci... — zaczął swą opowieść Eugeniusz Kudaj. Czytelnik zwrócił uwagę, na delikatnie mówiąc, dziwny proceder uprawiany przez pracowników MPO. Wywożą oni w nieznanym kierunku nowe, duże pojemniki na kółkach, zostawiając w zamian stare, zardzewiałe, rozpadające się. Pan Kudaj był świadkiem takiej „akcji” między innymi na ulicy Cieszyńskiej. Ponoć nowiutkie puszki wędrują na prywatne posesje — czyli „samo życie”. A śmieci na Nowym Rokiciu rozlewały się po ulicach wiatr...

— Ja bardzo Kocham psy... — zapewniała mnie kilkakrotnie w czasie rozmowy pani Barbara Adamiska — ale boleję nad tym, że swoisty psi targ funkcjonuje od dłuższego czasu przed „Uniwersalem”. Od małych, w koszykach, po piękne, duże okazy, często chyba przybyły tu nie ze swoimi prawowitymi właścicielami — czekają na człowieka, który ulituje się nad ich losem i wyłoży niemalą gotówkę. Tylko czy taki smutny, wręcz szokujący, gdy się przyjrzy, z bliska, handel musi się odbywać przed domem towarowym, który przecież powinien być wizytówką miasta? — pyta Czytelniczka. Komentarz jest zbędny, może tylko warto dodać, że jeśli już — to bardziej stosownym miejscem do tego typu „zabaw” byłby z pewnością usytuowany po sąsiedztwie rynek czy „Górniki”...

Dyrektor łódzkiego oddziału „Interpolu” Bogdan Glapiński opowiedział mi historię jako żywo zadająca kłam wszelkim sugestiom, iż w tym kraju ma miejsce jakiegokolwiek reforma. Oto istnieje doskonale prosperujące przedsiębiorstwo zagraniczne, którego roczny obrót sięga miliarda dolarów, a Skarb Państwa wyskaka zeń rocznie pół miliona tak potrzebnych dolarów. Niestety, pełnomocnik firmy, zamieszkały w Łodzi przy ulicy Turzycowej, nie posiada telefonu, a bez niego, zdajemy sobie sprawę, w biznesie — jak bez ręki. Stosowne podania zostały złożone, wszelkie poparcia również, człowiek zgadza się na każdy wariant, włącznie ze stawianiem słupów i przeciąganiem linii napowietrznej. Ale nie z nami takie numery! Niech sobie przedsiębiorstwo nie myśli, że u nas tak łatwo!!! Przyciąganie obcego kapitału, to wszystkie „joint ventures” — to jedna strona medalu, takie tam bajki-bajki, a tu, na razie rzadzimy my, urzędnicy!! Okazało się bowiem, że Wojewódzki Urząd Pocht i Telekomunikacji nie może podjąć decyzji w tej sprawie, jedynie — ministerstwo... Szanowny panie ministrze Kamiński, ja panu serdecznie współczuję! Czy naprawdę podwładni zmuszą Pana do podejmowania decyzji w sprawie wielkości znaczka, rodzaju kleju i koloru telefonicznej słuchawki? Wierze, że się im nie uda, ale zareczęm — będą próbowali...

Stanisław Sampoliński zaprezentował mi dla odmiany wspaniały przykład reakcji na słuszną krytykę, nawet w tak zwanych środkach masowego przekazu. Okazuje się, że niektórzy słowa krytyki mają (no, wszyscy wiemy, gdzie mają) Oto na Bałutach, na ulicy Kilińskiej 6 jeszcze latem ubiegłego roku ciężki samochód zgniół tak zwany przepust uliczny i kilka okolicznych hektarów ziemi uprawnej znalazło się pod wodą, która nie ma ujścia, a zbierała się jej tyle, że można było ryby hodować. Ale okoliczni mieszkańcy — zamiast hodowli — zdecydowali się interweniować i po coś? Wszelkie petycje, apele, skargi, prośby i groźby nie przyniosły rezultatu. Choć kierowano je nie tylko do bałuckiego PGM, ale także do Urzędu Dzielnicowego, do łódzkiej telewizji, a nawet Rejonowej Prokuratury. Złożono tylko, jakby złośliwie, cienka, metalowa rurę, która szybko skorodowała i sytuacja wróciła „do normy”. — To tylko w Polsce Ludowej może mieć miejsce... — gorzko zakończył Czytelnik. Wiem też, gdzie niektórzy mają tę swoją, niniejszą interwencję...

Maria Sośniak kupowała bilet kolejowy do Berlina Zachodniego i przeżyła w związku z tą pozornie prostą operacją kilka przygod, których może by i Mroczek nie wymyślił. Nie mogła się dowiedzieć na przykład, dlaczego w „Orbisie” zadano od niej okazania paszportu, w informacji kolejowej trzykrotnie podano jej inne informacje w sprawie pociągów do Berlina (na szczęście częściowo się pokrywały...). Natomiast w informacji kolejowej w stolicy, pani stwierdziła, że aby otrzymać odpowiedź na proste pytanie z cyklu: „czy dostanę jeszcze na dziś lub jutro bilet do Berlina” trzeba osobiście stawić się przed okienkiem! Szalonym wynalazcom z branży kolejowej gratis podpowiadam jeszcze kilka patentów: zażądać by też warto przy takich okazach zaświadczenia ze szkoły dziecka, kwitu o odbyciu służby wojskowej, można też urozmaicić to w dni nieparzyste obowiązkiem posiadania dowodu szczepienia na cholera...

Adam Torczyk z grozą w głosie opowiadał mi o grzeźbawisku otaczającym jego blok numer 472 B przy ulicy Ciasnej. Wykopy, bajora wody, gliniaste, rozjeżdżone koleiny, jakież płyty z wystającymi drutami zamiast chodnika i często drażnienie niebezpiecznych dziur, których nie ma kto zasypać. Blok oddano do użytku w sierpniu ubiegłego roku, a nawet żarówkę przy wejściu nie ma...

Szanowny Panie Adamie: a czego się pan spodziewał? Asfaltów, chodników, może kłombów i rabatek? Może latarni i ławeczek? Przecież to dopiero czterdzieści parę lat, po wojnie, a ten system budownictwa opanowaliśmy do perfekcji. I jeszcze mówi Pan, że interwencja w telewizyjnych „Wiadomościach” nie pomogła. A myśli pan że moja pomoże? No, może żarówkę przy drzwiach wkręca...

Pani Stanisława Jaruga serdecznie prosi za naszym pośrednictwem o pomoc w zdobyciu ponoć niemal niedostępnego w aptekach leku o nazwie „HAI OPERIDOL”. Chora czeka na wiadomość pod telefonem numer 33-28-05.

Dziękuję wszystkim, którzy telefonując w czasie dyżuru zechcieli podzielić się ze mną swoimi troskami, problemami, spoproszeniami. Jeśli byliśmy wspólnego zdania, jeśli udało mi się choć słowem pokrzepić — jestem usatysfakcjonowany.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1

Najszybciej zmieniają się ceny

Kiedys jeden z moich znajomych powiedział, że nasza rzeczywistość jest potwornie nudna: dom, praca, praca, dom, zdobywanie pieniędzy, drożyzna i prawie nic się nie zmienia, ciągle to samo. Szczególnie przygnębiające są tu dane statystyczne za 1988 rok, które można było przeczytać w „Polityce” w artykule Marka Henzlera pt. „Poczuć chaos”. Nasze życie za nudne uznano 60,1 proc. badanych, a jako „ciąglą gonitwę i szarpaciny” 70,7 proc. I tylko 3,1 proc. odpowiedziało, że nie ma żadnych kłopotów finansowych, „...a prawie wszyscy badani (95,9 proc.) uważają, że wzrost ich dochodów nie pokrywa podwyżek cen”.

Jest więc w poglądzie mojego znajomego (co widać ze statystyki) wiele racji, ale nie cała. Bo proszę popatrzeć na tę sprawę z innej strony, toć to przecież u nas ciągle zmiany. W ciągu ostatnich paru lat (by już nie sięgać dalej) tyle się zmieniło, że aż trudno za tym wszystkim nadążyć. Oczywiście różne są te nasze przemiany, wiele przecież było w ostatnim dziesięcioleciu spraw tragicznych, wiele sytuacji trudnych. Był przecież stan wojenny, internowania, demonstracje.

Ale są i rzeczy, szczególnie ostatnio, bardziej wesołe, o to na przykład, że dnia na dzień osoby prywatne przestają być prywatnymi i nazwę „Solidarność” można już używać zupełnie normalnie. W kraju zaczyna działać młodzieżowy ruch pod nazwą „Pomarańczowa Alternatywa”. Notabene, milicja przywykłała się już do niego i po prostu przestała reagować na uliczne happenin-gi organizowane przez tę grupę. Było tak na przykład w Łodzi, gdzie na jedną z takich imprez milicja nie przyjechała i młodzi ludzie, trochę zawiedzeni, rozeszli się po 40 minutach.

Wszystko dookoła nabiera coraz większego przyspieszenia, co z tego wyniknie w przyszłości zobaczymy. Na razie jednak można powiedzieć, że różnego rodzaju zmiany, i te pozytywne, i te złe (takie też muszą istnieć), następują już z miesiąca na miesiąc, ba! z tygodnia na tydzień nawet.

Przypomina mi to trochę opowieść mojej prababki, bardzo wiekowej kobiety, która dożyła bez mała stu lat. Otóż opowiadała ona, jak to na Kresach (pochodziła z Podola, ale mieszkała na Wołyniu) po rewolucji chaos był tak wielki, że każdego dnia rano trzeba było rozejrzeć się dookoła, by zobaczyć kto jest w mieście i jaką flagę trzeba wywiesić. Jeśli byli anarzysty, to czarno-czerwono, jeśli bolszewicy, to czerwono, jeśli Polacy, można było trochę odetchnąć i wywiesić biało-czerwono. Mogły być jeszcze bandy chiopskie i oddziały ukraińskie. Nie wiem, czy można było w tym czasie żyć, ale fakt jest, że wtedy sytuacja tam zmieniała się dosłownie z godziny na godzinę.

U nas na szczęście nie jest tak źle i żadnych flag za okna nie trzeba było wywieszać i oby nigdy nie było to konieczne. My natomiast każdego dnia sprawdzamy zawartość portfela, bo najszybciej zmiany zachodzą w cenach i w tym właśnie nasz stan przypomina historię, którą opowiedziałem wyżej. Bo na przykład rzecz, która jednego dnia kosztowała 200 złotych, drugiego może już kosztować 1500 i wszystkich, aczkolwiek z dużym trudem, przestało to dziwić, jak więc widać, rzeczywistość do różnych rzeczy można się przyzwyczaić.

Ceny dolarów na „czarnym

rynku” — choć na dobrą sprawę jaki on tam czarny, skoro przelicznik spod „Pewexu” obowiązuje wszystkich, tak właściciele prywatnych, zwykłych ludzi, jak i instytucje państwowe — rośnie tak szybko, że posiadacz, powiedzmy 100 dolarów, ani się nie obejrzy jak zostanie milionerem. I sklepów, w których można kupić różne ciekawe rzeczy za walutę wymienialną też coraz więcej. To tak, jak w tym samym Ameryce, „patrz pan jacy ci dowiekują mądrzy, jeszcze ich tu nie ma, a już mają swoje sklepy”.

Trudno jest obecnie czymkolwiek zadziwić Polaków. Ja jednak mam pomysł, który zaskoczyłby wielu; otóż proszę sobie wyobrazić, że któregoś dnia przychodzimy do pracy w dniu wypłaty, a tu pani kasjerka wręcza nam pensję w dolarach. Oczywiście nie przeliczoną, dotychczasową po czarnorynkowym kursie, ale jakąś nową, konkretną pensję. Niejeden dostałby pewnie zawalu, a co bardziej gorliwi zupełnie niepotrzebnie chcieliby wywieszać amerykańskie flagi.

Dobrze... dość żartów! Na razie jednak proponuję przejść się po sklepach i popatrzeć, co też w ciągu ostatnich nocy zdrożało. I oby tych nowych cen było jak najmniej, czego sobie i wszystkim życzę.

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

2

Nagle zastępstwo

Z bardzo ogranieczoną odpowiedzial- nością

Czytacie państwo ten tekst w „Ogłosach” nie dlatego akurat, że stale współpracuję z tym tygodnikiem. Czytacie państwo mój felieton właśnie tutaj, ponieważ redaktor naczelny „Ogłosów” okazał się osobą z jednej strony wysoce kompetentną do oceny felietonu a z drugiej strony hojną. O co tu chodzi? Spieszę wyjaśnić: ogłosiłem przetarg, felieton ten napisałem w kilkunastu egzemplarzach i rozesałem tu i ówdzie: do „Financial Times”, do „Paris Matcha”, „New York Herald Tribune”, do „Ogonioka” i takich tam różnych. Do prasy krajowej w pierwszym i drugim obiegu, a także wyznawczej. Przetarg wygrali „Ogłosy”!

Teraz będę tak postępował częściej. „Dał nam przykład Bonaparte naszego marketingu (min. Wilczek) jak handlować mamą”. Sprzedaje fiaty z przetargu? Sprzedaje. A co, ja gorzysz od fiata? W końcu samochód to bezduszna maszyna, a ja — jak twierdzą niektórzy — mam duszę! I oto jestem na sprzedaż, kto da więcej?

Mam dość archaicznej metody pisanja felietonów i innych tekstów na zamówienie redakcji, albo — nie daj Bóg! — bez zamówienia, na własną odpowiedzialność. Idę na nowoczesność i przedsiębiorczość. Przetargi to jeszcze małe piwo w stosunku do ambitnych zamiarów, jakie mi przyswiecają. Premier rzucił hasło „co nie jest zabronione, jest dozwolone”. Wprowadź premier już nieaktualny, ale hasło dobre, do tego dochodzą ustawy o przedsiębiorczości i angażowaniu kapitału obcego. Mam zielone światło! Mam. No to bęc — otwieram spółkę z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością, przedmiotem działalności której to spółki będzie pisanie felietonów oraz innych tekstów, w tym także użytkowych zamawianych przez osoby prawne i fizyczne.

Udziałowcy muszą mieć skromną, symboliczną kwotę na „wejście” oraz maszynę do pi-

sania, śledem klas szkoły podstawowej, minimalną znajomość ortografii (o resztę niech się korekta martwi), oraz przeciętną dla rodzaju ludzkiego ilość szarych komórek i zwojów mózgowych. A ja już dziś, korzystając z okazji zachęcam nie tylko udziałowców, ale przyszłych klientów. Felietony, reportaże i inne materiały publicystyczne na określony temat przesyłamy za zaliczeniem pocztowym. Uwaga! Zamówienie powinno zawierać, oprócz tematu, także ogólną wskazówkę ideologiczno-swiatopoglądową. Wiadomo, inaczej się pisze dla prasy partyjnej a inaczej dla konfesyjnej, inaczej dla związkowców waleśwskich, inaczej dla młodzieżowskich.

Jednostkom gospodarczym, zwłaszcza w sektorze uspołecznionym oraz organom administracji terenowej i kierowniczym instancjom organizacji polityczno-społecznych moja spółka poleca redakcję sprawozdań kwartalnych, rocznych i okazjonalnych a także referatów, ze szczególnym uwzględnieniem okolicznościowych. Także przemówienia z okazji rocznic, świąt państwowych itp. Dla klientów indywidualnych mam już opracowane wzory przemówień pogrzebowych, imieninowych i weselnych. Także toasty. Wszystko to może być zarówno prozą jak mową wianą. Polecam także listy miłosne, podania do władz i skargi do NSA, Trybunału Konstytucyjnego i Rzecznika Praw Obywatelskich. Na specjalne zamówienie listy obraźliwe, zawierające szeroki wachlarz inwektiw oraz donosy zarówno imienne jak i anonimowe.

Właściwie mógłbym już podjąć działalność, są tylko dwa szkopuły: pierwszy, to sprawa podatków. Jak ministerstwo od forsy oceni i wyceni amortyzację środków trwałych (w moim przypadku — mózgu) oraz jak naliczy kosztu uzysku tj. kosztu mego wykształcenia, wieloletniego stażu pracy w różnych instytucjach itp. Bo tzw. kosztu bezpośrednie będą przecież minimalne: stół, maszyna do pisania i dwie ręce.

Drugi problem, to ubezpieczenie. Czy np. taka „Westa” zechce mnie ubezpieczyć od kompletnego zidiocenia? Może nie będzie ono największą przeszkodą do uprawiania wyżej opisanego działalności, ale jednak...

ANDRZEJ KAROL

3

Zamiast felietonu

ZUS zawinił, rencistę obciążyli

W artykule pt.: „Za uczciwość” („Ogłosy” nr 48 z 27 listopada, ubiegłego roku) przedstawiłem sprawę Sławomira G. z Pabianic którego łódzki TUS usiłuje obarczyć materialną odpowiedzialnością za własne pomysły i niedopatrzności.

Najkrócej mówiąc, rzecz miała się tak:

W marcu 1988 roku Obwodowa Komisja ds. Inwalidztwa i Zatrudnienia orzekła, iż rencista Sławomir G. zdolny jest już do pracy, w związku z czym traci prawo do wypłacanych mu dotąd świadczeń. Sławomir G. był jednak innego zdania o stanie swego zdrowia i odwołał się do komisji wojewódzkiej, która w końcu czerwca orzeczenie o utracie renty utrzymała w mocy. Ale zanim do tego doszło, w kwietniu ZUS wypłacił mu ostatnie pieniądze i powiadomił pisemnie, iż rencista już nie jest. W tej sytuacji Sławomir G. zmuszony był podjąć pełnoetatową pracę. Tymczasem w lipcu — niespodzianka! — otrzymał pismo, z którego wynikało, że należy mu się 43 800 złotych wyrównania za czas od 1 maja do 30 lipca oraz — że be-

da dalsze świadczenia. Jako że ZUS na podstawie „orzeczenia Wojewódzkiej Komisji Lekarskiej z dnia 27.06.88 r. wznowił wypłatę renty inwalidzkiej”.

Nie wiedząc, czy nie zasła jakas pomyłka, przed przyjęciem pieniędzy Sławomir G. postanowił upewnić się co do tego w oddziale ZUS w Pabianicach. Okazało się wszakże, że wszystko jest w porządku. Sławomir G. przyjął więc owe 40 tysięcy, a także — następne przekazy. Aby jednak być w zgodzie z przepisami, lojalnie powiadomił ZUS, że od kwietnia pracował na pełnym etacie i że w związku ze wznowieniem renty, od 1 sierpnia wraca na niepełny etat. I tu spotkała go druga niespodzianka, niestety już nie tak miła. Nie dosyć bowiem, że powtórnie odebrano mu rentę, to jeszcze zażądano zwrotu 68 150 złotych, wypłaconych za czas od maja do września, z powodu „pracy w pełnym wymiarze godzin”.

Sławomir G. nie zgodził się z tym żądaniem, argumentując, że pełnoetatową pracę podjął po odebraniu renty w kwietniu i że jeśli ZUS przez pomyłkę umieścił go znów na liście rencistów, to nie on powinien za to ponosić odpowiedzialność. Poza tym, wydał już te pieniądze i nawet gdyby chciał oddać teraz, nie ma z czego.

A oto dalszy ciąg tej historii:

W grudniu ZUS poinformował Sławomira G., że „po ponownym przeanalizowaniu sprawy (...) wystawiono nową decyzję zobowiązującą Obywatela do zwrotu renty za czas od 1.05.88 r. do 31.07.1988 r., tj. za okres, w którym Obywatel utracił prawo do wypłaty świadczenia z powodu zatrudnienia w pełnym wymiarze godzin. Oddział odstąpił natomiast od żądania zwrotu renty za miesiąc sierpień i wrzesień 1988 r., uznając, iż wypłata świadczenia nastąpiła wskutek błędu organu rentowego i winę za jej powstanie ponosi pracownik oddziału”. Podobnej treści wydziałowe wpłynęło też do redakcji „Ogłosów” i zostało opublikowane w numerze 8 z br.

Jak można wywnioskować z korespondencji między Sławomirem G. a ZUS, nie musiałby on oddawać nawet owych 40 800 złotych, gdyby od maja do lipca nie pracował na pełnym etacie. Pieniądze te należały mu się bowiem wobec faktu odwołania się do wojewódzkiej komisji lekarskiej, która ostatecznie orzekła o utracie renty dopiero w czerwcu. Do tego momentu był on więc nadal pełnoetatowym rencistą. Rzecz w tym jednak, że nikt go o tym nie powiadomił. Przeciwnie, napisano mu czarno na białym, iż rencista już nie jest. Dlatego z czystym sumieniem podjął pełnoetatową pracę.

Po drugie: lipcowa decyzja o wznowieniu wypłat nie była zaopatrzona w adnotację, iż chodzi jedynie o wyrównanie. Przeciwnie, napisano czarno na białym, że Sławomir G. będzie też dostawał rentę dalej, co zresztą się stało. Więc to wcale nie „obywatel” wprowadził w błąd instytucję, ale — instytucja „obywatela” i to aż dwukrotnie!

Czy można zatem się dziwić, że Sławomir G. nadal nie poczuwa się do obowiązku zwracania jakiegokolwiek sumy? Chyba nie, zwłaszcza że w świetle oficjalnych pism, jakie dostrawał z ZUS, niczego właściwie nie można mu zarzucić. Postępował zgodnie z przepisami.

Warto też zadać pytanie: co by się stało, gdyby posłusznie wpłacił od razu całe 68 150 złotych, których żądano na początku? Czy ZUS z własnej nieprzymuszonej woli przyznałby się wtedy do pomyłki? I jeszcze jedno: czy gdyby nie powiadomił ZUS o przejściu na niepełny etat od 1 sierpnia, to nie dostawałby co miesiąc przekazów do dziś? Prawdopodobnie tak, jako że dopiero na skutek tegoż powiadomienia w ZUS zorientowano się, że któryś z pracowników popełnił błąd. Na upartego można więc zatem przyjąć, że Sławomir G. nie tylko nie naraził ZUS celowo na straty, ale wręcz uchronił zakład przed stratami jeszcze większymi.

A pointa? — zapyta ktoś. — No cóż, pointę z pewnością dopisze za mnie ZUS!

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

ODGŁOSY 15

czy można zostać milionerem, nie przestając być człowiekiem uczciwym? Oczywiście nie złotówkowym milionerem, tylko dolarowym, i nie tak znów dokładnie milionerem, czyli posiadaczem jednego miliona dolarów, bo jeden milion dolarów to jeszcze nie jest bogactwo na skalę Ameryki. Przywykliśmy używać pojęcia „milioner” w odniesieniu do ludzi bardzo bogatych, bo dla nas, skromnych szaraczków, żyjących od wypłaty do wypłaty, każdy kto ma wille i dobry samochód jest królem życia czyli milionerem.

A tymczasem rozpiętość bogactwa jest niezmierzona, o wiele większa niż rozpiętość bieda. Z biedą sprawa jest o tyle prosta, że po przekroczeniu pewnej dolnej granicy, kiedy już czujemy, że jesteśmy biedni, to jest to już bieda. Możemy zejść do poziomu kłoszarda, spać pod mostem, zjadać resztki ze śmietnika — ale też możemy mieć samochód, który trzyma się w kupie tylko dzięki brudowi i pobierać zapomogę od państwa kanadyjskiego, żyć z dnia na dzień bez żadnych perspektyw, poza następną butelką piwa — i to też jest daleko zaawansowana bieda. Różnica między kłoszardem a facetem na „welfare” jest prawie żadna, w każdej chwili każdy z nich może stać się tym drugim.

Natomiast od granicy tak zwanej życzliwości w górę rozciąga się czarodziejski świat baśni. Facet opływający żądzą zdobywania miliona dolarów jest w stanie permanentnej choroby, gorączki mózgu, z której nie, poza milionem, go nie uleczy. Przynajmniej tak mogłoby się wydawać. Bo kiedy ma już milion, jest w innej lidze, choroba rozwija się jak pożar. Ten człowiek już do końca życia będzie robił forsę, dla tego jednego celu będzie żył. Ale nie o to chodzi.

Obaj z Jasiem Duchem przeżyliśmy na tym świecie po pięćdziesiąt kilka lat, poznaliśmy wielu ludzi w różnych miejscach globusa. Było wśród nich wielu bogatych dudków. I często zastanawialiśmy się z Jasiem, w jaki sposób doszli do swojego stanu posiadania. Teraz też, w Warszawie, po prawie dwudziestu latach obijania się po świecie, staramy się jakoś rozsądnie rozstrzygnąć nasz wieczny dylemat: czy można osiągnąć bogactwo drogą uczciwą?

— Przede wszystkim — powiedział Jan Duch — należałoby dokładnie określić, co to znaczy uczciwość. Jeżeli, prawa stalinowskie w Polsce były szkodliwe, wymierzone przeciw naturze, przeciw człowiekowi, a jakiś producent spinek do włosów starał się je ominąć, to czy był nieuczciwy? A może nieuczciwi byli ci, którzy te prawa ustanowili? Dawniej urzędnik, który tepił prywatnie, był uczciwy. Teraz prawa się zmieniły. Gdyby ten sam urzędnik dalej chciał działać w myśl dawnych praw i przepisów, popełniłby przestępstwo. Co więc jest uczciwością, a co nie jest? Czy ślepe stosowanie się do zarządzeń aktualnie obowiązujących jest uczciwością? Nawet do zarządzeń okupanta?

— Nie — powiedziałam — jest jeszcze inne, bardziej skomplikowane i głębsze rozumienie uczciwości, czy przestępstwa. Zgodnie z naturalnym odczuciem dobra i zła, które siedzi w człowieku, niezależnie od różnic kulturowych. Wszędzie na świecie morderstwo jest traktowane podobnie. I kradzież. Największe różnice zachodzą w traktowaniu spraw seksualnych. Są grupy ludzkie, gdzie gościnni dają się żonie czy córce na noc do pokoju, odmowa spowodować obracez. I są grupy ludzkie, gdzie za spojrzenie na innego mężczyznę kobieta zostaje ukamienowana. Natomiast kradzież i zbrodnia z chęci zysku wszędzie są traktowane podobnie.

— Z grubsza tak. Powiedziałeś: chęć zysku. Czy sama chęć wystarcza, żeby zrobić milion dolarów? Jakże jeszcze warunki należy spełnić?

— Jasiu, lekarz kanadyjski albo amerykański może zarobić wiele milionów dolarów po-

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II

Ścieżki milionerów

(5)

prostu pracując codziennie po kilka godzin. Zawodowy sportowiec, wpłatany w wojnę producentów sprzętu sportowego, zarabia miliony na reklamie jakichś tam butów czy majtek. Czy odbijanie piłeczki rakietką do usranej śmierci nie jest działalnością uczciwą? Facio przez piętnaście lat dostanie kręćka od tego białego migającego punktu, jego mózg jest spłaszczony i pozbawiony zdolności abstrakcyjnego myślenia, jest to maszynka do odbijania jakiejś tam głupiej gumy, wypełnionej powietrzem. Taki automat zarabia miliony, ale czy jest nieuczciwy? Skądże! Jest tak uczciwy, jak uczciwy może być wiejski prostaczek, ganiący za krowami. Robi, co mu każą, i jeśli szybko rusza łapkami, to faciec, którzy mu przyszyli do łapy rakietkę swojej produkcji, krzyczą na cały świat: nasza rakietka najlepiej odbija piłeczkę! I tłum głuptaków, jak stado owiec, naśladujących każdy ruch lidera, biegnie do sklepów i kupuje te rakietki. Zyski są duże, a pewien procent tych zysków wpada do kieszeni parobka, poczęgo się na korcie, czy jeśli to jakaś różnica, na bosku. Nie ma tu przestępstwa w czystej formie, jest tylko efekt ogólnej ludzkiej głupoty. Ale zastanówmy się nad takimi, którzy nie mają specjalnych zdolności ruchowych i nigdy w żadną piłkę nie wcielają...

Jan Duch machnął ręką, że niby nie ma o czym mówić.

— Mój drogi, nie znam ani jednego bogacza, który zrobił forsę wyłącznie dzięki wykonywaniu swojego wyuczonego zawodu. Doktor Hirsch w Kalifornii, który nastawił mi wybitą podczas surfing'u rękę, wciąż pracuje, ponieważ bardzo to lubi. Ale jest wart czterdzieści miliona dolarów. Założony, że zarabia milion rocznie, nastawiając złamane kości. Czy pracował już dwadzieścia pięć lat? Nie. On od samego początku zaczął kupować stare domy, place, magazyny. Powoli, nie spiesząc się. Brał na to pożyczki z banku, hipoteki, spłacał raty co miesiąc. Remontował domy i sprzedawał, oczywiście robił to za niego ktoś inny. Potem już wystarczyło przewidzieć, co w danym miejscu się zbuduje za dziesięć lat. Tak, za dziesięć lat! Niewyobrażalny okres czasu dla Polaka, ale całkiem normalne planowanie dla Amerykanina. Kupił plac na skrzyżowaniu dwóch autostrad za pięć milionów dolarów. Gdyby te pieniądze trzymał w banku, mógłby po dziesięciu latach wyjąć, wraz z odsetkami, około trzy miliony. Tymczasem wartość terenu, który spokojnie przytrzymał, mimo wielu ofert odsprzedaży, wzrosła do stu milionów dolarów w ciągu tych dziesięciu lat. Dlaczego? Ponieważ transport samochodowy rozwinął się znacząco, i w pobliżu przecięcia autostrad wielka korporacja postanowiła wybudować hotele, restauracje, sklepy i tysiące innych punktów usługowych. Obliczono zyski, które zabudowa tego terenu mogłaby przynieść i zapłacono żadaną sumę. Doktor Hirsch dalej składał kości, ale to jest tylko pożyteczne hobby dla tego faceta. Ma zresztą swoje udziały w tej wielkiej „Sheridan Mall”, nie był frajerem, żeby sprzedać i odejść, ten business ma wielką przyszłość.

— Nie popełnił przecież przestępstwa.

— Jeżeli przyjąć, że spekulacja nie jest przestępstwem.

— W mentalności stalinowskiej to jest przestępstwo.

— Na zdrowy rozum, jak się tak zastanawiać, to rzeczywiście. Pomyśl tylko: przechwy-

cić ziemię, przytrzymać, podbić cenę, zarobić nieprawdopodobnie sumy... I to na czym? Na ziemi, która jest własnością niczyją, a więc należy, a przynajmniej powinna należeć, do każdego człowieka na świecie. Ziemia, powierzchnia planety. Cóż może być bardziej wspólne? A tu taki cwany Hirsch dysponuje sobie pewną częścią powierzchni planety, jakby dostał to prawo od Głównego Zarządcy Kosmosu.

— Faktycznie myślisz po stalinowsku. Nawet kosmos musi mieć zarządcę.

— Tak myśli większość ludzi w krajach wschodniej Europy, mój drogi. To był cytat, z dzieł tych, którzy byli przeciwko własności prywatnej. Im wystarczyło po prostu zarządzanie kosmosem. Po co się pabrać w takich drobniaczkach, jak pieniądze? W zarządzaniu nie brudzi się ręką i nie odpowiada za błędne decyzje.

Często prowadziliśmy takie do niczego nie prowadzące rozmowy. Czy można zdobyć miliony uczciwą drogą?

— Nie — powiada, zdecydowanie Duch. — W przypadku lekarza, który dobrze zarabia i spekuluje ziemią, czy domami, może się obejść bez ewidentnego przestępstwa, jeżeli spekulację uznamy za moralnie czystą metodę robienia majątku. Ale zawsze, kiedy w grę wchodzi facet, startujący od zera, bez grosza przy duszy, możemy być pewni, że na drodze do swojego pierwszego miliona kradł, oszukiwał, podrabiał podpisy albo po prostu zabijał. Całe moje życiowe doświadczenie o tym mówi.

— Daj przykłady.

— Proszę bardzo. Pierwszy z brzegu: Jack Collins. Prawdziwe nazwisko: Jacek Koliński. Rezydencja w stanie New Jersey, biuro w Nowym Jorku. Posiada fabrykę, w której produkuje precyzyjne łożyska kulowe na kontrakt z rządem USA, dla potrzeb NASA oraz armii. Jego łożyska mają wymiary mikroskopijne, zrobione są z najbardziej egzotycznych metali, przeznaczone do pracy w przestrzeni kosmicznej. Majątek osobisty: w przybliżeniu pół miliona dolarów. Roczna wartość produkcji: pięćdziesiąt do stu milionów dolarów. Kim był Koliński? Kiedy wybuchła wojna był młodym chłopakiem, w ZSRR dostał się do armii Andersa, przeszedł kampanię aż do Włoch, tam wszedł w kontakt z podziemiem, zajmującym się kradzieżami zaopatrzenia dla wojska. Całe transporty paliw, opon, żywności i leków szły na czarny rynek. Zamieszani w to byli oficerowie i amerykańskiej i włoskiej armii. Koliński działał w transporcie, był bowiem szoferem ciężarówki. Po de-

mobilizacji pojechał do Stanów, nadal utrzymywał kontakty z dawnymi znajomymi z amerykańskiej armii. Jeden z jego współpracowników awansował do rangi generała. Najpierw Koliński, który przywiózł z sobą dużo dolarów, „zarobionych” we Włoszech, założył przedsiębiorstwo transportowe i dostawał kontrakty od armii, za sprawą tego generała. Potem stworzył firmę metalurgiczną, produkującą detale uzbrojenia. Powoli wszedł mocniej w układy, związał się z podwykonawcami, którzy potrafili wykonywać bardziej precyzyjne rze-

zeczy niż on sam. Zapytany o stan majątkowy, odpowiada: „Moje biuro mieści się w Rockefeller Center na Manhattanie, to mówi samo za siebie”. Otóż nie mówi, wręcz przeciwnie, wtajemniczonym mówi tyle, że facio chce się podszkolić, dlatego za ostatnie grosze wynajął pokój w tym dość prestiżowym budynku, gdzie każdy może wynająć sobie biuro. Miałem kolegę, biednego agenta literackiego, który właśnie tam miał swój „office”, bo adres dobry. Słowo „Rockefeller” ma podziać na biednego czytelnika polskiego jak najlepsza rekomendacja, a to po prostu hucpa. Szczególnie w zestawieniu z wynajmem samolotów w Ameryce Łacińskiej. Takie firmy przyjmują głodem, mają sprzęt, którego żadne szanujące się biuro ubezpieczeniowe nie chce wziąć na polisę, i można sobie wyobrazić, jacy ludzie te graty wynajmują od pana de Marchwinskię! Może mali przemysłowcy marihuany, może latające burdele?

— Widziałem takie urzędnictwo w Afryce i w Gwatemali. Przylatywał samolot z dziesięcioma dziwkami, miejscowi biali nadzorcy jakichś zakładów łomotali je przez trzy dni, i latająca forteca przenosiła się o pięćset kilometrów dalej. Trzeba być w Peru, Kosta-ryce, Gwatemali czy Gujanie, albo w Nigerii czy Dahomeju, żeby wiedzieć, jak tacy panowie de Parzczew operują.

jacy tylko milion, nie ma prawa mieszkać tam, gdzie mieszka facet, mający dziesięć milionów, a ten znów nie może mieszkać tam, gdzie żyją ludzie, mający dwadzieścia milionów. A już tacy, których się oblicza na pięćdziesiąt, czy sto milionów, to klasa sama dla siebie.

— Z Polakami jest nieco inaczej, Janek. Wiesz o tym.

— No, tak. Czasami gość, jak Mannix, ma swoją stowę, a wydaje się, że dopiero dokradł się pierwszego miliona. Żyjący też często mieszkają jak dziady, ubierają się w chałaty i jeżdżą starym Datsunem, a wartość bankowa jak jakiś Himalaj, panocku. Częściej jednak starają się nasi rodacy szpanować za wszelką cenę, i stąd masz przygiupa, który dodaje sobie „de”, bo już mu jego własna de nie wystarcza. Jest to w ogóle groteskowa sprawa, zważywszy, że gość ma siedemdziesiąt pięć lat i wyznaje teorię, że nie można przestawać pracować nawet na chwilę, jeśli się chce zrobić sto milionów w dziesięć lat. Po co mu te miliony?

— Na pewno zabierze je do grobu, jak oni wszyscy. Z tego wszystkiego, co o nim powiedzieliśmy, dedukuję stan faktyczny: ten starzec ma jakieś pięćset, najwyżej osiemset tysięcy dolarów w nieruchomościach, natomiast obroty firmy nie przekraczają czterdziestu tysięcy miesięcznie, co po odciążeniu kosztów daje mu na lapę piętnaście miesięcznie, z czego płaci „mortgage” za dom i spłaca pożyczkę bankową za samochód. Samoloty, jeżeli są jakieś trzy stare śmigłowce, należą praktycznie do banku. Po tylu latach na kontynencie północnoamerykańskim, Jasiu, inteligentny człowiek nabywa umiejętności błyskawicznego obliczania wartości każdego faceta, który próbuje mu zamydlić oczy i wstawić farmazon. Pewnie, że dla Polaka nawet taki stan majątkowy jest czymś niebywałym, ale też Polak nie ma żadnej skali porównawczej, nie widział nigdy ludzi z dużymi pieniędzmi, piłkarz sprzedany

czy, i zaczął otrzymywać zamówienia od rządu i armii. Były to kontrakty wielomilionowe. Koliński zorganizował sieć podwykonawców i sam tylko pośredniczył, jego własna firma była pokrywka. Z czasem podkuł fachowców, sam otworzył produkcję. I wszystko gra. Cała zabawa ciągnie się od 1947 roku, ponad czterdzieści lat. Koliński, a właściwie Collins, bo kto pamięta jego polskie nazwisko, jest wielce szanowanym obywatelem, bogaczem. Jego domu strzegą uzbrojeni strażnicy, a mieszka w cudownej willi na terenie dzikiego parku o powierzchni wielu hektarów, biega tam sarny i inne zwierzęta. Byłem, widziałem, miód i wino piłem, kilka dni potem w tanim nowojorskim hotelu przeleciałem młodą żonę bogacza, którą sobie sprowadził z Polski. Wniosek z tego taki...

— Ze pieniądze to nie wszystko — zgodziłem się. — Ale tu bez przestępstwa nie by się nie udało. Start był brutalny, lecz konieczny.

— I kontakty z uczestnikami afery, lojalne wzajemne popieranie się, nie ulega bowiem wątpliwości, że ci, którzy forowali jego oferty wykonawcze, otrzymywali za to „kickbacks”, czyli prowizje po kilkaset tysięcy.

— Spotykam tu w polskich tygodnikach wywiady z rozmaitymi „ludźmi sukcesu” z Ameryki — powiedziałem — oni wszyscy robią z siebie tytany myśli ekonomicznej oraz tytany pracy. My wiemy, Jasiu, jak to wygląda z bliska. Ale ludzie padają na kolana przed byle cwaniaczkiem. Ostatnio w którymś z tygodników przeczytałem wywiad z farmazonem, który dodał sobie do nazwiska, całkiem pospolitego, „de”. Waldemar de Marchwinski, czy coś takiego. Facio ma firmę czarterową, wypożycza samoloty w Ameryce Łacińskiej.

— On jeszcze, Jasiu, bardzo się chwali koneksjami towarzyskimi, na pytanie, kto go odwiedza, odpowiada: „Głowy państw, królowie, prezydenci...”. Wyobrażam sobie tych królów!

— Chyba tacy z uszami, co lubią marchewki. Czytałem ten wywiad, bodaj w „Przeglądzie Tygodniowym”. Ten typ nie wymienia oczywiście żadnego króla z nazwiska, ale chwali się, że jego sąsiadem jest jakiś tenisista polski, nie nie znaczący przeciętniak z drugiej dwudziestki, któremu jednak udało się uciułać netto milion dolarów na uporczywym, wieloletnim reklamowaniu majtek czy rakiet. Otóż ten gracz to nie są żadne pieniądze, i miejsce, gdzie on mieszka, nie jest „tym” miejscem. Mówiliśmy o nieskończonej skali bogactwa. Nedza jest jedna, bogactwo natomiast, zaczynające się od, przykładowo, miliona dolarów w skali Polaka, zmienia się z każdym milonem, i to zmienia w sposób tak znaczący, że facet, ma-

rys. Dariusz romanowicz

za milion to już jest duch nie z tego świata, a co więcej, kiedy taki sportowiec od stukań w piłeczkę kończy karierę, zaraz tu się o nim pisze, że jest „znakomitym biznesmanem”, „inwestorem” albo mecenasem młodych sportowców polskich, bo dał dwa albo trzy tysiące na zakup jakiegoś balonu czy innego głupstwa. Tani, bardzo tani można sobie kupić w Polsce sławę milionera, „człowieka interesu”, czy „sukcesu”, wystarczy oddać jedną skromną miesięczną pensję urzędnika pocztowego, żeby ci zagrali „Jeszcze Polska nie zginęła”.

C.D.N.